HOLISTIC .NEWS

Nr 3 / 2019
Cena 12 zł w tym 8% VAT

HARARI: KLIMAT NIE GRZEJE ELIT

RUSHDIE O SWOIM DON KICHOCIE WYLOSUJ SOBIE POSŁÓW PAPIEŻ, KTÓRY ZOSTAŁ BOŻKIEM CHINY JAK RZYM, KTÓRY NIE UPADŁ GÓRNICTWO KOSMICZNE

ISSN 2544-607X INDEKS: 427713

CAVATINA
NON
PROFIT
STUDIO
CAVATINA
NON PROFIT STUDIO
Cavatina Non Profit Studio
Ul. Partyzantów 51, 43-300 Bielsko-Biała
Tel. +48 536 284 669, +48 536 286 337
www.cavatina-studio.pl

HOLISTIC
PEŁNY OBRAZ ŚWIATA
W HOLISTIC.NEWS CHCEMY INACZEJ ROZMAWIAĆ O POLITYCE. CZY W PERSPEKTYWIE 10 LAT ZABRAKNIE NAM RĄK DO PRACY? DLACZEGO POLACY PRACUJĄCY ZA GRANICĄ MIELIBY WRÓCIĆ DO KRAJU I CZY KONIECZNIE MUSIELIBY TRAFIĆ DO WARSZAWY? JAK ZMIENIĆ SYSTEM EDUKACJI? ZAPRASZAMY DO CZYTANIA ARTYKUŁÓW Z CYKLU #POLSKA2029
#POLSKA2029
www.holistic.news
Getty Images/ Lukasz Pomotowski / EyeEm

MIASTO GOSPODARZ

Kraków

PARTNER GŁÓWNY

KRAKÓW REGION MAŁOPOLSKA

Międzynarodowy Kongres Ekonomii Wartości

ICE Kraków

19–20 XI 2019

WSPÓŁORGANIZATORZY

Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie

Pracodawcy Rzeczypospolitej Polskiej

Wrocław miasto spotkań

AGH

SPONSORZY STRATEGICZNI

ING

synthos chemical innovations

SPONSORZY

LPP

BNP PARIBAS

vivus.pl

kapsch challenging limits

SPONSORZY WSPIERAJĄCY

IKEA

VELUX

SIEMENS Ingenuity for life

PARTNERZY

ZAiKS

Związek Pracodawców Motoryzacji i Artykułów Przemysłowych

ZUS Zakład Ubezpieczeń Społecznych

FAIRTRADE Polska

Kraków Region Business in Małopolska

GŁÓWNI PATRONI MEDIALNI

Dziennik Gazeta Prawna

interia

RMF

PATRON MEDIALNY

ams

POWERED BY

Eskadra

ORGANIZATOR

Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej

MURAPOL

NAJLEPSZE MIEJSCA NA ŚWIECIE

Andrzej Bargiel
pierwszy narciarz,
który zjechał z K2

Nowe mieszkania z pakietem
antysmogowym i systemem SMART HOME

murapol.pl

wyborcza.pl

Newsy, które chce się czytać

Świat biegnie, chcesz być na bieżąco, ale nie masz czasu na czytanie morza newsów? Dla Ciebie wyciągniemy wszystko to, co najważniejsze i wyślemy wprost na Twojego maila. Trzymaj rękę na pulsie dzięki naszym newsletterom. **Garść optymizmu od Michala Nogasia, wiedza o technologiach, najlepszych serialach, zdrowiu, ekologii i LGBT+** oraz wiele więcej. Wybierz to, co dla Ciebie najlepsze

Wejdź na > **wyborcza.pl/newslettery**

MURAPOL

JESIENNE MIESZKANIOBRANIE

OFERTA 2000 BIS

Poznaj zupełnie nową ofertę
2 000 lokali mieszkalnych
w całej Polsce

Wybierz swoje wymarzone
mieszkanie i znajdź dla siebie
najlepsze miejsce na świecie

Polecam!

Andrzej Bargiel

murapol.pl

HOLISTIC

SPIS

ROZMOWA NUMERU

12 **Klimat nie grzeje elit** – Rozmowa z Yuvalem Noahem Hararim
„Globalne ocieplenie nie grozi ludzkości zagładą i jeszcze możemy je zatrzymać. Szkopuł w tym, że elity lekceważą problem”

POD PRĄD

18 **Self-made man** – Mariusz Zawadzki
Salman Rushdie odczytuje *Don Kichota* na nowo

24 **Ani anioł, ani bydlę... nawet na Księżycu!** – Francesco Groggia
Oriana Fallaci, dziennikarka, która sama stała się tematem

30 **W telewizji ma buzować** – Łukasz Najder
Roger Ailes i jego *shitshow*: informację zmieniał w narrację, a tę we władzę

32 **Z motyką na Ugandę** – Rozmowa z Bogusławem Dąbrowskim
Polski misjonarz, który pokazał, jak wiele może zdziałać jeden człowiek

36 **Obalić system przez WhatsAppa** – Rozmowa z Behrouzem Boochanim
Irański uchodźca w papuańskim obozie stał się sumieniem Australii

42 **Snowden według Snowdena** – Mariusz Zawadzki
W ponad 20 krajach jednocześnie właśnie ukazała się jego autobiografia

46 **Doktor inkubator** – Małgorzata Nocuń
Wizjoner, który otworzył wystawę wcześniaków, by je ratować

48 **Sprzedawczyni miraży** – Jakub Janiszewski
Elizabeth Holmes, jedna z najwybitniejszych blagierek w dziejach

54 **Zielony wandalizm to nie grzech** – Rozmowa z Witoldem Szwedkowskim
Dowódca partyzantki ogrodniczej o tym, co możemy dla planety zrobić sami

58 **Wywrotowiec, który nie istniał** – Agnieszka Pikulicka-Wilczewska
Człowiek, który ujawnił sekrety reżimu w Uzbekistanie

62 **Górnictwo nie z tej ziemi** – Rozmowa z Gordonem Wasilewskim
Prawdziwe bogactwo czeka na ludzi poza naszą planetą

EDUKACJA

66 **Algebra na balkonie** – Jarosław Kociszewski
Edukacja domowa oczami ojca

70 **Jak uczyć historii?** – Jan Hartman
Na lekcjach historii Polski prawdziwe są chyba tylko daty. Reszta to mity

72 **Konkurs *Szkoła od nowa* rozstrzygnięty!** – Przemysław Staroń
Zmiana jest potrzebna. I to dużo lepsza niż dobra

PRZYSZŁOŚĆ

76 **Chroniczny lęk przyszłości** – Jarosław Kuisz
Polski zwrot ku samym sobie to antidotum na lęk przed nadchodzącym

80 **Najludniejsza planeta świata** – Michał Niepytalski
Pod koniec wieku wzrost liczby ludności najpewniej się zatrzyma

84 **W niewoli algorytmów** – Marcin Terlik
Tracimy kontrolę nad tym, co widzimy w sieci. Przejmuje ją sieć

TREŚCI

88 **Człowiek z sercem świni** – Michał Niepytalski
Coraz częściej transplantowane są organy pochodzące od zwierząt

EKOLOGIA

92 **Ekowojowniczki, nie całkiem wariatki** – Karolina Anna Kuta
Kobiety, które walczą ze zmianami klimatu na polskiej prowincji

96 **Nie ma wody na betonowej pustyni** – Rozmowa z Sebastianem Szklarkiem
Zniszczyliśmy wiele mechanizmów obronnych przyrody

PAŃSTWO

100 **Jak konsumować media?** – Łukasz Grzesiczak
Poradnik dla początkujących i średnio zaawansowanych

102 **Ratowanie demokracji** – Rozmowa z Bartłomiejem Michalakiem
Istnieją metody, dzięki którym możemy polepszyć naszą demokrację

106 **Władza z przypadku** – Dominika Kardaś
A może lepiej zmienić ustrój na lottokratyczny i rządzących sobie wylosować?

108 **Papież, który został bożkiem** – Rozmowa ze Stanisławem Obirkiem
W Polsce nie mówi się, że pontyfikat Jana Pawła II był niemal autorytarny

PIENIĄDZE

112 **Duży zysk, jeszcze większy wyzysk** – Rozmowa z Markiem Szymaniakiem
Polskie państwo nie potrafi odpowiednio reagować na przypadki wyzysku

116 **Sami tego chcieliśmy** – Rozmowa z Witoldem Modzelewskim
Czy kapitalizm w Polsce się powiódł?

120 **Zagłębie złomiarzy**
Brudny biznes, w którym bierzemy udział i o którym mało kto słyszał

ŚWIAT

122 **Trzy palce małego Aloszy** – Magdalena Chodownik
Reportaż z Ukrainy o chłopcu, który znalazł bombę

128 **W stałym kontakcie z Bogiem** – Maciej Machcewicz, Tadeusz Michrowski
Opowieść o najdłużej panującym dyktatorze świata

132 **Czekając na afrykańską Wiosnę Ludów** – Rozmowa z Jędrzejem Czerepem
Wiele afrykańskich państw wybiera: dyktatura albo chaos

136 **Najdłuższe konflikty są zapomniane** – Dariusz Rosiak
Wojny, które trwają od dekad, umykają uwadze świata

142 **Chiny są jak Rzym, który nigdy nie upadł** – Rozmowa z Michałem Lubiną
Chiny nie chcą powtórki zimnej wojny i pojedynku sam na sam z USA

148 **Zabijać trzeba umieć** – Julia Zabrodzka
Fotoreportaż ze szkoły korridy

158 **L'Eroica** – Piotr Chałubiński
Wyścig rowerów z historią

162 **Dyskretny urok zabudowanego balkonu** – Paweł Pieniążek
Fotoreportaż o zaskakujących pomysłach architektonicznych na Ukrainie

HOLISTIC

Magazyn Holistic, ISSN 2544-607X
INDEKS: 427713
Wydanie: październik 03/2019 (3)

Redaktor naczelny: Mariusz Zawadzki
Redaktorzy: Zbigniew Rokita, Przemysław Henzel, Jarosław Kociszewski
Kierownik redakcji: Szymon Wachal

Wydawca: Deweloper Media Sp. z o.o.
Adres redakcji: ul. Wielicka 28B, 30-552 Kraków
tel.: 33 333 91 13, e-mail: redakcja@holistic.news

Dyrektor artystyczny: Katarzyna Bieniaszewska
Projekt graficzny i skład: Arkadiusz Kantor

Okładka: Paweł Kuczyński
Ilustracje: Paweł Kuczyński, Agnieszka Sozańska,
Agnieszka Gietko, Agnieszka Skłodowska, Michalina Tańska

Dziennikarze:
Piotr Chałubiński, Wiktor Cyrny, Katarzyna Domagała, Łukasz Grzesiczak,
Dominika Kardaś, Karolina Anna Kuta, Paweł Konar, Michał Niepytalski,
Mateusz Tomanek, Adam Woźniak, Paulina Żebrowska

Współpracownicy:
Magdalena Chodownik, Jan Hartman, Jakub Janiszewski, Jowita Kiwnik-Pargana,
Paweł Pieniążek, Martyna Słowik, Ola Synowiec

Korekta: Firma Korektorska UKKLW

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

Dystrybucja: Polperfect Sp. z o.o. – EMPIK, RUCH, INMEDIO, RELAY
Dystrybucja promocyjna: LCD Media Sp. z o.o., Distribution Point Group Sp. z o.o.

Biuro marketingu i reklamy:
Aleksandra Trela, aleksandra.trela@holistic.news, tel.: +48 537 169 511
Agnieszka Obstarczyk, agnieszka.obstarczyk@holistic.news, tel.: +48 795 478 075
http://adholistic.news

Szukaj nas na:
www.holistic.news
@holisticnews
https://facebook.com/portalHolisticNews/
https://soundcloud.com/holisticnews
https://twitter.com/news_holistic
https://www.youtube.com/c/HOLISTICNEWS

W ostatnim wstępniaku pisaliśmy, że nie będziemy pisać wstępniaków, bo nie mają one żadnego sensu. Ale to było latem. A jesienią – czasu więcej, zmartwień też. Zresztą, jak poucza filozof, nie ma co być niewolnikiem konsekwencji.

Bo nas świat nie tylko ciekawi, ale i martwi. Dlatego spytaliśmy Yuvala Harariego, czy ludzkość przetrwa katastrofę klimatyczną. Uspokoił nas – przetrwa. Ale się nacierpi. A niestety, wbrew temu, co powiada (inny) filozof, cierpienie nie uszlachetnia. „Gdyby tak było, to wystarczyłoby wszystkich poddać ciężkim torturom, żeby naprawić świat" – powiedział nam Salman Rushdie.

Tak czy inaczej, nie można siedzieć z założonymi rękami, trzeba działać. Dlatego w tym numerze pokazujemy sylwetki ludzi, którzy to robią. Często idąc pod prąd.

Redakcja

De Fontenay/JDD/SIPA/AP

Klimat nie grzeje elit

Globalne ocieplenie nie grozi ludzkości zagładą i jeszcze możemy je zatrzymać. Szkopuł w tym, że elity lekceważą problem, bo zakładają, że ich bezpośrednio nie dotyczy. Jeśli ktoś ucierpi, to miliony zwykłych ludzi

Z Yuvalem Noahem Hararim, autorem światowych bestsellerów *Sapiens*, *Homo deus* i *21 lekcji na XXI wiek*, rozmawia Paweł Pieniążek

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Jaka była pierwsza myśl, gdy usłyszał pan o pożarze puszczy amazońskiej?

YUVAL NOAH HARARI: Żadna szczególna. Uważnie śledzę kryzys ekologiczny na całym świecie, więc był to dla mnie kolejny element układanki. Strasznej układanki. Trafił na nagłówki na całym świecie, więc pomyślałem, że może nareszcie przyciągnie też uwagę ludzi.

I jak już przyciągnie ich uwagę, to co zrobią?

Przede wszystkim zmienią priorytety. Myślę, że to się dzieje, ale niedostatecznie szybko. Kluczową kwestią jest zmiana myślenia wszystkich – od obywateli aż do polityków. Znacznie bardziej przejmujemy się terroryzmem i z tego powodu tyle zainwestowaliśmy – sił i środków – w działania antyterrorystyczne. A przecież terroryzm to malutki problem w porównaniu do zmian klimatycznych. Co nie zmienia faktu, że zmiany klimatyczne to problem jak najbardziej rozwiązywalny. Możemy sobie z nim poradzić. Trzeba tylko, żeby ludzkość się nim na serio zajęła.

Co może więc zrobić zwykły obywatel?

Wywierać presję na elity i je kontrolować. Rozliczać z działania. Do tego nie wystarczy jednostkowy aktywizm. Potrzebna jest organizacja. 50 osób, które działają razem jako grupa, jest znacznie bardziej efektywnych niż 500 jednostek. Dlatego zachęcam wszystkich, żeby dołączyli do jakieś organizacji.

Jakiejś konkretnej?

To zależy od tego, na czym komu najbardziej zależy – czy jest to ekologia, niesprawiedliwość, czy nierówność. By działać efektywnie w każdej z tych kwestii, potrzebna jest organizacja.

Socjolog Zygmunt Bauman pisał, że ludzie są wyjątkowym gatunkiem pasożytniczym, który żeruje na planecie Ziemia. Zgadza się pan z tym stwierdzeniem?

To dosyć ekstremalna definicja, ale tak. Jesteśmy seryjnymi mordercami. Systematycznie niszczymy innych mieszkańców Ziemi, ekosystem i inne gatunki. Doszliśmy do punktu, w którym zagrażamy sami sobie.

Nie wierzę jednak, by ludzkość kompletnie zniknęła z powodu zmian klimatu. Są one zagrożeniem dla setek milionów ludzi, ale nie wszystkich. To klasyczna historia o bogatych i biednych, w której biedni zapłacą wyższą cenę. Być może miliard ludzi straci wszystko – domy, pracę, miejsce do życia – i zostaną oni klimatycznymi uchodźcami.

Czyli to nie jest historia o seryjnym mordercy, który ostatecznie chce popełnić samobójstwo?

Jesteśmy dostateczne potężni, a nasze technologie tak zaawansowane, że mimo ogromnych trudności, z którymi będzie zmagała się znaczna części populacji, niektórzy będą nadal mogli cieszyć się bardzo dobrym życiem. Niezależnie od stanu środowiska.

Całe to wzdychanie, że kiedyś było lepiej i że świat schodzi na psy... **Otóż wcale nie było lepiej, a nawet jeśli, to nie ma powrotu do przeszłości**

Jeśli idzie o technologiczny rozwój, to zmiany klimatyczne mogą go nawet przyspieszyć. Myślę, że można to porównać do wojen światowych. Podczas II wojny rządy zainwestowały wiele pieniędzy i podjęły wiele ryzykownych przedsięwzięć, na które nie poważyłyby się w czasach pokoju. Jeśli kryzys klimatyczny będzie się nasilał, to taki sam mechanizm zadziała w XXI w.

Jeśli porównuje pan przyszłość do wojen światowych, to naprawdę wierzy pan, że będzie dramatycznie?

Takie wydarzenia jak katastrofy klimatyczne czy głód mogą doprowadzić do śmierci milionów i opuszczenia domów przez dziesiątki czy setki milionów ludzi. To spowoduje reakcję łańcuchową, bo ogromne migracje doprowadzą do kryzysów politycznych, ekonomicznych i wojen. Skutki mogą być naprawdę katastroficzne dla dużej części rasy ludzkiej, ale – jeśli nie wywoła to czegoś w stylu wojny nuklearnej – nie sądzę, by gatunek *homo sapiens* był jako całość zagrożony.

Z jednej strony to dobrze, z drugiej – źle. Bo to jeden z powodów, dla którego ludzkość nie robi wystarczająco wiele, by walczyć ze zmianami klimatycznymi. Najpotężniejsze kraje i najbardziej wpływowi ludzie zakładają – jak sądzę słusznie – że będą w stanie przetrwać. Najwyższą cenę zapłacą najbiedniejsze kraje na świecie.

Gdy ludzkości zagrażała wojna nuklearna, to elity radzieckie i amerykańskie podjęły kroki, by powstrzymać jej wybuch, bo wiedziały, że jej nie przeżyją. W przypadku zmian klimatycznych elity mogą zakładać, że życie będzie bardzo trudne dla milionów ludzi, ale niekoniecznie dla nich. Skoro mogą to przetrwać, to mogą do sprawy podejść na luzie.

To znaczy, że pan nie wierzy w elity?

Potrzebujemy elit i to się nie zmieni. Cała ta narastająca ostatnio niechęć do elit jest oszustwem i do niczego sensownego nie prowadzi. Co najwyżej do jeszcze gorszej sytuacji. Najczęściej ludzie sprzeciwiają się elitom, bo sami chcą zostać elitą. Nie ma czegoś takiego jak kraj bez elity. Nawet jeśli wymordujesz elity, co do pewnego stopnia zrobili Sowieci, bardzo szybko pojawiają się nowi ministrowie, miliarderzy i przeróżni szefowie.

Nie ma nic złego w elicie samej w sobie. Jeśli jesteś chory, chcesz, by zajął się tobą elitarny lekarz. To znaczy: najlepszy lekarz, jaki jest. Kluczowe jest tylko to, by elity służyły ogółowi populacji i rozumiały, że z ich pozycji nie wynikają tylko przywileje, ale również obowiązki wobec innych. Jeśli elita wywiązuje się z tego przynajmniej do jakiegoś stopnia, to jest już bardzo dobra rzecz.

Wielokrotnie podkreślał pan w swoich książkach, że żyjemy w najlepszych czasach w historii, gdzie cukier jest bardziej niebezpieczny niż proch; epidemie zdarzają się rzadko, nie są wielkim zagrożeniem i nawet stanowią dla niektórych okazję, by zarobić na giełdzie. Dlaczego więc tylu ludzi ma poczucie, że jest coraz gorzej i trafiliśmy w ślepą uliczkę?

Jest wiele przyczyn tego zjawiska. Po pierwsze, nikt z nas nie żył 1000 lat temu, więc nie pamiętamy, że życie było znacznie gorsze w historii. Po drugie, gdy poprawiają się warunki, to wzrastają oczekiwania, więc ludzie mogą pozostać tak samo niezadowoleni, jak byli wcześniej. Po trzecie, osiągnięcia z przeszłości nie są gwarancją lepszej przyszłości. To, że ludzkości udało się pokonać głód i plagi, nie znaczy, że poradzimy sobie ze zmianami klimatycznymi czy rozwojem sztucznej inteligencji.

Getty Images

Najczęściej ludzie sprzeciwiają się elitom, bo sami chcą dołączyć do ich grona

I po czwarte – czasami niezadowolenie celowo, sztucznie podtrzymują politycy. Bo są na świecie dwie metody sprawowania władzy. Najlepsze rządy trwają, bo powodują, że ludzie czują się dobrze. Ale bywają też tacy politycy, które utrzymują się przy władzy, bo powodują, że ludzie czują się źle.

To brzmi dziwnie. Jak władza może trwać dzięki temu, że źle wpływa na ludzkie samopoczucie?

W zasadzie to dosyć powszechne, szczególnie wśród reżimów autorytarnych. Władza powoduje, że ludzie czują niepokój, strach i nienawiść. Należy skierować te negatywne emocje przeciwko wrogom – obcokrajowcom, imigrantom, mniejszościom. Potem wystarczy, że władza obieca chronić ludzi przed tymi wrogami. Im gorzej ludzie się czują, tym mocniejsza staje się władza, bo tym bardziej wydaje się wszystkim potrzebna. Taka władza nie przejmuje się nawet tak podstawowymi sprawami jak służba zdrowia czy edukacja, bo do przetrwania potrzebują tylko, by ludzie odczuwali niepokój i strach.

Staranie się, żeby ludzie czuli się lepiej – to jest dużo trudniejsze. To przypadek demokracji. Zamiast zwalać winę za wszystkie problemy na „wrogów", demokratyczna władza musi ciężko pracować, by je rozwiązać, zapewnić służbę zdrowia i edukację.

Może potrzebna jest nam nowa utopia, która dałaby ludziom poczucie sensu, celu i bezpieczeństwa?

Nie, utopie są niebezpieczne i nigdy nie działają. Wszystkie próby stworzenia utopii doprowadziły do takich katastrof, jak choćby komunistyczna próba budowy raju na ziemi. Ponadto powodują one, że ludzie mają nierealistyczne oczekiwania.

Zamiast budować utopie, powinniśmy skupić się na praktycznych udoskonaleniach ludzkiego życia – by urzędnicy nie brali łapówek, szpitale były lepiej wyposażone, a szkoły miały więcej nauczycieli.

A w XXI w. grozi nam powrót niebezpiecznych utopii?

Powinniśmy być bardzo ostrożni i chronić się przed dwiema pułapkami. Pierwsza to nostalgia za przeszłością; całe to wzdychanie, że kiedyś było lepiej i że świat schodzi na psy. Otóż wcale nie było lepiej, a nawet jeśli, to nie ma powrotu do przeszłości.

Po drugie, powinniśmy wystrzegać się technologicznych utopii. Technologie mogą być bardzo pomocne, ale mogą być też niebezpieczne. Samo ich rozwijanie nie rozwiąże żadnego z naszych problemów. Kluczowe jest to, jak technologie mądrze i z pożytkiem dla ogółu wykorzystywać.

Ale czy my w ogóle o sobie decydujemy? W swoich książkach pisze pan, że nie mamy wolnej woli, bo decydują za nas procesy biochemiczne w naszych mózgach. Ideologie i religie są złudzeniem, ale są popularne, bo w fikcje wierzymy chętniej niż w prawdę. Jeśli to wszystko prawda, to jak tutaj nie zostać cynikiem?

Nie wszystko jest fikcją. Niektóre rzeczy są prawdziwe i gdy uwolnimy się od wszystkich mitów, będziemy mogli patrzeć na świat dużo klarowniej i przytomniej niż dotychczas.

Jednym z najlepszych testów rzeczywistości jest cierpienie. Jeśli chcesz wiedzieć, czy coś jest prawdziwe, czy urojone, zadaj sobie pytanie: „Czy to może cierpieć?". Gdy zburzysz czy spalisz świątynię Zeusa, to Zeus nie będzie cierpiał. Gdy kraj przegrywa wojnę, to kraj tak naprawdę nie cierpi. Jest to tylko metafora. Gdy bank bankrutuje, to bank nie cierpi.

Tymczasem kiedy żołnierz zostaje raniony w bitwie, to naprawdę cierpi. A inwestor cierpi, gdy traci cały swój majątek z powodu bańki spekulacyjnej. Krowa zaś cierpi, gdy jest oddzielona od swojego nowo narodzonego cielaka.

Gdy kraj przegrywa wojnę, to kraj tak naprawdę nie cierpi. Jest to tylko metafora. Gdy bank bankrutuje, to bank nie cierpi. **Kiedy żołnierz zostaje raniony w bitwie, to naprawdę cierpi**

To są rzeczy realne i prawdziwe.

Oczywiście cierpienie może być spowodowane naszą wiarą w fikcję. Na przykład wiara w narodowe i religijne mity może powodować wybuch wojny, w której miliony stracą swoje domy, kończyny czy nawet życie. Przyczyna wybuchu wojny jest fikcyjna, ale cierpienie jest w 100 proc. prawdziwe. To właśnie dlatego powinniśmy dążyć do tego, by rozróżniać rzeczywistość od fikcji.

Fikcja zawsze jest zła?

Przeciwnie, fikcja jest nam potrzebna! Bez pewnych wymyślonych opowieści, takich jak pieniądze, państwa czy korporacje, żadne złożone społeczeństwo nie mogłoby funkcjonować. Ale te opowieści są po prostu narzędziami. Żadna z nich nie powinna nigdy stać się naszym celem samym w sobie. Gdy zapominamy, że one są fikcją, tracimy kontakt z rzeczywistością. Wtedy wszczynamy całe wojny, „by zarobić dużo pieniędzy dla korporacji", „by chronić interesy kraju czy narodu" albo „by szerzyć słowo boskie". To szaleństwo. Korporacje, pieniądze, państwa, narody i bogowie istnieją tylko w naszej wyobraźni. Wymyśliliśmy je, by nam służyły. Jak więc doszło do tego, że poświęcamy dla nich nasze życie?

No właśnie: jak do tego doszło?

Gdy ludzie poszukują sensu życia, w większości przypadków oczekują, że ktoś opowie im historię. *Homo sapiens* jest zwierzęciem opowiadającym historie, które myśli opowieściami i wierzy, że wszechświat sam w sobie funkcjonuje jak opowieść. W tej opowieści są wspaniali bohaterowie i czarne charaktery, konflikty i ich rozwiązania, punkty kulminacyjne i szczęśliwe zakończenia. Wyobrażamy sobie, że żeby zrozumieć sens życia, musimy zrozumieć historię wszechświata i odgadnąć, jaka jest w niej nasza osobista rola.

Ale wszechświat nie jest opowieścią. Nie ma scenariusza i nie ma żadnych z góry ustalonych ról do obsadzenia. Wszystkie historie, które ludzie opowiadają o wszechświecie – żydowska, chrześcijańska, muzułmańska – to tylko fikcje wymyślone przez ludzi.

Gdy ludzie to słyszą, często są przerażeni. Bez opowieści o wszechświecie nie rozumieją, jaki jest cel ich życia. Tymczasem nie ma powodu do rozpaczy. Rzeczywistość ciągle istnieje, nawet kiedy wszystkie mity się rozwieją. Bardzo dobrze, że się rozwieją, bo po co grać w udawanym, wysilonym przedstawieniu? Jeśli odrzucisz wszystkie fikcyjne opowieści, będziesz w stanie widzieć lepiej niż przedtem. Nauczysz się współczuć innym ludziom i sobie. Będziesz wstawał każdego dnia rano i będziesz skupiał się na rzeczywistości. A jeśli poznasz prawdę o sobie i o świecie, to nie będziesz godny pożałowania.

Oczywiście o tym wszystkim łatwiej jest mówić niż to zrobić.

Yuval Noah Harari

jest jednym z najbardziej poczytnych autorów na świecie. Stał się ważną postaci w debacie na temat przeszłości i przyszłości gatunku ludzkiego. Jego książki chwalili i polecali m.in. były prezydent USA Barack Obama, twórca Facebooka Mark Zuckerberg czy założyciel Microsoftu Bill Gates.

Paweł Pieniążek rozmawiał z nim 14 września br. w Kijowie, gdzie Harari przyleciał na forum Jałtańska Strategia Europejska organizowane przez oligarchę Wiktora Pinczuka.

Przed hotelowym pokojem Harariego ustawił się szereg znakomitości spragnionych audiencji – coś w rodzaju kolejki interesantów do współczesnego mędrca. Bezpośrednio za Pieniążkiem był deputowany Swiatosław Wakarczuk, lider popularnego w Kijowie zespołu Okean Elzy i zarazem przywódca partii Głos. Następny był miliarder Petro Poroszenko, który w latach 2014–2019 sprawował urząd prezydenta Ukrainy.

Wizyta Harariego w Kijowie wzbudziła emocje, bo w tym roku ukazało się rosyjskie tłumaczenie *21 lekcji na XXI wiek*. Fragmenty książki, w których krytykował Władimira Putina zostały podmienione na krytykę Donalda Trumpa. Autor tłumaczy, że zgodził się na podmianę, gdyż „chciał dotrzeć do rosyjskiego czytelnika". Do tego – jak twierdzi Harari – rosyjskie wydawnictwo bez jego zgody zmieniło „podbój Krymu" na „przyłączenie Krymu do Rosji".

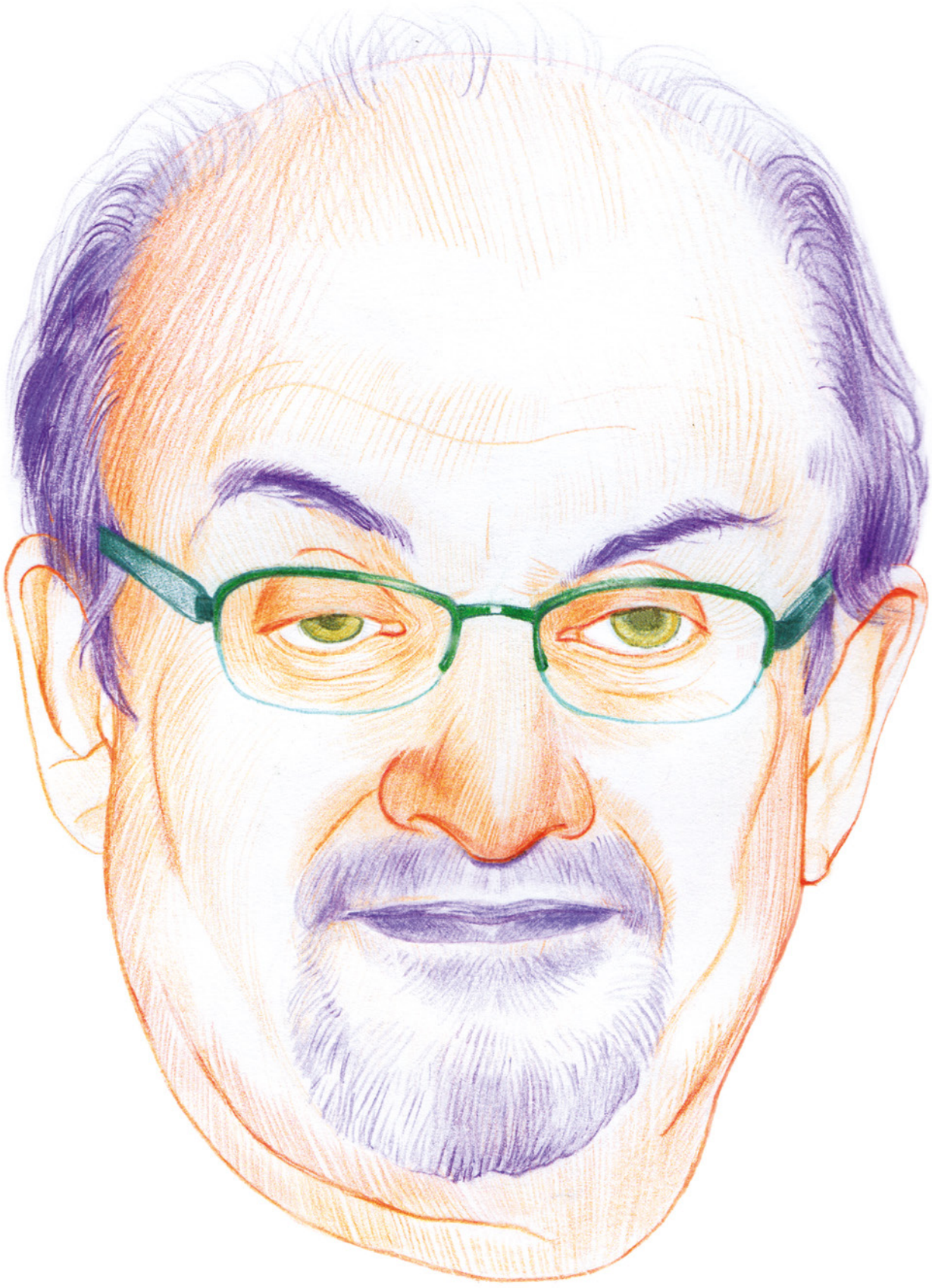

Self-made man

O długiej, pełnej komicznych i dramatycznych zakrętów drodze, jaką musiała przejść ludzkość, żeby przeczytać najnowszą powieść Salmana Rushdiego

Mariusz Zawadzki

Ilustracja Agnieszka Gietko

W roku 1597 w więzieniu w Sewilli — razem z setkami złodziei, nierządnic i mniej oczywistych szalbierzy — siedział pewien poborca podatkowy. Jego pech polegał na tym, że — zebrawszy należne królowi daniny — zdeponował je w banku, który zaraz potem splajtował. Tak przynajmniej tłumaczył się królewskim urzędnikom z braku pieniędzy. Ale nikt mu nie wierzył, bo już wcześniej w jego księgach rachunkowych zdarzały się nieprawidłowości.

Ów pechowiec albo oszust — prawdy nigdy się nie dowiemy — przekroczył właśnie pięćdziesiątkę. Był zatem człowiekiem jak na swoje czasy wiekowym (średnia długość życia wynosiła wtedy 35 lat), ale niczego szczególnego ani godnego uwagi nie osiągnął. Za młodu zaciągnął się do marynarki wojennej króla Filipa II; niestety, wpadł w ręce piratów i najlepsze pięć lat życia zmarnował w tureckiej niewoli (zanim wreszcie odnaleźli go i wykupili rodzice). Potem próbował sił jako literat; napisał podobno kilka sztuk teatralnych, lecz nikt się na jego twórczości nie poznał. Jako poborca podatkowy dorobił się tylko kilkumiesięcznego wyroku.

W takich pożałowania godnych okolicznościach, w mroczniej andaluzyjskiej celi, nasz życiowy przegraniec wpadł na pomysł, że napisze książkę o kimś trochę podobnym do siebie: o dobiegającym pięćdziesiątki zubożałym, smętnym szlachcicu bez przeszłości i przyszłości, który — tutaj podobieństwa pozornie się kończą — czytał zbyt wiele romansów i eposów rycerskich, aż postradał rozum i postanowił zostać błędnym rycerzem.

Wszyscy z grubsza wiedzą, co było dalej, ale dla porządku przypomnijmy: książka stała się bestsellerem jeszcze za życia autora, przynosząc mu sławę w całej niemal Europie. Przez następne cztery stulecia przetłumaczono ją na 140 języków i wydano w 500 mln egzemplarzy.

AMERICAN HERO

Przyczyną jej popularności był porażający komizm. Król Filip III, który panował w latach 1598—1621, widząc, jak jeden z dworzan w sposób niepohamowany pokłada się ze śmiechu, stwierdził: „Ten młody człowiek albo oszalał, albo właśnie czyta Don Kichota".

Przemyślny szlachcic z La Manchy stał się pośmiewiskiem całej ludzkości — razem z wiernym giermkiem Sancho Pansą i krzepką wieśniaczką z sąsiedniej wioski, która w wyobraźni błędnego rycerza zamieniła się w eteryczną i słodką Dulcyneę (podobnie jak przydrożne wiatraki zamieniły się w groźne olbrzymy).

Mało kto dostrzegał, że poza komizmem jest coś więcej; tytułowy bohater uchodził za wariata albo w najlepszym razie za niepoprawnego marzyciela. Za takiego brałem go również i ja, gdy pierwszy raz — jeszcze na studiach — czytałem Cervantesa. Dopiero 20 lat później — kiedy mieszkałem w Ameryce (ten fakt jest kluczowy) i postanowiłem go sobie przypomnieć (w formie audiobooka, którego najlepiej słucha się na highwayu na Dzikim Zachodzie) — doznałem olśnienia.

Otóż Don Kichot jest pierwszym american hero — wymyślonym prawie 200 lat wcześniej niż Ameryka. Odkurza starą zbroję, wsiada na Rosynanta i rusza w drogę, żeby przeżyć resztę życia na własnych warunkach. Staje się tym, kim chce być, panem swojego losu, a nie tym, kim został przypadkiem czy z urodzenia, czyli zubożałym szlachcicem z prowincji.

O takich ludziach Amerykanie mówią z podziwem: *self-made man*.

Inni bohaterowie Cervantesa (i większość jego czytelników) nie mieli takiej odwagi. Biernie poddawali się wyrokom fortuny. Kto urodził się wieśniakiem, przez całe życie pracował na roli. Kto za młodu wyuczył się na balwierza, ten do końca swoich dni golił brody i głowy (oraz wyrywał zęby, bo to w XVII w. wchodziło w zakres obowiązków fryzjerów). Kto przyszedł na świat w rodzinie książęcej, potem od dziecka do śmierci wiódł żywot księcia.

Mówiąc lapidarnym, brutalnym językiem Donalda Trumpa: prawie wszyscy, którzy uważają Don Kichota za losera, w rzeczywistości sami są loserami.

FATWA

Czasami błędnym rycerzem zostaje się wbrew własnej woli; coś takiego przytrafiło się Salmanowi Rushdiemu, autorowi powieści *Szatańskie wersety*. Jego przymusowa donkiszoteria rozpoczęła się 14 lutego 1989 r., kiedy spiker radia w Teheranie odczytał następujący komunikat:

„Ogłaszam, że autor książki *Szatańskie wersety*, która jest przeciwko islamowi, przeciwko prorokowi i przeciwko Koranowi, oraz wszyscy ludzie zaangażowani w publikację tej książki, którzy byli świadomi jej zawartości, zostają niniejszym skazani na śmierć. Wzywam wszystkich muzułmanów, żeby — natychmiast jak tylko ich spotkają — wykonali egzekucję".

Był to dekret religijny, czyli fatwa, wydana przez ajatollaha Chomeiniego, charyzmatycznego przywódcę islamskiej rewolucji w Iranie. Jego słowa powtarzały bezwiednie wszystkie światowe gazety i telewizje. Były szokiem i ponurą przepowiednią wszystkiego tego, co zdarzyło się potem — samolotów, które wbiły się w wieżowce Manhattanu, wojen w Afganistanie i Iraku, powstania i upadku Państwa Islamskiego. Niektórzy twierdzą, że właśnie od *Szatańskich wersetów* zaczęło się osławione „zderzenie cywilizacji" (jak nazwał je później Samuel Huntington).

Czym konkretnie Rushdie zasłużył sobie na śmierć? Tego Chomeini, który sam zmarł cztery miesiące później, nigdy nie wyjaśnił. Może chodziło o wyimaginowany dom publiczny, który opisany jest w *Szatańskich wersetach*. Wszystkie pracujące w nim prostytutki noszą imiona żon proroka Mahometa, co ma w perwersyjny sposób podniecić klientów.

A może poszło o trzy pogańskie boginki wyznawane w Mekce przed islamem. Archanioł Gabriel oznajmił Prorokowi, że muzułmanie mogą nadal oddawać im cześć. Dopiero potem Mahomet zorientował się, że anielskie objawienie było w rzeczywistości szatańską sztuczką, mirażem, kuszeniem, któremu chwilowo uległ. I pospiesznie usunął z Koranu „szatańskie wersety" o boginkach.

Islam odrzuca tę legendę jako apokryf (zresztą jako dogmat przyjmuje się nieomylność Proroka), ale Rushdie wykorzystał ją jako motyw powieści.

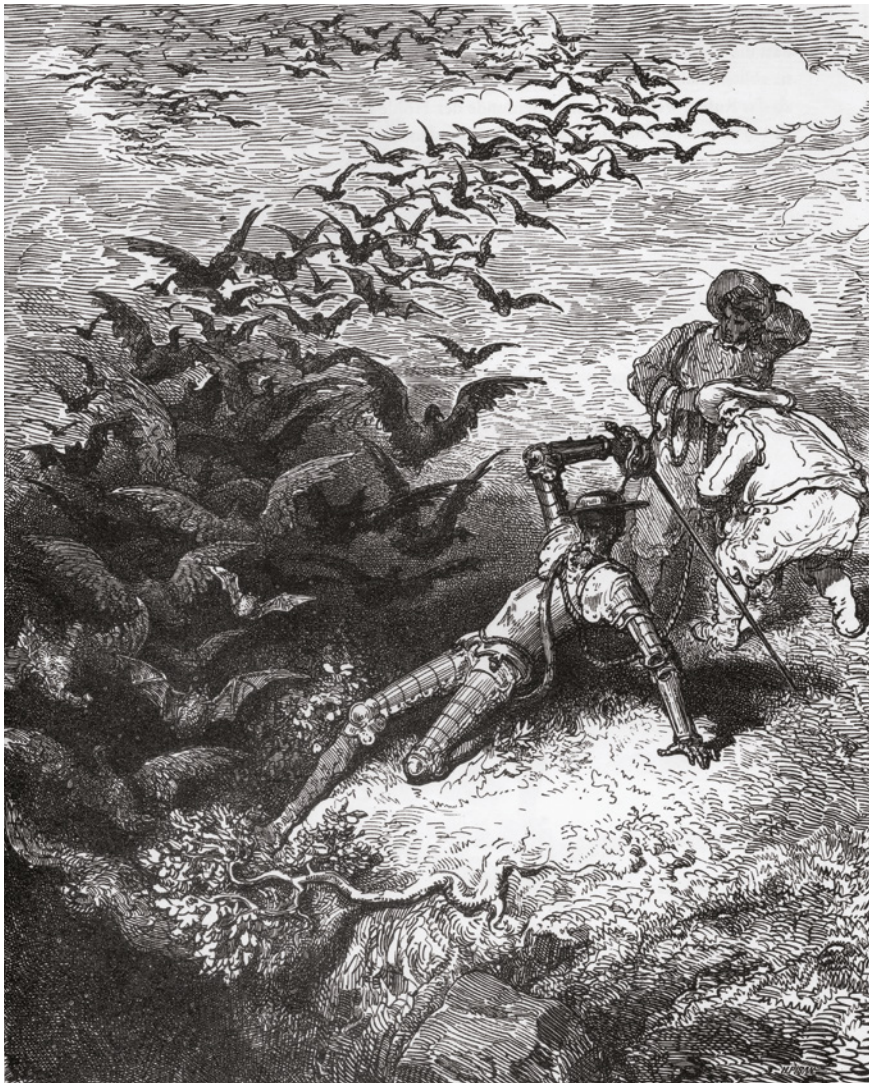

AKG Images/East News

72 HURYSY

Jakiekolwiek było szczegółowe uzasadnienie fatwy, miała dramatyczne i globalne konsekwencje. Setki tysięcy muzułmanów w różnych miastach świata maszerowały, krzyczały i paliły kukły Rushdiego. Kilkanaście księgarń sprzedających *Szatańskie wersety* — m.in. w Nowym Jorku, kalifornijskim Berlekey i Londynie — zostało podpalonych.

3 sierpnia 1989 r. wyleciały w powietrze dwa piętra londyńskiego Beverley House Hotel. Jak się okazało, wybuchła tam bomba przeznaczona oryginalnie dla Rushdiego. Przypadkowo zdetonował ją w swoim pokoju niedoszły zamachowiec, 21-letni obywatel Libanu. Zginął na miejscu, ale — jeśli wierzyć obietnicom ajatollahów — trafił prosto do raju, gdzie obecnie usługują mu 72 hurysy.

Japoński tłumacz *Szatańskich wersetów* został zamordowany, a włoski ciężko ranny. Obydwu zaatakowali — latem 1991 r., w odstępie kilku dni — nieznani sprawcy uzbrojeni w noże. W lipcu 1993 r. w tureckim Sivas spłonęło żywcem 35 ludzi, głównie tureckich intelektualistów, którzy przyjechali tam na konferencję poświęconą poezji. Hotel, w którym się zatrzymali, podpalił rozwścieczony tłum wychodzący z pobliskiego meczetu. Celem ataku był Aziz Nesin, który przetłumaczył na język turecki fragmenty *Szatańskich wersetów* (ale jemu akurat udało się uciec). Trzy miesiące później w Oslo postrzelony został William Nygaard, norweski wydawca Rushdiego (trafiono go trzykrotnie, ale przeżył).

ŻOŁNIERZ W STARCIU CYWILIZACJI

Jeśli chodzi o samego Rushdiego, to musiał zniknąć. Brytyjski rząd objął go programem ochrony, przez 24 godziny na dobę czuwali nad nim funkcjonariusze tajnej policji. W pierwszym półroczu po fatwie przeprowadzał się 56 razy — średnio co trzy dni. Zmienił nazwisko na Joseph Anton (od imion swoich ulubionych pisarzy, Josepha Conrada i Antona Czechowa). Nieustannie bał się o życie 9-letniego syna, który mieszkał z żoną z poprzedniego małżeństwa.

Na początku kilka razy przeprosił muzułmanów, ale bez skutku — biuro ajatollaha w Teheranie odpowiedziało, że „choćby nie wiadomo jak się pokajał, to obowiązkiem każdego muzułmanina jest wysłać go do piekła". Potem, z biegiem lat, stawał się coraz bardziej asertywny. Coraz głośniej krytykował fanatyczny islam i wychwalał wolność słowa. Aż wreszcie, chcąc nie chcąc, zaakceptował rolę błędnego rycerza walczącego o zachodnie wartości z religijnymi fanatykami, których nijak nie da się przekonać.

W 2008 r. został nawet formalnie pasowany na rycerza — ceremonię celebrowała osobiście królowa Elżbieta II.

Paradoksalnie, fatwa, która wywołała tyle nieszczęść i dramatów, również w jego życiu, jednocześnie była dla niego trampoliną do sławy. Wywindowała go do statusu podobnego gwiazdorom rocka. I przyniosła mu miliony. *Szatańskie wersety* są książką trudną (i wcale nie najlepszą w jego dorobku), ale w pierwszym półroczu po fatwie sprzedały się w 750 tys. egzemplarzy.

Po kilku latach ukrywania się emigrował do Ameryki, z którą — w następstwie zamachów 11 września 2001 r. — odczuwa szczególną solidarność. Był celebrytą, dlatego lgnęły do niego młode, piękne kobiety, do których zawsze miał słabość. Z ich powodu pojawiał się czasem na okładkach nowojorskich tabloidów i portali plotkarskich.

Ale nadal pozostawał Don Kichotem, więc było tylko kwestią czasu, kiedy napisze powieść o Don Kichocie. Bo każdy pisarz — choćby zarzekał się, że to nieprawda — pisze najczęściej o sobie.

Król Filip III widząc, jak jeden z dworzan w sposób niepohamowany pokłada się ze śmiechu, stwierdził: **„Ten młody człowiek albo oszalał, albo właśnie czyta *Don Kichota*"**

QUICHOTTE

Owa logicznie i psychologicznie nieunikniona powieść została właśnie wydana, na razie w wersji anglojęzycznej, pod tytułem Quichotte. 27 sierpnia br., tydzień przed jej światową premierą, Salman Rushdie spotkał się z czytelnikami w Oksfordzie. Przy wejściu na kameralną salę nie było żadnej kontroli, żadnych bramek z wykrywaczami metalu, żadnych nerwowo rozglądających się ochroniarzy z nadajnikami w uszach — co może dziwić, bo fatwa nigdy nie została odwołana, formalnie rzecz biorąc, nadal obowiązuje.

Na dobry początek autor sam przeczytał kilka pierwszych stron książki.

Żył pewnego razu — pod serią tymczasowych adresów w całych Stanach Zjednoczonych — wędrowny komiwojażer pochodzenia hinduskiego i słabnących sił umysłu, który — z uwagi na zamiłowanie do kretyńskiej telewizji — spędzał zdecydowanie zbyt wiele czasu, oglądając ją namiętnie w żółto oświetlonych pokojach nędznych moteli i w efekcie zapadł na osobliwy rodzaj upośledzenia mózgu. Pożerał programy śniadaniowe; soap opery; dramaty szpitalne; seriale policyjne; opowieści żon Beverly Hills, New Jersey, Atlanty i Nowego Jorku; łzawe romanse i kłótnie dziedziczek fortun; młode celebrytki, które zdobyły ogromne zasięgi w mediach społecznościowych tylko dlatego, że potrafiły łowić ogromne kraby w pięknych okolicznościach przyrody mając na sobie niewiarygodnie skąpe bikini. [...] Całkowite zatracenie się w materiale, który serwowano mu — w dawniejszych czasach — za pośrednictwem kineskopów katodowych, a współcześnie za pośrednictwem płaskich monitorów ciekłokrystalicznych lub plazmowych, miało dla naszego bohatera nieprzyjemne i daleko idące konsekwencje: zaczął mianowicie cierpieć na psychiczne zaburzenie, w którym granice między prawdą i kłamstwem stają się coraz bardziej niewyraźne, aż wreszcie całkowicie utracił zdolność ich dostrzegania. Następnie, w bliżej nieokreślonym momencie, poczuł jednostronną i absolutnie nieodwzajemnioną namiętność do pewnej osobowości telewizyjnej — pięknej, dowcipnej i podziwianej Salmy R. — które to uczucie całkowicie błędnie zinterpretował jako miłość. W imię tej tak zwanej miłości postanowił podążać za swoją „ukochaną" choćby przez ekran telewizora, do krainy wysokiej rozdzielczości ultra HD, którą ona i jej podobne zamieszkują, aby — za sprawą szlachetnych czynów i uroku osobistego — zdobyć jej serce. [tłum. MZ]

Osobiście nie wierzę, że cierpienie czyni człowieka lepszym. Gdyby tak było, to wystarczyłoby wszystkich poddać ciężkim torturom, żeby naprawić świat

POSTMODERNISTYCZNE SZTUCZKI

Brawurowa introdukcja jest dobrą zapowiedzią tego, co w powieści (nominowanej do tegorocznej nagrody Bookera) dzieje się dalej. Zakochanemu komiwojażerowi — używającemu przydomka Quichotte — towarzyszy w podróży przez Amerykę jego wyimaginowany syn Sancho, który początkowo występuje jedynie w wersji czarno-białej, ale stopniowo nabiera kolorów. Ledwie zdążymy się pogodzić z iluzorycznością syna, a już dowiadujemy się, że Quichotte również jest iluzją; powstał w wyobraźni zblazowanego autora powieści szpiegowskich, który postanowił dla odmiany napisać satyrę na współczesną Amerykę.

„Nigdy wcześniej nie robiłem takich postmodernistycznych sztuczek, tzn. nie pisałem książki o pisarzu, który pisze książkę. Kiedy ten drugi, nadrzędny wątek narracyjny się pojawił, dla mnie samego było to wielkie zaskoczenie" — mówił mi Rushdie. „Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł. Ale z biegiem czasu te dwie historie — pisarza i wymyślonego przezeń komiwojażera — zaczęły ze sobą prowadzić dialog, który wydawał się obiecujący. Nadal się obawiałem, bo wiedziałem, że żeby książka działała, obydwie narracje muszą stopniowo do siebie zbiegać, a na koniec trzeba będzie zrobić coś, żeby czytelnik uwierzył, że są one tak naprawdę jedną historią. I nie miałem pojęcia, jak to zrobić".

Wszystko to wydaje się maksymalnie zakręcone, ale tylko tym, którzy nie czytali pierwowzoru. Rushdie jest uczniem, który podążył śladami mistrza.

Don Kichot i Sancho Pansa w drugiej części powieści Cervantesa wiedzą, że są bohaterami wydanej niedawno pierwszej części; spotykają ludzi, którzy ją czytali i toczą z nimi surrealistyczne dyskusje o dłużyznach i nielogicznościach fabuły w części pierwszej. Chodzi np. o osła Sancho Pansy, który został mu skradziony, ale kilka rozdziałów później giermek znowu — ni stąd ni zowąd — na nim jeździ. W drugiej części Sancho docieka, jak doszło do takiej skandalicznej pomyłki narracyjnej i kto jest za nią odpowiedzialny.

Ustalenie winowajcy wcale nie jest proste, bo narrator — zaraz po przygodzie z wiatrakami, czyli prawie na początku części pierwszej — zastrzega, że nie jest autorem powieści, a jedynie jej „edytorem". Rzekomym autorem ma być niejaki Cyd Hamet Benengeli, mauretański kronikarz, któremu „choćby z racji pochodzenia nie można ufać". Co gorsza, „edytor" odnalazł dzieło Cyda Hameta jedynie w przekładzie hiszpańskim, dokonanym przez nieznanego tłumacza.

Takie „postmodernistyczne sztuczki" stosuje Cervantes z premedytacją, żeby zamazać granicę między światem obiektywnym i subiektywnym, jego postrzeganiem, między rzeczywistością i wyobraźnią, między życiem i literaturą. Bo ta granica jest bardziej płynna, niż nam się wydaje.

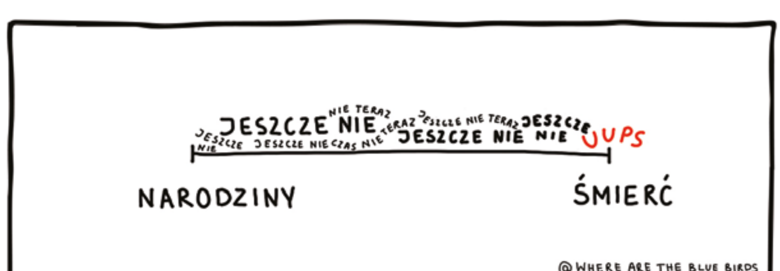

CZY BYŁO WARTO?

O dziwo, na spotkaniu w Oksfordzie nie było żadnych świrów, którzy w Polsce pojawiają się praktycznie na każdym wieczorku autorskim. Publiczność zadawała sensowne pytania i nawet wcale nie na kolanach przed Wielkim Mistrzem. Sir Salman tryskał humorem, choć czasami powtarzał te same żarty, które opowiada na wszystkich innych spotkaniach z czytelnikami lub dziennikarzami. Jednakże ludzie, którzy widzieli go i słyszeli po raz pierwszy (albo przynajmniej pierwszy raz od dawna), z pewnością wychodzili oczarowani.

„Spotkałem Trumpa na jakimś przyjęciu w Nowym Jorku" — wspominał. „Był bardzo miły. Zaprosił mnie do swojego boksu na korcie głównym na US Open. Ale ponieważ jest Donaldem Trumpem, nie mógł tego zrobić tak po prostu. Powiedział: »Musisz koniecznie zobaczyć mój boks, bo jest lepszy i większy od wszystkich innych boksów«".

Po spotkaniu, kiedy rozdał już wszystkie autografy, zapytałem, czy pogodził się ze swoją przymusową donkiszoterią i czy po tym, co przeżył, stał się lepszym, bogatszym duchowo człowiekiem.

„Osobiście nie wierzę, że cierpienie czyni człowieka lepszym. Gdyby tak było, to wystarczyłoby wszystkich poddać ciężkim torturom, żeby naprawić świat" — odparł.

Żarty się skończyły, zastąpił je patos, i nawet jego wzrok stał się na kilka chwil jakiś taki... błędny.

„Oczywiście, że wolałbym, żeby to wszystko się nie zdarzyło. Ale jednocześnie jestem z siebie bardzo dumny. To nie była donkiszoteria. Nie podjęliśmy tej walki po to, żeby powalczyć. Podjęliśmy ją, żeby wygrać. I dzisiaj, z uśmiechem na ustach, mogę oznajmić: wygraliśmy. Moja książka miała być zniszczona, miała zniknąć. Ale jest. Leży na półce w księgarni po drugiej stronie ulicy".

Tutaj Sir Salman, zapewne ze względu na emocjonalne wzmożenie, się pomylił — w donkiszoterii nie jest istotne, czy się wygrywa, czy przegrywa. Ważne tylko, czy ktoś się odważy. Jak w sporcie — sam udział w zawodach oznacza zwycięstwo.

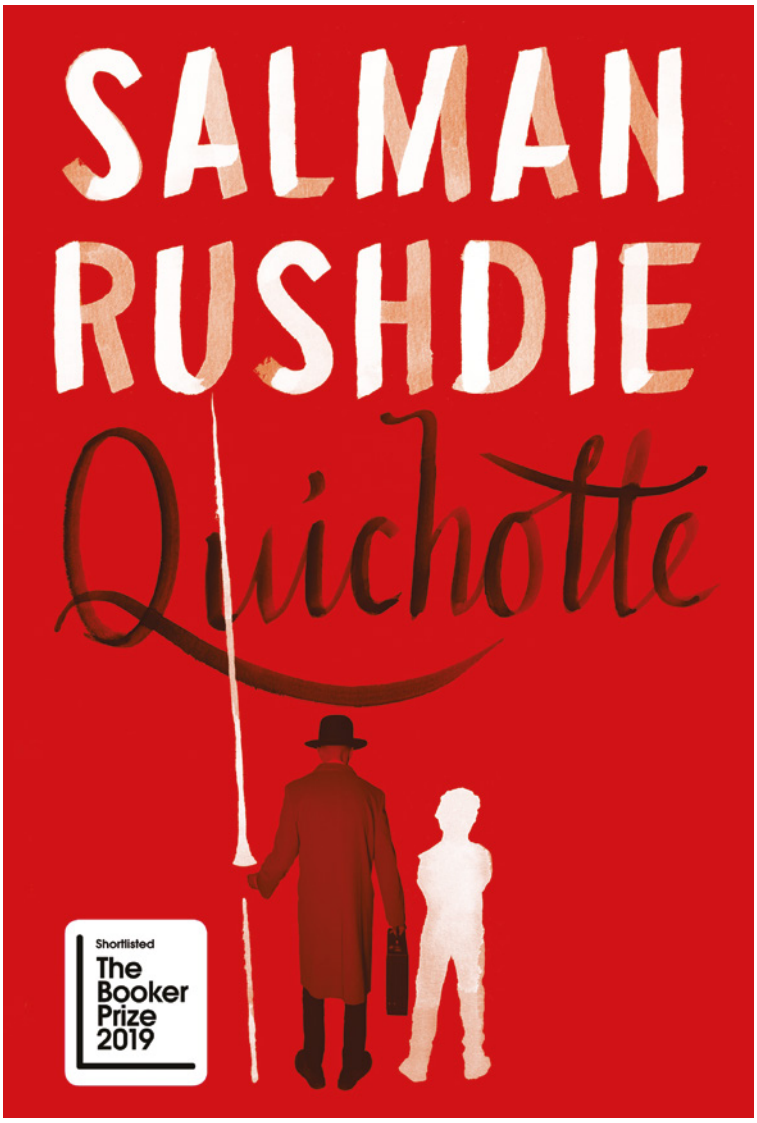

Wydawnictwo Jonathan Cape

AKG Images/East News

Ani anioł, ani bydlę...
nawet na Księżycu!

Człowiek nie jest ani aniołem, ani bydlęciem; nieszczęście w tem, iż kto się chce wspiąć do anioła, spada do bydlęcia – ta myśl Pascala była motywem przewodnim całej twórczości Oriany Fallaci, jednej z najwybitniejszych reporterek XX w.

Francesco Groggia

Z okazji pięćdziesięciolecia lądowania człowieka na Księżycu „Corriere della Sera", najbardziej poczytny i prestiżowy dziennik we Włoszech, jako dodatek do gazety wydał książkę Oriany Fallaci *Ten dzień na Księżycu* (*Quel giorno sulla Luna*), opublikowaną pierwotnie w 1970 r. Wybór gazety wcale nie jest zaskakujący we Włoszech, gdzie serie wydawnicze poświęcone twórczości tej pisarki mnożyły się w ciągu ostatnich dekad. Czytelnikom spoza kultury włoskiej warto przypomnieć, że Fallaci, zanim wcieliła się w rolę antyislamskiej „Kasandry Europy" po zamachach z 11 września 2001 r., była jedną z najbardziej znanych i najbardziej wyrazistych dziennikarek XX w., reporterką i korespondentką wojenną, autorką wywiadów z najwybitniejszymi politykami świata. Prawdziwą ikoną dziennikarstwa drugiej połowy ubiegłego wieku.

Na początku lat 60. Fallaci wielokrotnie odwiedzała Johnson Space Center w Houston w Teksasie, gdzie odbywają się treningi astronautów NASA, i kosmodrom Johna F. Kennedy'ego, położony na przylądku Canaveral na Florydzie, miejsce startów statków kosmicznych. Poznała wtedy wielu pracowników, techników, naukowców i wszystkich astronautów programu Apollo. Rozmawiała z nimi, robiła wywiady, zbierała materiał na książkę, opisywała w różnych artykułach, jak NASA się przygotowuje do podboju kosmosu. *Ten dzień na Księżycu* zawiera wszystkie typowe cechy reportażu Fallaci: bezkompromisowość, skrupulatne przygotowanie materiału, znakomita umiejętność zadawania celnych pytań, bardzo osobisty styl: czasem agresywny, czasem liryczny.

ZDEMASKOWANIE BOHATERA

Do wywiadów przygotowywała się tygodniami, czytając dosłownie wszystkie materiały na temat swojego przyszłego rozmówcy, i często korzystała z prowokacji, żeby wydobywać od niego takie komentarze, jakich nie udało się uzyskać nikomu innemu. To się zdarzyło na przykład z Henrym Kissingerem w 1972 r., kiedy amerykański sekretarz stanu odpowiedział, że uważa siebie za uosobienie amerykańskiego mitu o samotnym kowboju. Prezydent Nixon poczuł się urażony, a Kissinger stał się obiektem kpin (napisał w autobiografii, że udzielenie tego wywiadu było największym błędem jego życia).

Czasami zdemaskowanie wynika z narcyzmu rozmówcy, czasami z braku empatii, jak w słynnym wywiadzie z Jaserem Arafatem, gdzie lider palestyńskiej walki, bohater narodowy wypadł jak pusty, arogancki człowiek bez charyzmy.

W przypadku programu Apollo sprawa jest bardziej skomplikowana. Kim są astronauci, bohaterowie kosmosu? „Powiedzmy to od razu: prowincjonalni drobnomieszczanie" – pisze Fallaci. Solidni, przeciętni, lojalni, przede wszystkim niezawodni. Typowi przedstawiciele pokolenia Amerykanów urodzonych w latach 30. i uosobienie jego ideałów: dobrobyt materialny, konformizm, optymizm, solidne wartości religijne, brak wyobraźni.

Ich antybohaterstwo jednak nie polega wyłącznie na pochodzeniu społecznym, lecz na cechach ich charakteru. Wyprawa na Księżyc to dla nich sprawa czysto technologiczna, która powinna w największym stopniu zminimalizować ryzyko awarii. Latanie w kosmos powinno być, według Neila Armstronga, tak samo niebezpieczne jak „używanie miksera w przygotowaniu shake'a".

Szczególnie Armstrong jest jak robot: niczym się nie pasjonuje, niczym, oprócz technologii lotniczej, się nie interesuje; jest zimny jak kalkulator, nigdy nie czytał wierszy ani powieści, nie lubi muzyki, malarstwa. Można tylko sobie wyobrazić, z jakim trudem wymyślił (dużo wcześniej) te słynne słowa wypowiedziane szybko i bez emocji podczas lądowania na Księżycu, kiedy nikt nie oczekiwał od niego nic więcej niż „Fantastic!".

Fallaci jednak na końcu uznaje, że astronauci muszą tacy być. Gdyby tam, na Księżycu, naprawdę zdali sobie sprawę z tego, co zrobili, gdyby nie skupili się tylko na wykonaniu pracy, ale zatrzymaliby się na chwilę przed nieskończonością kosmosu i zastanowiliby się nad tym, co się dzieje, nie mogliby wrócić bezpiecznie.

Nawet ich żony, pozornie puste i wycofane, są tego świadome: „Zauważyłam, że mój mąż jest teraz jak robot. Jestem przez to smutna, ale jednocześnie się cieszę, bo to jest największą gwarancją, że on wróci".

UCIECZKA Z FABRYKI MARZEŃ NA WOJNĘ

Na początku czas spędzony przez Orianę Fallaci w NASA zaowocował książką *Jeśli Słońce umrze* (*Se il sole muore*; 1965), która dobrze pokazuje, czym jest reportaż dla włoskiej autorki. W czasach przedinternetowych podstawa reportażu była jedna, niezmieniona od Herodota do Kapuścińskiego: zobaczyć na własne oczy, być na miejscu, jak najbliżej wydarzeń. W trudnych i łatwych sytuacjach.

Dziś mało kto pamięta, ale w latach 50., na początku swojej kariery, Oriana Fallaci pisała o gwiazdach show-biznesu dla tygodnika „L'Europeo", w którym pracowała do 1977 r. Mieszkając w Rzymie w epoce świetności włoskiego kina, mogła łatwo wykonywać swoją pracę, towarzysząc Felliniemu czy przebywającym w studiu filmowym Cinecittà amerykańskim gwiazdom.

Wiedziała jednak, że jej dziennikarskie powołanie było inne i miała okazję to udowodnić w 1956 r., kiedy na Węgrzech wybuchło powstanie. Jako dziennikarka z Zachodu nie dostała węgierskiej wizy, więc przekroczyła granicę nielegalnie: przyłączyła się do konwoju Czerwonego Krzyża i dotarła z nim do trudno dostępnych miejsc.

Być świadkiem, opisać wydarzenia na podstawie własnych doświadczeń – to jednak jej nie wystarczyło. W swoich

Pigi Cipelli/Mondadori Portfolio/Leemage/East News

Kim są astronauci, bohaterowie kosmosu? „Powiedzmy to od razu: prowincjonalni drobnomieszczanie" – pisze Fallaci

reportażach Fallaci nigdy nie ukrywa swojej obecności. Ona nie jest tylko świadkiem, lecz także współaktorem, współuczestnikiem. W jakim celu? Czy to tylko egocentryzm? Poszukiwanie prawdy? W czasie wojny, wiadomo, pierwszą ofiarą jest zawsze prawda, jak przypomina brytyjski reporter Phillip Knightley w swojej książce *Pierwsza ofiara* (*The First Casualty*, 1975).

Jednak Oriana – jako reporterka i korespondentka wojenna – oprócz prawdy szuka zawsze czegoś innego. Intensywnie, uporczywie. Szuka odpowiedzi.

Na początku kariery pisała o gwiazdach show-biznesu. Ale kiedy w 1956 r. na Węgrzech wybuchła rewolucja, przekradła się przez granicę, żeby tam być

PROSTE PYTANIA, TRUDNE ODPOWIEDZI

Za każdą jej książką stoi zawsze jakieś pytanie. Proste, zasadnicze pytanie, jakie czasami tylko dzieci potrafią zadawać. Na przykład „Co to jest życie?" – pytanie zadawane przez jej siostrzenicę Elisabettę przed wyjazdem Oriany do Wietnamu. Na podstawie tego pytania powstała książka *Nic i amen* (*Niente e così sia*, 1969), która zawiera teksty z Wietnamu, gdzie Fallaci opisuje brutalność i kłamstwo po obu stronach konfliktu – ale przez pryzmat osobistych doświadczeń. Siedziała w samolocie obok żołnierza, który zrzucał bomby z napalmem, i czuła się, jakby ona je zrzucała.

Najgorsze doświadczenie miała jednak w 1968 r. w Meksyku, kiedy w czasie demonstracji na placu Trzech Kultur – gdy policja otworzyła ogień do studentów – została ranna. Początkowo uznano ją za zmarłą i umieszczono w kostnicy wśród ciał zamordowanych, dopóki jakiś ksiądz nie zdał sobie sprawy, że Fallaci żyje.

„Co to jest życie?" Jak na ateistkę miała wiele do przemyślenia. Kiedy wróciła do siostrzenicy, mogła tylko powiedzieć: „Życie to wyrok śmierci. Właśnie z tego powodu nie wolno nam go marnować, nie wolno tracić ani sekundy, nie trzeba się bać pomyłek. Bo jesteśmy ludźmi. Nie aniołami, nie bydlętami, tylko ludźmi".

Effigie/Leemage/East News

Ostre i celne pytania stały się wizytówką Oriany Fallaci. Mierzyli się z nimi m.in.: Ruhollah Chomeini, Mohammad Reza Pahlawi, Deng Xiaoping czy Lech Wałęsa

HISTORIA I WŁADZA

Za *Wywiadem z historią* (*Intervista con la Storia*; 1974), zbiorem wywiadów z najważniejszymi politykami, też kryje się jedno proste pytanie: „Co to znaczy być człowiekiem?". Zadała je greckiemu poecie i politykowi Aleksandrosowi Panagulisowi, który był wielką miłością Oriany Fallaci (ich związek trwał osiem lat aż do jego śmierci w tajemniczym wypadku samochodowym). Panagulis jednak jest jednym z nielicznych dysydentów, z którymi Fallaci zrobiła wywiad. Większość odpytywanych to ludzie władzy, więc dla nich pytanie musiało brzmieć: „Co to znaczy być człowiekiem władzy?".

Czy tacy ludzie są naprawdę w stanie zmienić bieg historii? Czy są do tego przygotowani, czy mają odpowiednie umiejętności? Czy raczej należy traktować historię jako proces żywiołowy i irracjonalny, w którym decydującą rolę odgrywają inne czynniki? To pytanie dręczyło, jak wiadomo, Tołstoja, który w *Wojnie i pokoju*, zgodnie ze swoją fatalistyczną koncepcją historii, minimalizował rolę wybitnych ludzi. Fallaci wydaje się podzielać tę koncepcję historii. W jej oczach – nawet jeśli ludziom władzy nie brakuje inteligencji – w większości wypadków inne cechy mają przewagę: próżność, arogancja, zarozumiałość. Czasami dochodzi do tego niepokojący brak kontaktu z rzeczywistością jak w przypadku cesarza Etiopii Hajle Sellasjego. „Wybraniec Boży" zaczął krzyczeć i przerwał wywiad w momencie, kiedy Fallaci zadała mu pytanie, co myśli o własnej śmierci.

PO CO LATAĆ W KOSMOS

Najważniejsze pytanie *Tego dnia na Księżycu* – w kulturowym i filozoficznym sensie – brzmi: „Po co latać w kosmos?". Fallaci, chociaż świadoma ogromnego znaczenia tego wydarzenia i coraz bardziej podekscytowana zbliżającym się startem rakiety, nigdy nie zapomina o drugiej stronie medalu. Program Apollo kosztuje kolosalne pieniądze, które można by przeznaczyć na co innego. Wojna w Wietnamie toczy się dalej, wciąż zbiera krwawe żniwo.

Zresztą należy przypomnieć, że każdy z tych astronautów, z tych bohaterów, był na wojnie (w Korei), zrzucał bomby i zamordował wielu ludzi. Rakietę Saturn projektował ten sam Wernher von Braun, członek partii nazistowskiej, oficer SS, który podczas II wojny światowej był współtwórcą pocisków balistycznych V2.

Program Apollo to symbol człowieczeństwa, a słowa Pascala są prawie wszechobecne w książkach Oriany Fallaci: „Taki jest człowiek. Wymyśli bombę atomową i lata na Księżyc. Ani anioł, ani bydlę, lecz anioł i bydlę".

MŁODA KASANDRA

Jak dobrze popatrzeć, być może już w książce ***Ten dzień na Księżycu*** Fallaci przyjęła rolę Kasandry. Zgodnie z dostępnymi wtedy badaniami opisywała trzy różne zagrożenia związane z wyprawą na Księżyc. Pierwsze to śmierć fizyczna przez kontaminację pozaziemską, czyli hipoteza, że kontakt z pozaziemskim wirusem może mieć destrukcyjne skutki dla ludzi, może nawet całej ludzkości. Wtedy NASA brała na serio pod uwagę to niebezpieczeństwo, do tego stopnia, że to było głównym powodem stworzenia procedur kwarantanny dla programu Apollo.

Drugie zagrożenie to śmierć moralna, czyli możliwość, że wyprawa na Księżyc będzie tylko wydarzeniem medialnym, wielkim przedstawieniem służącym interesom show-biznesu i polityków

Vittoriano Rastelli/Corbis/Getty Images

Z greckim opozycjonistą Aleksandrosem Panagulisem Oriana Fallaci związana była przez kilka lat – aż do jego tragicznej śmierci w tajemniczym wypadku samochodowym

[dla Ameryki program Apollo był odpowiedzią na wysłanie przez Związek Radziecki sputnika, a potem człowieka, na orbitę okołoziemską – red.].

Trzecie zagrożenie to śmierć duchowa, czyli możliwość „że technologia nami zawładnie, znieczuli nasz mózg i nasze serce, zmieni nas w roboty pozbawione wyobraźni, uczuć, buntu". Że świat zdominowany przez technologię nie będzie światem osób poszukujących piękna, lecz światem uporządkowanych automatów, zawsze niezawodnych i skutecznych.

Z tych trzech zagrożeń pierwsze, czyli kontaminacja pozaziemska, co do tego mamy pewność, jest nieprawdopodobne. Ale czy dwa pozostałe nie brzmią znajomo?

LITERATURA, CZYLI KLUCZ DO WIECZNOŚCI

Życie i twórczość Oriany Fallaci stały pod znakiem literatury, a nie dziennikarstwa. Uważała się za pisarkę, nie reporterkę. Nosiła rzadkie imię Oriana na cześć księżnej Guermantes, jednej z bohaterek ***W poszukiwaniu straconego czasu*** Marcela Prousta. Jej rodzice – chociaż ludzie prości (ojciec był stolarzem, matka krawcową) – rozbudzili w niej miłość do książek.

Kiedy miała dwanaście lat, w czasach dyktatury faszystowskiej we Włoszech (urodziła się w 1929 r.), czytała z pasją ***Zew krwi*** Jacka Londona i utożsamiła się z psem Buckiem, symbolem oporu i przetrwania. Od samego początku wierzyła, że tylko literatura może dać odpowiedzi na zasadnicze pytania.

Cesarz Hajle Sellasje zaczął krzyczeć i przerwał wywiad, kiedy spytała, co myśli o własnej śmierci

Na pytanie „Co to znaczy być człowiekiem?" Panagulis na końcu odpowiada: „Mniej więcej to, co mówi Kipling w wierszu ***Jeżeli***".

Z kolei na pytanie „Po co latamy w kosmos?" bodaj najlepiej odpowiedział Ray Bradbury, słynny pisarz, autor ***Kronik marsjańskich*** i ***451 stopni Fahrenheita***: „Z tego samego powodu, dla którego rodzimy dzieci. To nam daje poczucie wieczności. Bo się boimy śmierci. Jeśli Słońce umrze, jeśli Ziemia umrze, jeśli ludzkość z nimi umrze, umrze wszystko, co robiliśmy. Homer, Leonardo da Vinci, Szekspir, Einstein. Musimy przetrwać. Gdzie indziej. Nawet w zupełnie innym kształcie, jako owady albo kule ognia. Musimy przeżyć i zachować świadomość tego, co zrobiliśmy, kim byliśmy".

Francesco Groggia

Rudyard Kipling

JEŻELI

Jeżeli spokój zachowasz, choćby go stracili
Ubodzy duchem, ciebie oskarżając;
Jeżeli wierzysz w siebie, gdy inni zwątpili,
Na ich niepewność jednak pozwalając.

Jeżeli czekać zdołasz, nie czując zmęczenia,
Samemu nie kłamiesz, chociaż fałsz panuje,
Lub nienawiścią otoczon, nie dasz jej wstąpienia,
Lecz mędrca świętego pozy nie przyjmujesz.

Jeżeli masz marzenia, nie czyniąc ich panem,
Jeżeli myśląc, celem nie czynisz myślenia,
Jeżeli triumf i porażkę w życiu napotkane
Jednako przyjmujesz oba te złudzenia.

Jeśli zniesiesz, aby z Twoich słów
Dla głupców pułapkę łotrzy tworzyli,
Lub gmach swego życia, co runął w nów,
Bez słowa skargi wznieść będziesz miał siłę.

Jeżeli zbierzesz, coś w życiu swym zdobył,
I na jedną kartę wszystko to postawisz,
I przegrasz, i zaczniesz wieść żywot nowy,
A żal po tej stracie nie będzie cię trawić.

Jeżeli zmusisz, choć ich już nie stanie,
Serce, hart ducha, aby Ci służyły,
A gdy się wypalisz, wola twa zostanie
I wola ta powie ci: Wstań! Zbierz siły!

Jeżeli pokory twej zniszczyć nie zdoła tłumu obecność,
Pychy nie czujesz, z królem rozmawiając,
Jeżeli nie zrani cię wrogów ni przyjaciół niecność,
I ludzi cenisz, żadnego nie wyróżniając.

Jeżeli zdołasz każdą chwilę istnienia
Wypełnić życiem, jakby była wiekiem.
Twoja jest ziemia i wszystkie jej stworzenia
I – mój synu – będziesz prawdziwym człowiekiem!

W TELEWIZJI MA BUZOWAĆ

Roger Ailes zauważył, że gros Amerykanów, oglądając ludzi w telewizji, nie rozpoznawało w nich siebie. Ale nie stworzył im „zwykłej" telewizji. Stworzył *shitshow* i zmienił reguły gry

Łukasz Najder

Jak wielu stacjonarnych, pogodzonych mężczyzn po czterdziestce często bywam znudzony. Znudzenie to jest komicznym echem prawdziwej, czystej nudy, która doskwierała mi w młodości, gdy świat oferował tylko książki i parę sfatygowanych kaset VHS u kolegi. Wszystko działo się powoli, niczym w filmie Béli Tarra: kwadrans trwał godzinę, a ludzie spędzali pół dnia czekając na innych ludzi.

Dzisiaj – odwrotnie. Od całodobowego Las Vegas kontentu dzieli nas raptem jeden pin czy klik. Lecz obfitość nie wywołuje, przynajmniej u mnie, dosytu. Prędzej zblazowanie, anhedonię i ciągłą, dokuczliwą rozterkę, czy warto zainwestować swój czas w 12-odcinkową ***true crime***, 800-stronicowy bestseller, grę rozkręcającą się dopiero po kilku intensywnych, zarwanych nockach. Dlatego na Netflixie mam tyle rozgrzebanych seriali, skąd w moim mieszkaniu te wszystkie książki porzucone w połowie lektury bądź ledwie zaczęte. W ***Far Cry 5*** nie latałem jeszcze nawet awionetką.

A jednak *Na cały głos* spodobało mi się tak bardzo, że w tydzień po finale zaliczyłem powtórkę całości. Niekiedy wracam też do ulubionych scen. A że jest to serial oparty na reporterskiej, gruntownie udokumentowanej książce Gabriela Shermana o twórcy telewizji Fox News, Rogerze Ailesie, i jego ostatnich dwóch dekadach oszałamiającej kariery, więc raczej nie ujęły mnie w nim labirynty fabularnych alternatyw, sceny wizyjne czy tajemniczy karzeł-memento nawiedzający atria manhattańskich drapaczy chmur.

Na cały głos pokazuje, jak zamienić informacje w narrację, dziennikarzy w aktorów narracji, medium w jedno wielkie centrum emisji narracji, a narrację we władzę. Władzę zaś w sławę, miliardowe zyski i wieloletnią bezkarność molestatorską. Czyli jest to po prostu opowieść o późnym kapitalizmie.

Oczywiście Ailesowi chodziło o konkretną narrację, nie – jakąkolwiek. Dzięki swojej przenikliwości zrozumiał, że błędem jest – a tak właśnie robiły dotąd konkurujące ze sobą telewizje – zabieganie o uwagę i przychylność wszystkich Amerykanów. Obiektywizm, rzetelność i analizowanie każdego wydarzenia z różnych perspektyw kosztują i nie zawsze przynoszą oczekiwane wyniki. Lepiej zatem ograniczyć swój przekaz do jednej grupy społecznej, ale na tyle dużej i wiernej, by zapewniła oglądalność.

Dla Fox News tą grupą okazali się biali, konserwatywni Amerykanie w wieku średnim i starsi, którzy w ofercie medialnego mainstreamu nie znajdowali odbicia swoich wartości, stylu życia, lęków i tradycji. Dlatego Ailes za pomocą Fox wyprodukował specjalnie dla nich kompletną, nową rzeczywistość. Nareszcie poczuli się u siebie.

Jego ambicje sięgały jednak wyżej niż fabryczka przyjaznych, zachowawczych programów obsługujących potrzeby „zwykłych ludzi". Nie chciał beznamiętnych konsumentów newsów i talk-showów. Wręcz przeciwnie. Postanowił doprowadzić widzów do wrzenia. Przeprogramować im rytm dnia tak, by w kółko myśleli o polityce, mówili o polityce, nie mogli się obejść bez kolejnej dawki polityki, następnego kopa politycznej adrenalinki. Siłą rzeczy również i Fox nie mógł być typową stacją telewizyjną. Stał się hybrydą tabloidu, ambony i wzgórza, z których dowódcy – pod łopoczącym w slo-mo gwieździstym sztandarem – wygłaszają motywujące orędzia przed walną bitwą z siłami zła i aborcji.

Bo podług wizjonerskiego zamysłu Ailesa tym, co miało przyssać jego rodaków do Fox, wcale nie było jakościowe dziennikarstwo, panele autorytetów czy wiarygodne, po wielokroć zweryfikowane informacje, ale emocje. Najlepiej – żarliwe, zmienne. Siedzący przed telewizorem Amerykanin winien buzować i doznawać na przemian gniewu, dumy, troski, wściekłości. Gniewu, bo jego ukochana ojczyzna znajduje się w nieustającym zagrożeniu, dumy z bycia obywatelem najpotężniejszego państwa na Ziemi, troski o przyszłość, wściekłości na widok liberałów, lewaków, ekologów, feministek, Obamy, Husseina, islamskich terrorystów, Clintonów etc. etc.

Udało się. Fox pożarł konkurencję i dla swoich właścicieli zarobił fortunę. Ailes został bogiem. Nienawidzono go. Drżano przed nim. O jego względy zabiegali prezydenci i kandydaci na prezydentów. *Na cały głos* to biografia człowieka, który w ciągu zaledwie 20 lat zmienił – i podzielił – Amerykę. Dzięki niemu amerykańskie media, debata publiczna, język polityki czy formaty programów wyglądają tak, jak wyglądają. On sam umarł w 2017 r. po spektakularnym upadku, kiedy to wyszło na jaw, że od dawna molestował, wykorzystywał seksualnie i mobbingował podległe mu dziennikarki i pracownice Fox.

Oczywiście nic wielkiego mu się nie stało. Wprawdzie najadł się wstydu i stracił gabinet szefa, ale na otarcie łez otrzymał 40 mln dolarów odprawy. Jak pisałem, jest to opowieść o późnym kapitalizmie.

Ailes nie chciał beznamiętnych konsumentów newsów i talk-showów. **Postanowił doprowadzić widzów do wrzenia. Przeprogramować im rytm dnia tak, by w kółko myśleli o polityce**

Na cały głos świetnie się ogląda, bo ma idealne tempo, scenografię wiernie imitującą Amerykę od wczesnego Clintona do wczesnego Trumpa i gwiazdorską obsadę, która precyzyjnie odtwarza dwuznaczności, stres, odrazę i napięcia między wszechwładnym, sparanoizowanym szefem a jego ofiarami. Jest to przedni serial i zapis – ku przestrodze – pewnego stanu propagandy, manipulacji społecznej, blatowania się wielkich pieniędzy z wielką polityką.

Zarazem dzięki repetycjom połapałem się, że *Na cały głos* może też wyrządzić krzywdę (poznawczą). Obnażenie machiny Fox i rezultatów, jakie osiągnięto dzięki nieprawdzie i manipulacjom (sfanatyzowana widownia, dwie kadencje Busha, The Donald, plemienność), zwalnia tu niejako z krytycznego namysłu i udziela zbyt łatwych odpowiedzi na pytanie: czemu tylu Amerykanów dało się zwieść – i wciąż daje – Ailesowi? Wychodzi bowiem na to, że on był nikczemnym geniuszem, ponowoczesnym Flecistą z Hameln, a oni masą w hipnozie, rzeszą golemów, sekciarzami zafascynowanymi swoim podtatusiałym guru. Co więcej, w Stanach istnieje już nawet dość prężnie działająca społeczność tych, których bliscy są uzależnieni od toksycznego przekazu Fox, a jej członkowie walczą o „odzyskanie" swoich rodziców czy przyjaciół.

Ale by wyrwać kogoś z niszczącej mocy kłamstwa i hejtu – tak u nich, jak i u nas – nie wystarczy protekcjonalnie biadolić nad smutnym losem naiwniaków zaczarowanych przez kaszpirowskich i w tychże kaszpirowskich upatrywać całej winy. Na nic również pogarda i rechot czy opisywanie publiki Fox, Radia Maryja, TVP terminami zapożyczonymi z religii i historii medycyny: „opętanie", „szaleństwo", „psychoprawica" itp.

Bo przecież pierwotna intuicja Ailesa była słuszna – spora część Amerykanów nie miała swojej reprezentacji w mediach, nie widzieli siebie w tych wiadomościach i programach o spełnionych, pięknych, postępowych ludziach. Należy zatem pojąć, a pojąwszy – przyjąć, dość nieoczywistą dla wielu z nas prawdę: ze swoimi poglądami i hobby nie jesteśmy tu sami i nie dostaliśmy wyłączności na megafon. Nie mówię o ekstremum – płaskoziemcach, szarlatanach czy nazistach. Mówię o tych, którzy niekoniecznie pragną wyrazić siebie od razu na cały głos, ale liczą na to, że ktoś zechce choćby ich wysłuchać.

Łukasz Najder
jest redaktorem w Wydawnictwie Czarne, publikował m.in. w „Dwutygodniku" i „Piśmie". Pracuje nad książką o afektach i złudzeniach w późnym kapitalizmi

Catrina Genovese/WireImage/Getty Images

Ailes pokazał, jak zamienić informacje w narrację, dziennikarzy w aktorów narracji, medium w jedno wielkie centrum emisji narracji, a narrację we władzę

Archiwum misji w Kakooge

„W Ugandzie parę lat temu spotkałem księdza w poszarpanej koszulce z łopatą w ręku. Boguś Dąbrowski sam mówi o sobie, że od miejscowych różni go tylko kolor skóry” – Jarosław Kociszewski

Z motyką na Ugandę

Do misji w Kakooge trafić nie jest łatwo. Z drogi wiodącej z Kampali, stolicy kraju, widać jedynie nieduży szpital założony przez misjonarzy. Jeśli ktoś zobaczy stojący przy szosie duży krzyż wyrzeźbiony z pnia przez lokalnego artystę, to znaczy, że już przejechał. Wtedy trzeba zawrócić i wjechać w busz w kierunku lasu ojca Kalungi – tak miejscowi nazywają ojca Bogusława Dąbrowskiego.

Potem należy minąć jego mangowce – wszystko posadzone z myślą o adeptach szkół założonych przez misjonarzy. Z drewna uczniowie technikum robią meble, a owoce mango zjadają dzieci w drodze do podstawówki. Dopiero za mangowcami wyłania się duży, murowany kościół i parterowy dom zakonny na bazie kwadratu w zadbanym ogrodzie, w którym często bawią się dzieci w szkolnych mundurkach

Z Bogusławem „Kalungi” Dąbrowskim rozmawia Jarosław Kociszewski

Jarosław Kociszewski: Jak to się zaczęło?

Bogusław „Kalungi" Dąbrowski: Gdy tu przyjechałem 18 lat temu, to był tylko kościół w fazie budowy. Zadaszony, ale bez drzwi i okien. Nieotynkowany. Stały też fundamenty domu, który zaczął stawiać biskup z myślą o przyszłych misjonarzach. Zaprosił nas i my, franciszkanie, odpowiedzieliśmy, że jesteśmy gotowi rozpocząć pracę w Ugandzie. Wspólnie z biskupem zebraliśmy trochę pieniędzy i rozpoczęliśmy budowę. Na początku byliśmy tu we dwóch, ja i ojciec Stanisław Zagórski. Nie mieliśmy nawet własnego dachu nad głową i mieszkaliśmy w pobliskiej podstawówce. Dom dopiero musieliśmy sobie zbudować.

To był twój pierwszy kontakt z Afryką?

To był w ogóle mój pierwszy wyjazd za granicę. Wtedy pierwszy raz leciałem samolotem.

Nie załamałeś się? Nie jest to Podhale, z którego pochodzisz.

Ciężko było, ale miałem dużo energii i pomysłów. Traktowałem to jako moją misję, powołanie, ale nawet lecąc samolotem, zastanawiałem się, czy dam sobie radę w takich warunkach. Na początku, gdy człowiek jest pełen ideałów oraz ma siłę i zdrowie, to daje radę. Ale później trudne warunki, brak łazienki, komary malaryczne... Przez pierwsze dwa miesiące po przyjeździe brałem leki przeciw malarii, co na początku pomogło mi psychicznie. Po odstawieniu leków, czyli po jakiś trzech miesiącach, pierwszy raz zachorowałem na malarię. Oczywiście choroby żołądkowe pojawiły się od razu, bo to inne jedzenie, duży stres. Organizm szybko się osłabiał.

Nie miałeś ochoty tego rzucić i wrócić do cywilizacji?

Kilkakrotnie miałem takie załamania. Pierwszy raz po czterech latach pracy na misji. Wtedy kupiłem już bilet powrotny, bo byłem tak bardzo wyczerpany. Miałem ochotę wyjechać. Zatrzymał mnie jednak wypadek ojca przełożonego naszej misji w Ugandzie. Miał poważny uraz ręki i musiał lecieć na operację, więc poleciał na moim bilecie. Wtedy przyleciał prowincjał, z którym dużo rozmawiałem.

Ustaliliśmy, że co jakiś czas trzeba wyjeżdżać do Polski – odetchnąć. Dlatego co roku robię sobie miesięczne wakacje. Akurat w tym roku spędzam je w USA. Nie ma stresu, jest nasza, prawie taka sama, kultura. Można odpocząć.

Kiedy ostatni raz miałeś dosyć?

Na początku tego roku miałem mnóstwo stresu, bo szpital mi bankrutował. Spotkałem się z ludźmi prowadzącymi szpital i powiedziałem, że chyba musimy go zamknąć. Odpowiedzieli, że jak przyjechałem, to – jako franciszkanin – obiecywałem pomagać i pracować z biednymi. A ja na to, że szpital jest zadłużony... A oni znowu, że przecież obiecałem...

W Ugandzie opieka zdrowotna nie jest bezpłatna, a ludzie są biedni. Dlatego jak się podleczą, to w nocy uciekają ze szpitala i nie płacą rachunków. To jest jeden z problemów. Doszliśmy jednak do wniosku, że jak polecę do Polski czy do USA, to uzbieram pieniądze na utrzymanie szpitala. Długi już udało się spłacić, ale dalej zbieram pieniądze na działalność i rozwój.

Niemniej kosztowało mnie to dużo zdrowia. Może nawet stan przedzawałowy. Miałem bardzo wysokie ciśnienie i przez dwa miesiące wracałem do siebie w Polsce. Ciekawie się to wszystko układa, bo prof. Bartłomiej Guzik, kardiolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, napisał do mnie, czy może przyjechać ze studentami na misję do Ugandy. Oczywiście odpowiedziałem, że tak, ale ja też potrzebuję pomocy. Zrobił porządek ze mną i teraz jest ze studentami w Kakooge. Bracia piszą, że profesor ze studentami codziennie przyjmuje 30 osób.

Ilu was teraz jest w Kakooge?

Teoretycznie czterech. Proboszczem jest ojciec Stanisław, który ma 68 lat. Jest też Józek, młody kapłan z Polski, który wcześniej pracował w Niemczech, oraz brat Jerry z Kalifornii – tyle że ma raka i poleciał do Stanów na leczenie. Nie wiadomo, czy do nas wróci. No i ja, człowiek do projektów specjalnych, tyle że teraz też jestem w USA. Zbieram pieniądze na utrzymanie szpitala i szkoły oraz finalizuję tłumaczenie mojej książki ***Spalić paszport*** na angielski.

Jak idzie?

Bardzo dobrze. Amerykanie są bardzo hojni. Jak opowiadam, co robimy, pokazuję filmy, zdjęcia, to ludzie są bardzo szczodrzy dla misji. Książka bardzo dobrze sprzedaje się wśród Polonii. Już piszę drugą. Wydanie tej pierwszej będzie trwało jeszcze z rok, ale wszystko idzie do przodu. Mam nadzieję, że ostatecznie ona wesprze naszą misję.

Bardzo potrzebujemy pieniędzy, bo mam duże plany. Moim najnowszym dzieckiem jest farma ekologiczna przy naszym technikum (Technical Institute). Docelowo chcemy kupić traktor i uprawiać 20 ha ziemi. Zwiększyć hodowlę krów, świń i innych zwierząt. Zresztą już teraz mamy zwierzęta i z ich odchodów produkujemy biogaz do gotowania posiłków. Będziemy mieć też jajka od własnych kur – trochę na własne potrzeby i trochę na sprzedaż.

To dwa w jednym. W technikum mamy wydział rolniczy. Uczniowie opiekują się zwierzętami, będą uczyć się pracować na ciągniku, siać i sadzić uprawy. Do tego chcemy, żeby ziemia rodziła na tyle, żeby szkoła była żywieniowo samowystarczalna i młodzież nie musiała płacić za wyżywienie. Dzięki temu obniżymy czesne. Idea jest taka, że uczniowie zdobędą praktykę, a szkoła będzie mieć jedzenie.

A jak się ma las, który posadziłeś?

Ten las systematycznie wycinamy na meble, które produkują uczniowie klasy stolarskiej. Tu też uczniowie zdobywają praktykę, a meble sprzedajemy z dochodem przeznaczonym na szkołę. Na razie nie jest to dużo, ale i tak pomaga w utrzymaniu technikum.

Kiedy otworzyliście to technikum?

Pięć lat temu. Początkowo była to szkoła tylko dla chłopców, ale zaczęły zgłaszać się dziewczyny, więc dobudowałem szkołę dla dziewcząt, które uczą się pracować na komputerach, prac sekretarskich, szycia, gotowania. Z kolei chłopaki uczą się prac metalowych i stolarstwa. Jedna z polskich firm elektronicznych zafundowała nam klasę elektroniki, więc uczniowie tworzą nawet małe roboty. Do tego rozwijamy wydział rolniczy.

W sumie mamy 130 uczniów. Nauczyciele są miejscowi, choć współpracujemy też z podobną szkołą techniczną we Francji. Byli u nas nauczyciele od nich, ale też organizujemy lekcje przez internet, co jest możliwe dzięki pomocy krakowskiej firmy fundującej nam dobre łącza w szkole technicznej, klasztorze i w podstawówce.

W ten sposób organizujemy też spotkania zdalne ze szkołami podstawowymi w Polsce. To sesje z udziałem klasy w Polsce i klasy z mojej szkoły podstawowej. Dzieciaki godzinę sobie tak gadają. Brały w tym udział szkoły spod Warszawy, z Poznania, Krakowa. Teraz planujemy, żeby pogadać sobie ze szkołą tu z Ameryki.

To musi być niesamowita satysfakcja...

Niedługo nasz pierwszy wychowanek zdobędzie dyplom inżyniera. Żeby dostać się na politechnikę w Ugandzie, trzeba skończyć cztery lata szkoły średniej i jeszcze dwa lata dodatkowej szkoły technicznej. Zawarliśmy umowę o współpracy z politechniką prowadzoną przez zakonników. Dzięki temu jeden z naszych absolwentów dostał się do nich i niedługo będzie miał tytuł inżyniera.

Bardzo będę się cieszył, jak zobaczę jego dyplom. Ostatnio go widziałem, bo dorabiał sobie u nas, malując klasy, i powiedział, że jak skończy studia, to będzie chciał być nauczycielem u nas.

Chcielibyśmy rozwijać szkołę właśnie w kierunku umożliwiającym dalszą naukę, ale do tego musimy mieć np. pewny internet na stałe, a to wymaga sponsorów. Ale i tak szkoła rozwija się krok po kroku. Teraz ważna jest farma i zakup traktora.

Nie masz problemu ze znalezieniem chętnych do technikum?

Zawsze mamy wielu kandydatów. Problem polega na tym, że trzeba im załatwić stypendia. To jest płatna szkoła, czesne wynosi 100 dolarów na semestr. Mało kogo na to stać. Czasem ktoś uczniowi pomaga, jacyś wujkowie. W rezultacie my dajemy stypendia chyba połowie uczniów. Pokrywamy przynajmniej częściowe opłaty, choć niektórzy otrzymują całość.

Dlatego uczniów jest stosunkowo mało. Gdybym miał więcej pieniędzy na stypendia czy na dofinansowanie szkoły, to i uczniów byłoby więcej. W Ugandzie jest masa ludzi i jeśli wiadomo, że szkoła jest dobra i tania, to tłumy się garną. Zazwyczaj dobre szkoły są drogie, więc selekcja uczniów jest finansowa. Uczą się tylko bogaci albo tacy, którzy znajdą sponsorów. Ekonomia, jak chyba wszędzie.

Muszę jednak uważać na tę naszą działalność charytatywną, bo w szpitalu doprowadziła niemal do bankructwa. Ciągle muszę do niego dopłacać, bo sam szpital się nie utrzyma – ludzie są zbyt biedni, żeby zapłacić za leczenie.

Oczywiście pomaga nam też wiele organizacji. Na przykład od ośmiu lat przylatują dentyści z Karoliny Północnej w USA. Mówią, że chcą wybudować własny kampus dla swoich studentów i cztery gabinety stomatologiczne, w których będą za darmo leczyć ludzi. Dzięki temu studenci przyjeżdżający z profesorem będą się uczyć i zdobywać praktykę. To jest korzyść obustronna.

Pomaga nam też Polska Misja Medyczna. To właśnie dzięki tej solidarności pomiędzy Europą, Ameryką i Afryką udaje się zbierać pieniądze, a my dalej rozwijamy misję.

Oczywiście ta praca daje satysfakcję, ale jest jeszcze coś. Zgłosiło się do nas 17 chłopaków – chcą zostać franciszkanami. Nie mamy kasy, żeby wszystkich wykształcić, ale możemy przyjąć połowę z nich. Dlatego jako doradca muszę pomóc kolegom wybrać kandydatów w oparciu o opisy tego, kim są, skąd pochodzą, jakie mają osiągnięcia edukacyjne. Musimy zrobić selekcję. No, takie życie, co zrobisz?

W Europie czy w Ameryce nie mamy powołań albo jest ich coraz mniej. Z kolei w Afryce, w krajach biednych, ludzie się do nas garną.

Archiwum misji w Kakooge

Dzieci przychodzą tu do kościoła w swoich najlepszych ubraniach: czasem to szkolne mundurki, czasem piżamy z pomocy międzynarodowej

W Ugandzie opieka zdrowotna nie jest bezpłatna, a ludzie są biedni. Dlatego jak się podleczą, to w nocy uciekają ze szpitala i nie płacą rachunków

Archiwum misji w Kakooge

W tym zbiorniku będą zbierane odchody zwierzęce do produkcji biogazu na potrzeby szkolnej kuchni

To chyba naturalne, bo Kościół pomaga się im wyrwać się z biedy.

Bieda nie tłumaczy wszystkiego. W tych ludziach jest znacznie więcej religijności niż w naszym świecie. Na przykład obserwowałem niedawno pielgrzymkę męczenników. Ludzie idą po 600 kilometrów. Widziałem, jak doszli do naszej misji i jak się zachowywali. Wielu szło boso. Czasem krew lała się z nóg. Oni nie szli dla przyjemności pielgrzymowania.

Naprawdę podziwiam to, co robią ludzie z tych odległych rejonów Ugandy, gdzie działał Joseph Kony [lider Armii Bożego Oporu, do której siłą wcielano dzieci jako żołnierzy – red.]. Z Gulu i dalszej jeszcze północy przyszło do nas ponad tysiąc osób. Spali pod naszymi portykami, otworzyliśmy każde zadaszone miejsce, żeby osłonić ich przed deszczem, ale i tak się nie mieścili. Część z nich została na zewnątrz, więc otworzyłem im kościół, żeby się schronili. Nie chcieli wejść, mówiąc, że to miejsce szczególne, a nie noclegownia. Byłem w szoku. Oni mają zupełnie inne podejście do świętości niż ludzie na Zachodzie.

Przyjechał do nas wtedy bardzo wysoki urzędnik, prezes związku prawników w Ugandzie, który pochodzi z tamtych stron. Kupił mnóstwo jedzenia, mięsa, picia, mówiąc, że wie, co to znaczy, bo kiedyś też chodził na pielgrzymki.

Zostali u nas dwie noce i wyobraź sobie, że ci biedni ludzie, którzy przecież sami kasy nie mają, jeszcze jakieś pieniądze zebrali i nam zostawili. Nie wiem, czy w bogatych krajach pielgrzymi tak by zrobili, a tutaj to coś zupełnie niesamowitego. Byłem zaskoczony, wzruszony. Takie chwile dają siłę, żeby dalej działać.

W Ugandzie wciąż bardzo silne są wierzenia ludowe, szamaństwo. Miałeś z tym jakieś problemy?

Relacje z czarownikami, szamanami, zielarzami są bardzo skomplikowane. Od dawna próbuję je rozgryźć, ale z dość małym skutkiem. To są afrykańskie wierzenia, tabu, do którego nie chcą mnie dopuścić jako kapłana katolickiego i misjonarza. Do tego nadal obowiązuje prawo sięgające czasów kolonialnych, które oficjalnie zabrania czarów.

Kilka razy rozmawiałem nieoficjalnie z szamanami. Jeden mieszka niedaleko naszej misji. Mówił, że to nie on przyjmuje i leczy ludzi, tylko jego siostra, a jak powiedziałem, że chciałbym się z nią spotkać, odmówił. Nie pozwolił mi nawet wejść do jego domowej świątyni (amasabo).

W naszej drugiej misji w Matugga odnotowaliśmy już drugi przypadek rytualnego zamordowania dziecka. Wyrwano mu serce i wycięto inne narządy służące do rozmaitych rytuałów magicznych. Takie rzeczy nadal się dzieją, a policja nie potrafi odkryć sprawców. Z kolei ludzie boją się mówić na ten temat, wierząc w moc czarowników, którzy mogą się zemścić. Proboszcz z Matugga napisał nawet list do Human Rights Watch, aby przyjrzeli się tym przypadkom i sprawili, żeby policja nie wypuszczała za pieniądze czarowników dokonujących zbrodni.

Z kolei w naszej szkole św. Judy w Kakooge rodzice chronią dzieci, przekuwając im uszy, bo takie dzieci są już „skażone" i nie można złożyć z nich ofiary różnym bóstwom. O tym właśnie napiszę w mojej nowej książce, którą roboczo zatytułowałem *Z motyką na słońce*.

Jonas Gratzer/LightRocket/Getty Images

Obalić system przez WhatsAppa

Behrouz Boochani uciekł z Iranu, a następnie tysiące kilometrów od domu, na papuańskiej wyspie, uzbrojony jedynie w przeszmuglowanego smartfona napisał przez WhatsAppa książkę, która stała się wyrzutem sumienia Australijczyków

Paweł Konar

Z Behrouzem komunikuję się za pomocą WhatsAppa. Kurdyjski dziennikarz uciekł z Iranu, a następnie został umieszczony w australijskim przymusowym obozie dla uchodźców. Korzystając z internetowego komunikatora na przemyconym telefonie napisał książkę *No Friend But the Mountains: Written from Manus Prison*. Na początku roku – po pięciu latach osadzenia – zdobył za nią Victorian Prize for Literature, najważniejsze australijskie wyróżnienie literackie.

Regulamin nagrody przewiduje, że laureatem może zostać wyłącznie bądź obywatel Australii, bądź osoba stale zamieszkująca jej terytorium. Behrouz Boochani nie spełniał żadnego z tych warunków, ale kapituła zrobiła dla niego wyjątek.

„Sędziowie uznali historię opowiedzianą przez pana Boochaniego za australijską. To niezwykłe dzieło, które stanowi nieusuwalny wkład w historię naszego rynku literackiego" – powiedział w rozmowie z „The New York Times" Michael Williams, dyrektor Wheeler Center, które administruje nagrodą.

ZATŁOCZONE BIURO UCHODŹCY

W przedmowie do wymykającej się klasyfikacjom gatunkowym *No Friend But the Mountains* uznany w krainie kangurów pisarz, laureat nagrody Bookera Richard Flanagan, napisał o Behrouzie: „Australia uwięziła jego ciało, ale jego dusza pozostała duszą wolnego człowieka". Na koniec określił go mianem „wielkiego australijskiego pisarza".

Ten „wielki australijski pisarz" nie mógł osobiście odebrać wyróżnienia, ponieważ w przeciwieństwie do komisji Victorian Prize, rządzący australijskimi granicami nie dopuścili do precedensu. Jego ciało w przeciwieństwie do myśli i słów wciąż było uwięzione, więc swoją mowę nagrał, została wyemitowana podczas gali („To zwycięstwo przeciwko systemowi, który zredukował nas do liczb" – powiedział).

W Melbourne „cieleśnie" reprezentował go jego tłumacz.

Nie mogąc ani dostać się do Australii, ani wrócić do Iranu, Behrouz na co dzień porusza się poza przestrzenią. W rozmowie z BBC powiedział, że to WhatsApp jest jego biurem. Często wyjątkowo zatłoczonym. Narzeka nawet, że niekiedy wykonuje za dziennikarzy całą pracę, w zamian nie doświadczając szacunku, na jaki zasługuje.

Odczuwając lekkie poczucie winy, starałem się, jak mogłem, żeby nie dołączyć do tego niechlubnego grona. Jednocześnie tak często, jak to tylko możliwe, odwiedzałem jego zawieszone w cyberprzestrzeni biuro.

SAMOTNY JAK KURD

„Rzucam się ponownie w swój świat introspekcji – świat pełen tajemnic i radości, który bierze mnie z zaskoczenia" – *No Friend But the Mountains*.

Ilam w zachodnim Iranie, 17 lutego 2013 r. Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej wkracza do redakcji promującego kurdyjską kulturę magazynu „Werya". Zatrzymanych zostaje 11 redaktorów, 6 trafia do więzienia.

Behrouz Boochani, absolwent politologii, dziennikarz i jeden z założycieli pisma, ma wówczas 30 lat. Przebywa akurat w Teheranie, dzięki czemu udaje mu się uniknąć aresztowania. Przez pewien czas się ukrywa, w końcu decyduje się opuścić kraj. Zamierza przez Indonezję dostać się do Australii.

JA: Dlaczego wybrałeś właśnie Australię?

BEHROUZ: Nie było dużo czasu na podjęcie decyzji. Ktoś mnie pokierował w tym kierunku. To był trochę przypadek.

JA: A dlaczego w książce nie opisałeś okoliczności, w których opuściłeś Iran?

BEHROUZ: Możesz je w niej odnaleźć, ale są ukryte w falach oceanu 😉.

Na falach musiał walczyć z głodem i pragnieniem.

No Friend But the Mountains: „Przed tym posiłkiem przetrwałem siedem dni głodu i pragnienia. Czułem się jak forma oporu, rodzaj słodkiego zwycięstwa. Zwycięstwa, które uczyniło moje ciało zmiażdżonym i nieistotnym bytem".

BEHROUZ: To sytuacje, których doświadczyłem, których byłem świadkiem, stworzyły książkę. Kiedy opisuję głód, to wtedy głodowałem. Kiedy opisuję, że ludzie długie godziny stoją w kolejce, żeby dostać jedną pomarańczę, to byłem tam – musiałem tam być. Więc jeśli ktoś mnie pyta, czy napisałbym tę książkę jeszcze raz, to myślę, że jest to niemożliwe. Ona jest ważna też właśnie dlatego, że zacząłem ją pisać w więzieniu i tam ją skończyłem.

Gdy pierwszy raz próbował zdobyć wybrzeże Australii, jego łódka zatonęła. Behrouza wyłowili indonezyjscy rybacy.

Końcem drugiej próby był początek koszmaru – łódź została przechwycona przez australijską marynarkę, a jej 73 pasażerów (a wśród nich Behrouz) w sierpniu 2013 r. wylądowało na Manus.

„Nie chciałem trafić do więzienia w Iranie, dlatego wyjechałem. I kiedy prawie dotarłem do Australii, oni wsadzili mnie do więzienia na lata – mówił w rozmowie z BBC.

„Czy Kurdowie mają innych przyjaciół niż góry?" – to pytanie Boochani zadaje w swojej książce. I odpowiada na nie jej tytuł: *No Friend But the Mountains*. Behrouz odwołuje się do popularnego zwrotu określającego sytuację tego ponad 20-milionowego narodu, pozostającego bez swojego państwa, rozrzuconego po Iranie, Iraku, Syrii czy Turcji.

ARMANI Z NAURU

W uderzający sposób, łącząc poetyckość i naturalizm, Boochani odmalował cyfrowym tuszem losy osób, które trafiły do australijskiego obozu na należącej do Papui-Nowej Gwinei wyspie Manus.

Rząd w Canberze zaostrzył w 2013 r. politykę wobec tych, którzy bez wizy starali się dostać na terytorium kraju (głównie drogą oceaniczną – tzw. *boat people*). Rozpoczęto operację Suwerenne Granice. Łodzie, którymi płynęli poszukujący azylu obywatele m.in.: Iranu, Iraku czy Sri Lanki, były przechwytywane przez australijską marynarkę. Następnie *boat people* trafiali do obozów przejściowych m.in. właśnie na Manus oraz na mikronezyjskim Nauru. „Ktoś mi kiedyś powiedział, że mamy na Nauru największą na świecie kolekcję dżinsów i torebek Armani, czekającą na tych, którzy je odbiorą, kiedy będą wyjeżdżać" – powiedział Peter Dutton, australijski minister ds. imigracji w latach 2014–2017 w wywiadzie dla radia 2G.

W tych ośrodkach, daleko od wybrzeży Australii, rozpatrywano („procesowano") ich wnioski o azyl. W większości towarzyszyła temu długoletnia izolacja, w trakcie której – jak donosiły organizacje humanitarne – dochodziło do przypadków załamań psychicznych, samookaleczeń, wykorzystywania seksualnego, a nawet śmierci. Obrońcy praw człowieka podkreślali, że przymusowe przetrzymywanie na czas nieokreślony osób ubiegających się o azyl narusza międzynarodowe konwencje, których Australia jest sygnatariuszką.

Dostęp zewnętrznych mediów do ośrodków detencyjnych był znacznie ograniczony, by nie powiedzieć: wręcz niemożliwy. W 2014 r. wprowadzono surowe kary dla urzędników państwowych, którzy zdecydowaliby się poinformować opinię publiczną o tym, co się dzieje na Manus i Nauru.

BEHROUZ: Co się stało na Manus? Wyobraź sobie dużą wyspę, którą jest Australia, i bardzo małą, którą jest Manus. Ktoś uwięziony na tej małej poprzez słowa i sztukę rzuca wyzwanie tej wielkiej. Chodzi o sam akt sprzeciwu, porwanie się na niemożliwe, rzucenie wyzwania niesprawiedliwości, nawet jeśli istnieje ogromna różnica w sile.

JA: Co robić, żeby to zwycięstwo się nie wypaliło?

BEHROUZ: Musimy przekazywać nasze doświadczenia młodszym pokoleniom na całym świecie. Wiesz, moja perspektywa jest globalna, ponieważ to, co rząd Australii zrobił na wyspach Manus i Nauru, negatywnie wpływa także na inne części świata. Wysłali nas tam z zamiarem zniszczenia. Oczywiście uszkodzili nas mentalnie i fizycznie. Ale nas nie zniszczyli, ciągle istniejemy. Widzimy, że niektóre kraje chcą się na tym wzorować, a przecież Australia jest przykładem, którego trzeba unikać. Dzieląc się moją, naszą historią, ukazuję to.

PRZEMOCOWA KOSZULA

Przyjaciółka Boochaniego Moones Mansoubi była pierwszym „punktem przerzutowym" słów z papuańskiego Manus. To ona zbierała przesyłane przez Behrouza WhatsAppem czy to fragmenty tekstu, czy nagrania głosowe. W książce w załączonej nocie pisze: „Imię Behrouz pochodzi od imienia dowódcy wojskowego z klasycznego perskiego poematu Shāhnāmeh. Jest w tym coś intrygującego, że matka nadała mu klasyczne perskie imię, imię wojownika. Wyróżnia się ono spośród imion większości jego rodzeństwa i kuzynów, które mają konotacje religijne. Jakby przeczuwała, że w tym dziecku tkwi coś szczególnego, zupełnie innego".

Tłumacz książki, Omid Tofighian, zauważa: „Behrouz pisał po persku. Tworzył w języku swoich ciemiężców, mimo że jest zagorzałym adwokatem kurdyjskiej kultury. Z kolei książka została przełożona na język tych, którzy go uwięzili i torturowali".

„Osiągnąłem dobre zrozumienie tej sytuacji: jedynymi ludźmi, którzy potrafią przetrwać i przezwyciężyć wszystkie cierpienia wyrządzane przez więzienie, to ci, którzy ćwiczą kreatywność" – *No Friend But the Mountains*.

Balansujący między światem wewnętrznym a rzeczywistością odizolowaną od świata poza wyspą, wyekwipowany w skrywany pod materacem smartfon, samotny kurdyjski wojownik musiał się mierzyć z przeciwnikiem, który ma wiele oblicz.

System pozbawiał nadziei. Behrouz

Jonas Gratzer/LightRocket/Getty Images

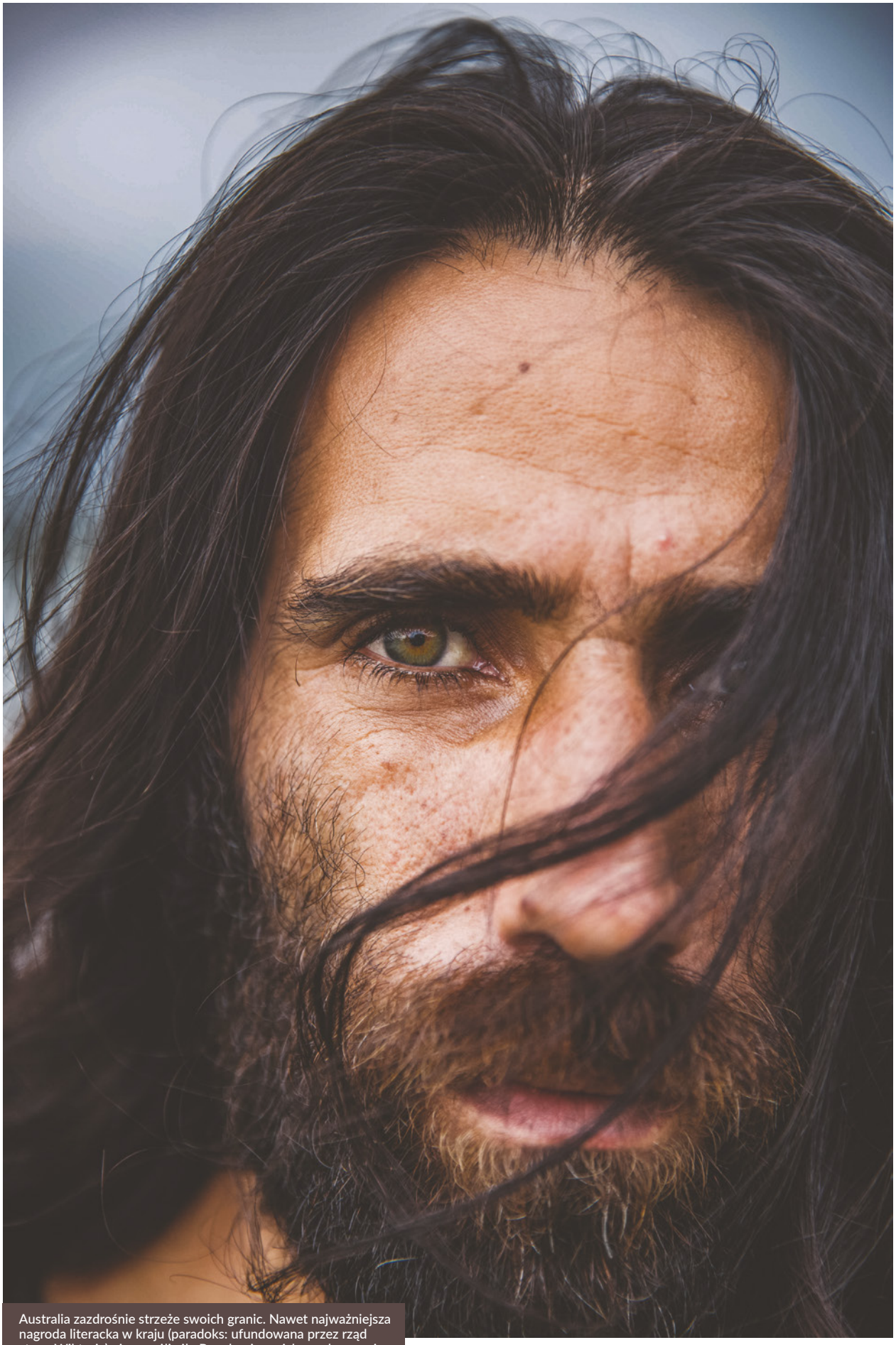

Australia zazdrośnie strzeże swoich granic. Nawet najważniejsza nagroda literacka w kraju (paradoks: ufundowana przez rząd stanu Wiktoria) nie umożliwiła Boochaniemu ich przekroczenia

Jonas Gratzer/LightRocket/Getty Images

W ostatnich latach ok. 3 tys. uchodźców zostało deportowanych z Australii do obozów w Papui-Nowej Gwinei i na Nauru

w książce opisuje sytuację, kiedy do ośrodka przybył australijski minister ds. imigracji: „Oficerowie zabierają pięciu lub sześciu więźniów, którzy nawet nie wiedzą, dokąd zmierzają. Prowadzą ich, aby wysłuchali tego, co minister ma im do powiedzenia.

Minister niczym dyktator wskazuje palcem na tych kilka osób. Mówi w pośpiechu. Wypowiada słowa z umyślną siłą. Mówi: »W ogóle nie macie szans. Albo wrócicie do swoich krajów, albo pozostaniecie na wyspie Manus na zawsze«. Wychodzi w pośpiechu. To jest suma wydarzeń z tego dnia".

System Kyriarchalny. Termin ten pisarz zaczerpnął ze słownika teorii feministycznej. Istotą Kyriarchii według Behrouza jest „celowe odizolowywanie i powodowanie tarć między więźniami, które prowadzi do rozpaczy i złamania ducha".

Instrumentarium środków tego systemu na Manus było bogate. Zaczynał po nie sięgać jeszcze przed tym, jak poszukujący azylu trafiali do obozu. Na przykład drogą „przemocy estetycznej". Behrouz w *No Friend...* opisuje poniżającą sytuację, która rozegrała się na Wyspie Bożego Narodzenia, gdy niedoszli azylanci oczekiwali na transport na Manus.

Był to pierwszy podarunek, jaki otrzymał od Australii: „Dotąd nigdy nie widziałem, żeby ktoś się tak ubierał: koszula z krótkimi rękawami sięgającymi nadgarstków – i do tego żółta koszula.

Obrzydliwa mieszanka kolorów: żółty T-shirt, para czarnych szortów i nagie nogi w klapkach. Bez względu na to, kim jestem, bez względu na to, jak myślę, w tych ubraniach zmieniłem się w kogoś innego".

CZŁOWIEK OD KACZKI

BEHROUZ: Wiesz, czasami ludzie w Manus tworzyli takie małe, codzienne rzeczy. Na przykład kilku przetrzymywanych skomponowało malutki ogród w samym rogu więzienia. Inną formą były przedstawienia, performanse, które dawały rozrywkę. To też był opór. Każda kreatywność była cenna, bo podtrzymywała ducha, pozwalała nam uchować przed tym systemem naszą tożsamość.

Oprócz książki zrobiłem też kilka innych projektów. Na przykład z kolegą, który mieszka w Holandii, zrealizowałem pełnometrażowy film dokumentalny *Chauka, Please Tell Us the Time* – możesz sobie wygooglować. Nakręciłem go w całości smartfonem. Był pokazywany na kilku międzynarodowych festiwalach. Ostatniej nocy była projekcja w Danii, przez następne kilka tygodni będzie wyświetlany w Kanadzie. Do tego były różne wideoinstalacje oraz inne prace artystyczne.

JA: No i twoje teksty dziennikarskie...

BEHROUZ: Tak, opublikowałem przez te lata ponad 100 różnych artykułów.

W jednym z nich Behrouz przedstawił historię „człowieka, który kochał kaczki", czyli Mansoura Shoushtariego. Ten pochodzący z Iranu obrońca praw zwierząt, przebywając w obozie detencyjnym na Manus, kontynuował swoją dobroczynną działalność. Na przykład o zachodzie słońca zostawiał na plastikowym talerzu resztki jedzenia, by dzielić się nimi z żyjącymi pod barakami i namiotami krabami. Behrouz w tekście przytacza stanowczą odpowiedź Shoushtariego na pytanie, dlaczego to robi: „Kraby żyją na tej wyspie od wieków, były tu przed zbudowaniem więzienia. Jednak stawiając je, my, ludzie, naruszyliśmy ich terytorium. Mają pełne prawo jeść nasze jedzenie". Shoushtari dokarmiał też bezpańskie psy.

Szczególna więź łączyła go z kaczką, którą pozostawił pod opieką przyjaciela w Iranie. Myślał o niej, kiedy jego łódka zaginęła na oceanie. Uważał, że to właśnie ich emocjonalny związek go uratował. Nawet strażnicy nazywali go „człowiekiem od kaczki", podczas gdy do innych wołali numerami. Behrouz podkreśla, że poznanie Shoushtariego było dla niego błogosławieństwem i inspiracją, że w jego obecności zapomniał o przemocy oraz innych więziennych trudach.

KOLOKWIUM NA ODLEGŁOŚĆ

W 2016 r. sąd najwyższy Papui-Nowej Gwinei stwierdził, że ośrodek na Manus jest nielegalny. Rok później go zamknięto. Część osób została przeniesiona w inne miejsca, reszta się sprzeciwiła i została. Dziś, jak wspomniał Behrouz na początku naszej korespondencji, na Manus nie ma już żadnego niedoszłego australijskiego azylanta.

Boochani był jednym z tych, którzy zostali na Manus przez kolejne lata. Do tego roku.

JA: Jak obecnie wygląda twoja sytuacja?

BEHROUZ: Kilka dni temu przenieśli nas z wyspy Manus w Papui-Nowej Gwinei do

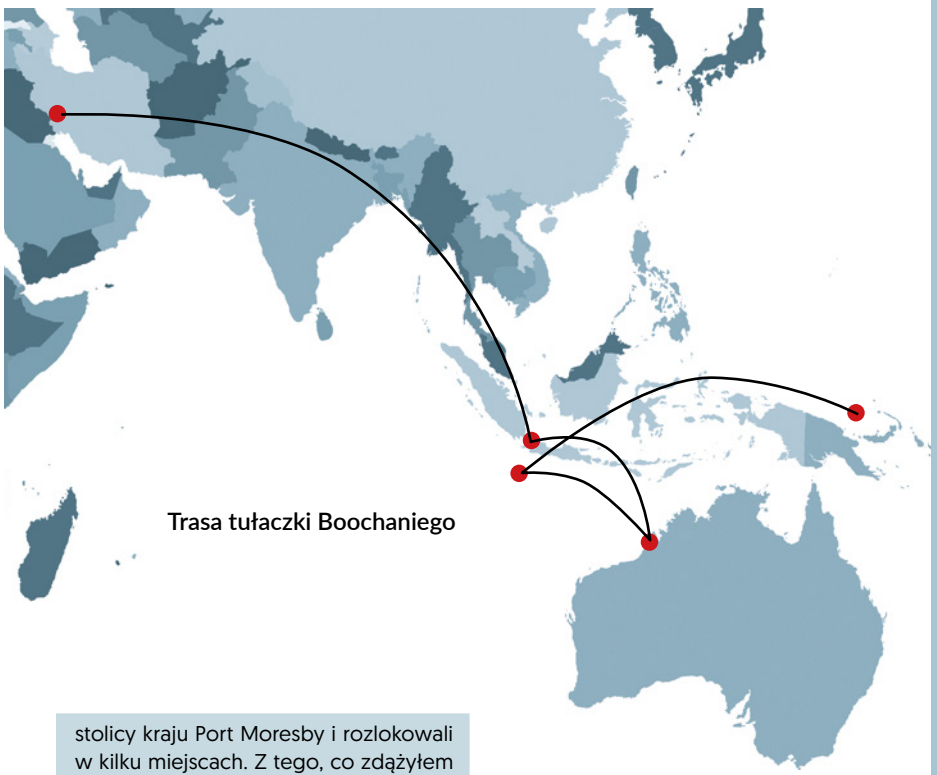

Trasa tułaczki Boochaniego

stolicy kraju Port Moresby i rozlokowali w kilku miejscach. Z tego, co zdążyłem zaobserwować, australijski rząd zamierza kontynuować swoją brudną politykę wobec uchodźców właśnie tutaj.

Dwa lata temu było nas ponad ośmiuset, teraz jest jakieś 320, a 52 osoby trafiły do tutejszego więzienia Bomana – uznano, że nie są prawdziwymi uchodźcami i chcą ich zmusić do powrotu do krajów, z których pochodzą. Cała sytuacja jest dla nas bardzo niepokojąca. Po prostu zostawili nas w tym mieście i nie wiemy, co będzie się działo dalej...

Jeśli mamy jakąś zasługę w tym, że więzienie na Manus zostało zamknięte, to wszyscy – wszyscy uchodźcy stawiający opór temu systemowi. Moja książka i inne projekty są tylko małą częścią tego oporu, zachęcającą innych do dzielenia się swoimi tragicznymi historiami.

Parę drzazg ze strzał, które wypuścił Kurd, utkwiło w sumieniach australijskich decydentów oraz opinii publicznej. Strzał wypuszczonych z irańskiego smartfona.

JA: O czym marzy Behrouz Boochani jako osoba, a nie pisarz chcący zmieniać świat?

BEHROUZ: Bardzo dobre pytanie – dzięki za nie 😊. Tak zupełnie prywatnie, to marzę o tym, żeby mieć proste życie. Tak, o prostym życiu. Życiu jako wolny człowiek.

Od września 2017 r. osoby o statusie uchodźcy do niedawna przebywające w australijskich ośrodkach detencyjnych są sukcesywnie przyjmowane przez USA.

BEHROUZ: Około 80 osób zostało właśnie zaakceptowanych przez USA. Mamy nadzieję, że zostaną tam przeniesione w mniej niż 6 miesięcy.

JA: Jesteś wśród nich?

BEHROUZ: Nie. Właśnie skończyli „procesować" mój przypadek i muszę czekać na decyzję. Nie jest jasne, jak długo. Być może rok albo i dłużej.

***

BEHROUZ: Przesyłam ci link, całkiem świeża sprawa.

JA: OK, już zaglądam.

Czytam. Behrouz został mianowany profesorem wizytującym na jednej z zołowych brytyjskich uczelni – Birkbeck Law School na Uniwersytecie Londyńskim. W jego WhatsAppowym biurze zrobi się jeszcze tłoczniej.

Paweł Konar
jest dziennikarzem portalu „Holistic News"

Australia i tak go nie wpuści

Komentuje Zbigniew Lazar, ekspert ds. wizerunku, były koordynator ds. komunikacji społecznej w rządzie australijskiego stanu Wiktoria:

Australijczycy ze względu na specyfikę anglosaskiego systemu prawnego boją się precedensów. Wystarczy jeden wyjątek i wtedy całe prawo można wyrzucić do kosza.

Boochani zrobił według mnie błąd, bo to nie od opinii publicznej zależy, czy dostanie prawo wjazdu, tylko od władz. A on pisze, że „Australia kiedyś pożałuje tego najczarniejszego momentu w swojej historii"... Nie czarujmy się, to mu nie pomoże. Może już został zaklasyfikowany jako potencjalny wywrotowiec.

Ludzie przeczytają tę książkę. Być może zszokowani mężczyźni napiją się dobrej whisky, a kobiety pójdą na zakupy. I tyle. Za trzy dni o tym zapomną, bo przyjdzie weekend, a on zostanie ze swoją emocją. Tak to niestety działa.

Wiem, że jako pisarz lubi robić sobie takie zdjęcia, jakie on robi, ale dla urzędnika imigracyjnego, który ma rozpatrzyć jego sprawę, jest człowiekiem z artystycznym nieładem, z ogniem w oczach... Ktoś mu albo źle doradził w kwestii wizerunku, albo może rzeczywiście jest już w takim stanie po tych wszystkich latach przebywania w obozie.

Współczuję mu na poziomie ludzkim, i nie mówię tego przez kurtuazję. Na pewno jest to bardzo mądry człowiek, który mógłby się przydać wielu społeczeństwom, ale nie tędy droga.

Snowden według Snowdena

Informatyk, który sześć lat temu doniósł światu, że Ameryka inwigiluje setki milionów ludzi, napisał autobiografię. Próbuje w niej udowodnić, że nie jest zdrajcą, tylko bohaterem

Mariusz Zawadzki

Ilustracja Agnieszka Gietko

Pamiętacie niedawną awanturę o Huawei? Chiński koncern produkujący telefony i sieci komórkowe negocjował z kilkoma krajami zachodnimi (w tym z Polską) kontrakty na stworzenie superszybkiej sieci bezprzewodowej 5G, ale Amerykanie podnieśli alarm, że Chińczycy wykorzystają tę okazję, żeby nas szpiegować.

Istnieje bowiem zagrożenie, że podstępny Huawei umieści w sieci – a może już nawet umieścił w telefonach, z których korzystamy! – niezauważalne czipy albo algorytmy, które będą potem przekazywać informacje prosto do Pekinu. Po interwencji USA premier Mateusz Morawiecki zrezygnował z chińskiej oferty, podobnie jak przywódcy innych krajów zaprzyjaźnionych z Ameryką.

Faktycznie, byłoby wielkim skandalem, gdyby Huawei budował na Zachodzie infrastrukturę telekomunikacyjną, bo przecież jest ona i powinna po wsze czasy pozostać amerykańską. Taki właśnie – czyli amerykański – jest prawie cały internet. Amerykańskie są serwery, które produkują amerykańskie firmy HP, Apple i Dell. Amerykańskie jest oprogramowanie, które dostarczają amerykańskie firmy Microsoft, Google i Oracle. Amerykańskie są routery i modemy sieciowe, które produkują amerykańskie firmy Cisco i uniper. Amerykańskie wreszcie są koncerny Google, Facebook, Amazon i Apple, za pośrednictwem których komunikują się miliardy ludzi na całym świecie (w przypadku Amazona chodzi nie tyle o sklep internetowy, ile o usługę przechowywania danych w chmurze, z której korzysta prawie cały świat).

Bez tych amerykańskich firm nie wyobrażamy już sobie życia.

A dzięki temu, że są amerykańskie, rząd USA może umieszczać w internecie niezauważalne czipy albo algorytmy, które nas nieustannie inwigilują i wysyłają informacje o nas do potężnej hurtowni danych w Bluffdale w stanie Utah. Oczywiście część z tych firm produkuje swoje urządzenia za granicą, np. w Chinach, ale ponieważ firmy są amerykańskie, podlegają amerykańskiemu prawu, a w szczególności jurysdykcji sądu w Waszyngtonie. Wydaje on ściśle tajne wyroki, na podstawie których Google, Facebook i Apple muszą przekazywać rządowi USA najróżniejsze dane o swoich klientach.

To nie żadna dystopia czy *science fiction*, to dzieje się naprawdę. Od kilkunastu lat. Dowiedzieliśmy się o tym od Edwarda Snowdena, młodego informatyka, który pracował w amerykańskim wywiadzie elektronicznym.

W ponad 20 krajach jednocześnie, w tym w Polsce (nakładem wydawnictwa Insignis), ukazała się właśnie jego autobiografia.

OFERMA I MIĘCZAK

Książka jest rozpisaną na ponad 400 stron mową obrończą, w której Snowden – oskarżony przez amerykańską prokuraturę o zdradę – próbuje dowieść swojej niewinności i szlachetności.

W tym celu opowiada całe swoje życie. Od dnia, w którym ojciec przyniósł do domu komputer Commodore 64 (to najważniejsze wspomnienie z całego jego dzieciństwa) po dzień, w którym (ścigany przez wszechpotężne amerykańskie służby, dla których wcześniej pracował) wylądował na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. Miał to być krótki postój w drodze do Ekwadoru, gdzie zaoferowano zbiegowi azyl, ale ponieważ departament stanu USA unieważnił mu paszport, Snowden z Moskwy się już nie ruszył. Mieszka tam od 2013 r. razem z Lindsay, swoją dziewczyną, która dojechała rok później. Powrót do Ameryki oznaczałby zapewne dożywotnie więzienie.

Wszystko, co zdarzyło się pomiędzy Commodore 64 a dramatyczną ucieczką do Rosji, to niemal gotowy scenariusz dobrego filmu sensacyjnego (który zresztą w 2016 r. nakręcił Oliver Stone). Początki głównego bohatera wcale nie zapowiadały jednak, że będzie miał takie przygody.

Był wątłym chłopaczkiem z Północnej Karoliny uzależnionym od komputerów, gier i internetu; koledzy wyśmiewali go za południowy akcent (który w stołecznym Waszyngtonie uchodzi za „wieśniacki"). Był wprawdzie bystry, ale ukończył jedynie *community college*, czyli najgorszy rodzaj szkoły policealnej, bo brakowało mu konsekwencji i jasnych celów.

Dziewczynę poznał – jakżeby inaczej! – na kuriozalnym randkowym portalu HotOrNot, gdzie użytkownicy widzą swoje zdjęcia i wciskają przycisk „Hot" albo przycisk „Not". A co najgorsze, okazał się kompletnym mięczakiem. Po zamachach terrorystycznych 11 września 2001 r.

w patriotycznym odruchu postanowił się zaciągnąć do wojska, ale na pierwszym poważniejszym treningu tak niefortunnie skoczył z powalonego pnia drzewa na ziemię, że lekko uszkodził sobie kości i – po tym jednym incydencie! – zrezygnował ze służby.

Ameryka jednak z niego nie zrezygnowała – choć zapewne powinna. Trwała właśnie „wojna z terrorem", która w Afganistanie i Iraku zamieniła się w zwykłą wojnę, a w innych miejscach w zakulisową walkę. Wujek Sam dramatycznie potrzebował rąk do pracy i dlatego amerykański wywiad przygarnął niezdarnego Eda. Przez następną dekadę powierzałno mu coraz to bardziej odpowiedzialne zadania: informatyka, administratora systemów komputerowych, specjalisty od bezpieczeństwa w sieci.

UMARŁ KRÓL, NIECH ŻYJE KRÓL

Ta część autobiografii jest szczególnie ciekawa. Oczami naocznego świadka oglądamy, jak w ostatnich dwóch dekadach diametralnie zmienił się świat tajnych służb, a wszystkie znane filmy szpiegowskie się zdezaktualizowały.

Najsłynniejsza agencja wywiadowcza świata, czyli CIA, zbierała tradycyjnie informacje od szpiegów, agentów, tajnych współpracowników czy nieostrożnych dyplomatów – czyli generalnie od ludzi. Na początku XXI w. staje się ona jednak niespodziewanie przestarzała i niemal całkowicie ustępuje pola potężnej instytucji, o której prawie nikt nie słyszał – Narodowej Agencji ds. Bezpieczeństwa (NSA, National Security Agency). NSA zbiera informacje już nie bezpośrednio od ludzi, lecz także metodami elektronicznymi, podsłuchując telefony i internet. Gdzie się da i jak się da.

Snowden pracował dla jednych i dla drugich. CIA była dla niego już tylko przedsionkiem do najwyższego stopnia wtajemiczenia, czyli do NSA. Widać to np. w historii o saudyjskim zarządcy luksusowych nieruchomości w Genewie, którego przez wiele tygodni próbował razem z kolegami z CIA zwerbować – ze względu na koneksje na Bliskim Wschodzie mógł być cennym źródłem. Zabierali go do klubów ze striptizem, poili alkoholem, nawet posadzili pijanego za kierownicę i wezwali szwajcarską policję, żeby mu potem „pomóc" (by zaciągnął u nich dług wdzięczności).

Ale wszystko to spełzło na niczym. Kiedy opowiadał o tym niepowodzeniu kolegom z NSA, roześmiali się protekcjonalnie i stwierdzili: „Ed, następnym razem nie trać czasu, po prostu daj nam jego e-mail, a my się wszystkim zajmiemy".

Miliony ludzi obejrzały w telewizjach całego świata młodego, niepozornego chłopaka w okularach, który powiedział: **„Nazywam się Edward Snowden, mam 29 lat, jestem pracownikiem amerykańskiego wywiadu"**

WIELKI BRAT PATRZY

Co zrobiliby koledzy z NSA? Tego Ed dowiedział się kilka lat później, kiedy pracował dla agencji na Hawajach. Otóż wpisaliby e-mail w swoim interfejsie, czyli w okienku systemu XKEYSCORE, kliknęli ENTER i chwilę poczekali. Jak pisze Snowden: „Spośród wszystkich rzeczy ze świata nauki, jakie widziałem w życiu, ta była najbardziej zbliżona do *science fiction*. Oto miałem przed sobą interfejs, za którego pośrednictwem można było wpisać adres, numer telefonu lub adres IP niemal każdej osoby fizycznej, a potem przeglądać e-maile tego użytkownika, historię przeglądarki, treści zamieszczane przez niego w mediach społecznościowych, dosłownie wszystko".

Mogliby też sprawdzić wszystkie połączenia telefoniczne delikwenta – do kogo dzwonił, kiedy, jak długo trwała rozmowa, gdzie obaj rozmówcy znajdowali się w jej trakcie (sama treść rozmowy nie jest standardowo zapisywana). NSA miała takie poszerzone billingi wszystkich Amerykanów, bo tajny sąd w Waszyngtonie wydał sieciom komórkowym nakaz, żeby przekazywały je rządowi.

Taka inwigilacja jest – jak przekonuje Snowden – sprzeczna z konstytucją USA (ale tylko wtedy, kiedy obiektem inwigilacji są obywatele USA; jeśli chodzi o inwigilowanie obcokrajowców, amerykański wywiad nie ma absolutnie żadnych prawnych ograniczeń). Bo przecież w czwartej poprawce do konstytucji czytamy, że „prawa do nietykalności osobistej, mieszkania, dokumentów i imienia nie wolno naruszać przez bezzasadne rewizje i zatrzymanie". Do rewizji potrzeba nakazu sądu.

Czym innym jeśli nie „bezzasadną rewizją" jest zbieranie danych telefonicznych i internetowych wszystkich bez wyjątku obywateli amerykańskich?

„Komputery, chmury (danych) i telefony stały się naszymi domami, równie osobistymi i prywatnymi jak fizyczne budynki i mieszkania" – pisze Snowden. „Jeśli się z tym nie zgadzasz, to odpowiedz sobie uczciwie na następujące pytanie: czy wolałbyś, żeby ktoś przez godzinę chodził swobodnie i samotnie po twoim domu, czy żeby spędził choćby dziesięć minut sam na sam z twoim odblokowanym telefonem?".

Jessica Hromas/Getty Images

Prawnicy rządu USA twierdzą, że konstytucja nie jest złamana, bo dane są gromadzone biernie – tzn. nikt ich nie ogląda. Zresztą nie byłoby jak. Żeby aktywnie podglądać setki milionów ludzi, trzeba by zatrudnić miliony podglądaczy. Dopiero kiedy ktoś staje się podejrzany, wtedy NSA sięga do swoich zasobów i zaczyna mu się przyglądać.

Telefon jest czymś bardziej osobistym niż dom. Zastanów się, czy wolałbyś, żeby ktoś przez godzinę chodził samotnie po twoim domu, czy żeby spędził dziesięć minut z twoim odblokowanym telefonem?

BILET W JEDNĄ STRONĘ

Snowden miał dostęp do ściśle tajnych dokumentów, ponieważ był administratorem sieci – w wywiadowczych placówkach w Genewie, Tokio i na Hawajach. W 2012 r. opracowywał system przekazywania informacji między poszczególnymi oddziałami NSA na całym świecie, dlatego nie wzbudzał podejrzeń, kiedy grzebał w raportach czy nawet ściągał je na swój komputer umieszczony w podziemnym tunelu, pod polem palm ananasowych, niedaleko Honolulu.

Przeświadczenie, że bierze udział w czymś nielegalnym, z czasem zaczynało mu coraz bardziej ciążyć. „Z chwilą rozpoczęcia pracy dla wywiadu czujesz nie tyle przyzwolenie, co wręcz obowiązek kłamania, zwodzenia, przemilczania i zatajania. W rezultacie u pracowników wywiadu rodzi się silne poczucie plemiennej przynależności; często prowadzi ono do przekonania, że lojalność wobec instytucji, dla której pracują, jest ważniejsza od wierności prawu".

Pod koniec 2012 r. podjął decyzję, od której – jak doskonale wiedział – nie będzie odwrotu. Nawiązał kontakt z dwójką ludzi, którym chciał wszystko opowiedzieć i osobiście przekazać dowody, czyli raporty i inne tajne dokumenty NSA. Byli to dziennikarz Glenn Greenwald i reżyserka Laura Poitras. Oba zadania – kontakt z dziennikarzami i kradzież dokumentów – nie są proste w świecie totalnej inwigilacji (a przecież pracownik NSA jest jeszcze bardziej obserwowany niż inni).

Z Poitras i Greenwaldem łączył się przez przypadkowe sieci WiFi, które wyszukiwał, jeżdżąc po całej wyspie Oahu (najludniejszej wyspie Hawajów). Musiał ich nauczyć technik szyfrowania wiadomości, co było być może najtrudniejsze.

Stosunkowo łatwe było zaś zbieranie dokumentacji przeciwko swojemu pracodawcy. Przegrywał raporty na stary służbowy komputer, który miał słabsze zabezpieczenia, a potem na malutkie karty pamięci (takie jak wkłada się do telefonów), które wynosił z biura w skarpetce albo między zębami. „Pewnego razu, kiedy niosłem starego peceta do mojego biurka, minąłem jednego z dyrektorów działu informatycznego. Zatrzymał mnie i spytał, do czego jest mi potrzebny ten stary rupieć. »Do wykradania tajemnic« – odpowiedziałem i obaj się roześmialiśmy".

Pod koniec maja 2013 r. zgłosił w pracy, że jest chory, zabrał cztery laptopy, na których miał zaszyfrowaną całą swoją zdobycz i wsiadł w samolot z Honolulu do Hongkongu. Swojej dziewczynie Lindsay, z którą był od prawie 10 lat, napisał, że wyjeżdża w sprawach służbowych. Nigdy niczego jej nie powiedział, żeby jej nie narażać i nie obarczać ciężarem tajemnicy.

Reszta jest historią. Kiedy w „Guardianie" i „New York Timesie" ukazały się sensacyjne artykuły o totalnej inwigilacji, wszyscy zachodzili w głowę, kto jest ich źródłem. Niepewność nie trwała długo. 9 czerwca 2013 r. miliony ludzi (w tym zdumiona Lindsay Mills) obejrzały w telewizjach całego świata młodego, niepozornego chłopaka w okularach, który rozpoczął swoje oświadczenie od słów: „Nazywam się Edward Snowden, mam 29 lat, jestem pracownikiem amerykańskiego wywiadu".

Doktor inkubator

Mężczyzna w kitlu trzyma w rękach maleńkie niemowlę owinięte w biały becik zawiązany na ozdobną kokardkę. Wydawać by się mogło, że dziecko to kukiełka, lalka, wszystko ma miniaturowe: głowę, ręce, dłonie. Oczy zamknięte

Małgorzata Nocuń

Tym lekarzem jest Martin Couney. Niektórzy powiedzą, że był szaleńcem, że to, co robił, było amoralne, ale nikt nie może zaprzeczyć faktom: Couney (mawiano na niego „Doktor inkubator") uratował setki przedwcześnie urodzonych dzieci przed śmiercią. Uzmysłowił światu medycznemu, że wcześniaki są wyjątkowo waleczne, że nie należy skazywać ich na śmierć. Jak tego dokonał? Pokazywał je w cyrku.

MIĘDZYGALAKTYCZNY SZPITAL

Dziś oddział intensywnej terapii noworodka przypomina statek kosmiczny. W dużej sali rozstawione nowoczesne inkubatory, automatycznie obniżane, podnoszone, podgrzewane, dzieci podpięte są pod aparaturę monitorującą akcję serca, oddech. Ta aparatura ratuje im życie i natychmiast alarmuje o nadchodzącym kryzysie. Wcześniaki żywi się tak, by podawany pokarm wspierał rozwój mózgu. Aby dokonał się taki postęp w medycynie, potrzebni byli lekarze wizjonerzy, pozytywni szaleńcy, ci, którzy nigdy się nie poddają. Tacy jak Martin Couney.

Ów niemiecko-żydowski lekarz działał ponad 100 lat temu, kiedy lekarze nie dawali dużych szans wcześniakom. Gdy mieszkające na prowincji kobiety rodziły przedwcześnie, pielęgnowały swoje dzieci same, w domu. Kilka lat temu spotkałam w Rosji kobietę, która w czasie wojny powiła córkę (głód, sroga zima). „Siódmy miesiąc to był" – zapewniała. Mówiła mi, że ułożyła niemowlę w wielkim słoju i owinęła watą, słój przykryła szmatką i położyła w pobliżu pieca. Nie chciałam jej wierzyć, ludzie lubią koloryzować. Później, kiedy zgłębiałam historię polskiej neonatologii, przekonałam się, że mówiła prawdę.

Na świat od zawsze przychodziły wcześniaki; te, które nie były w stanie samodzielnie oddychać (ich płuca nie wykształciły się w odpowiednim stopniu), umierały. Szanse przeżycia miały dzieci, które co prawda nie utrzymywały temperatury ciała (wcześniak szybko się ochładza i nagrzewa), nie ssały piersi matki, ale oddychały. Takie dzieci owijano watą bądź kawałkiem materiału i układano w cichym, ciepłym miejscu. „Mój tata urodził się podczas wojny, mama trzymała go w pudełku na buty, mocno opatulonego. Po wojnie to było, we Wrocławiu, żyliśmy w na pół zburzonym domu" – usłyszałam od innej kobiety.

OD KURCZĄT DO WCZEŚNIAKÓW

Dziś wcześniaki karmi się przy pomocy specjalnej sondy umieszczonej w nosie bądź ustach. Dawniej matki nasączały szmatkę mlekiem krowim i zwilżały noworodkom usta. Nie wiedziały, ile ich dziecko waży i w którym tygodniu ciąży przyszło na świat (nie było badań ultrasonograficznych), poród odbierała akuszerka, w domu, nikt nie mógł określić, w jakim dziecko jest stanie – nie oceniano noworodków według skali Apgar. Matki mogły tylko czekać, co przyniesie im los. Część dzieci umierała, część przeżywała, część rozwijała się prawidłowo, a część pozostawała upośledzona.

Inkubator wymyślił doktor Stéphane Tarnier. Podglądał kurczęta w paryskim zoo: przebywały w specjalnych cieplarkach umożliwiających dojrzewanie. Medycy lubią obserwować naturę, to ona często przywodzi im na myśl przełomowe rozwiązania. Patrzą, jak radzą sobie zwierzęta albo ludzie żyjący z dala od cywilizacji. Podobnym „podglądaczem" był doktor Wilhelm Horkel; zastosował on balonik, który wypełniony solą fizjologiczną i umieszczony w pochwie rodzącej kobiety powoduje rozwieranie szyjki macicy. Horkela zainspirowały kobiety, które spotkał podczas podróży do Afryki – kiedy przedłużał się im poród, wkładały do pochwy duże orzechy.

CYRK NA KÓŁKACH

Podobnie było z inkubatorem. Tarnier potraktował niemowlęta jak kurczaki i zbudował drewnianą, przeszkloną skrzynkę podgrzewaną butelką z wrzącą wodą. Couney – trochę wizjoner, trochę showman – uwierzył, że wcześniaki można ratować na o wiele większą skalę. Aby uświadomić światu, czym jest inku-

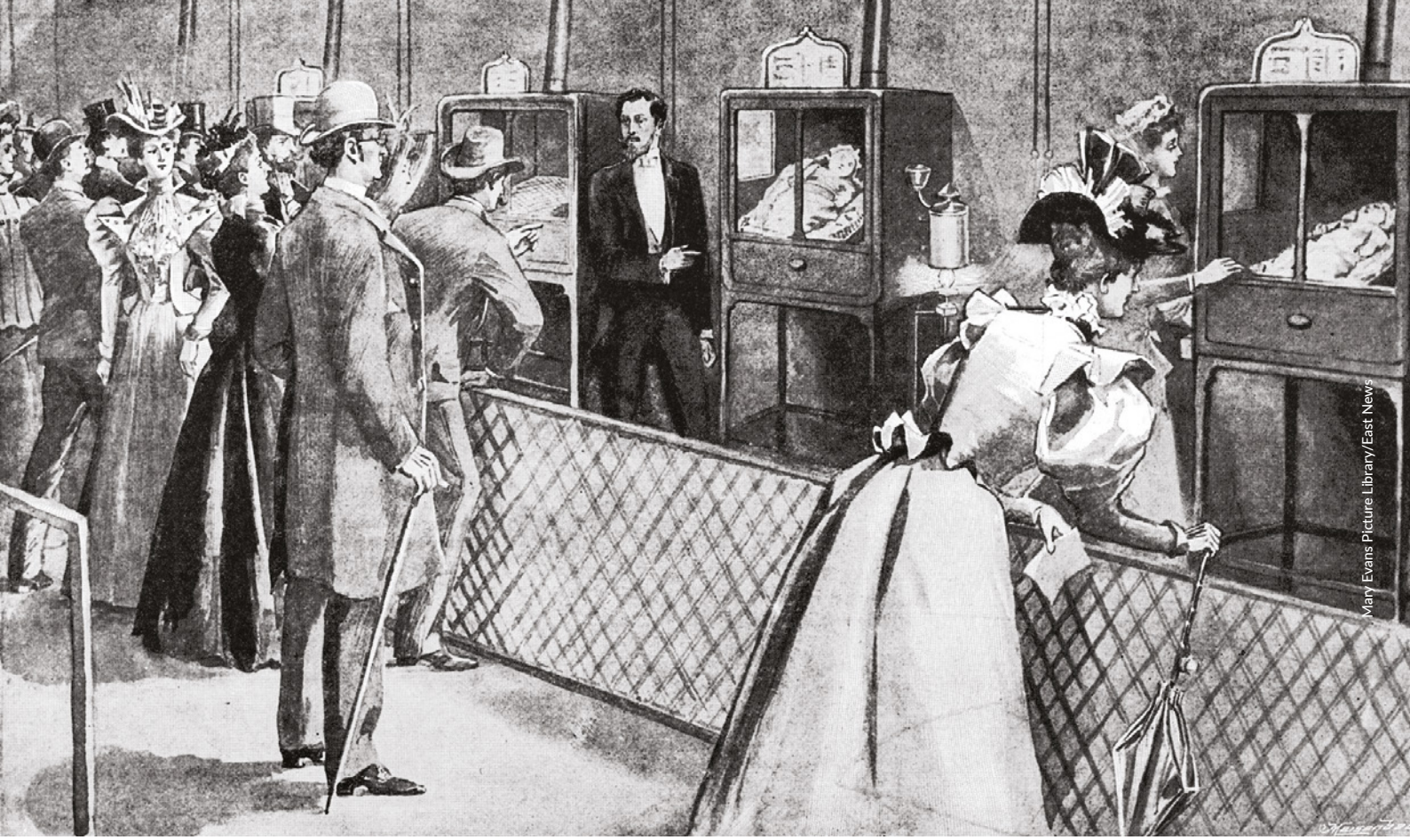

Mary Evans Picture Library/East News

W parku rozrywki na Coney Island w Nowym Jorku, gdzie występowali różnego rodzaju sztukmistrzowie i dzikie zwierzęta, **otworzył wystawę wcześniaków**

bator, w 1896 r. „wypożyczył" ze szpitala w Berlinie kilkoro wcześniaków leżących w inkubatorach (lekarze mówili, że dzieci te nie rokują, byli przekonani, że wkrótce umrą) i pokazał je na wystawie światowej w Berlinie. Dzieci były pielęgnowane przez personel medyczny, wszystkie przeżyły.

Couney chciał podjąć się ratowania wcześniaków na szeroką skalę, tylko potrzebne były na to pieniądze. „Rozwiązaniem jest cyrk" – pomyślał Couney. W parku rozrywki na Coney Island (Nowy Jork), gdzie występowali różnego rodzaju sztukmistrzowie i dzikie zwierzęta, otworzył wystawę wcześniaków.

Był 1903 rok. Dzieci były doglądane przez pielęgniarki w wykrochmalonych fartuchach, dbano o zachowanie jak największej sterylności. Couney „wystawiał" dzieci „pożyczone" z różnych szpitali, często oddalonych o setki kilometrów, i pobierał opłaty za wstęp, a zebrane fundusze przekazywał na pielęgnację i leczenie swoich pacjentów. Niedawno w Stanach Zjednoczonych ukazała się książka autorstwa Dawna Raffela T*he Strange Case of Dr. Couney: How a Mysterious European Showman Saved Thousands of American Babies.* Ukazuje historię uratowanych przez Couneya dzieci. Sędziwa kobieta opowiada, że po urodzeniu mieściła się na dłoni, lekarze nie dawali jej szans na przeżycie, a rodzice nie mieli pieniędzy na jej leczenie. Trafiła do cyrku, leżała w inkubatorze kilka miesięcy. Przeżyła, miała „dobre i szczęśliwe życie".

TYLKO DLA WIZJONERÓW

Lekarze neonatolodzy wciąż walczą, przesuwają granice. Nie tak dawno cudem było uratowanie dziecka urodzonego w 31. tygodniu ciąży, ważącego kilogram, dziś ratuje się wcześniaki półkilogramowe, urodzone w 24. tygodniu ciąży. Rodzice wcześniaków, które mogły umrzeć, a przeżyły, często mówią: „To był cud". Lekarze odpierają: „Szczęście, współczesna medycyna". Zanim nauczono się nieinwazyjnie wentylować wcześniaki i odpowiednio je karmić, urządzenia dostarczające tlen robiono z balonika i rurki. Lekarze radzili sobie przy pomocy tego, co mieli w zasięgu ręki.

Wcześniak to szczególny pacjent. Nie powie: „Boli", „Cierpię" ani „Chcę umrzeć, nie ratujcie mnie na siłę". Skrajne wcześniaki często przeżywają, ale w przyszłości mogą być obciążone ciężką niepełnosprawnością, a ich życie stanie się niekończącą uciążliwą terapią.

„Wie pani, ale dziś tej specjalizacji nikt już nie wybiera" – powiedział mi niedawno profesor neonatologii. To ciężka praca. Wymaga niebywałej intuicji. To dziedzina dla lekarzy myślących szerzej, szukających głębiej, dla odkrywców. Może wizjonerów właśnie.

Małgorzata Nocuń
jest dziennikarką. Stała współpracowniczka „Tygodnika Powszechnego"

Sprzedawczyni miraży

Zapowiadała rewolucję w medycynie. Inwestorzy uwierzyli i dali jej prawie miliard dolarów. Po latach okazało się, że była jedną z najwybitniejszych blagierek w historii ludzkości

Jakub Janiszewski

Jeśli jeszcze nie słyszeliście o Elizabeth Holmes, nic nie szkodzi. Prędzej czy później to się zmieni. Jej sława rośnie. Rok temu dziennikarz „Wall Street Journal" – John Carreyrou – napisał o niej książkę. Pół roku temu HBO pokazało film dokumentalny, którego jest główną bohaterką. Oscarowy reżyser Adam McKey chce nakręcić o niej film fabularny z Jennifer Lawrence w roli głównej. O serialu myśli natomiast platforma Hulu. Tu, dla odmiany, w roli Holmes ma podobno wystąpić dwukrotna laureatka Emmy – Kate McKinnon.

A to dopiero początek. Elizabeth w przyszłym roku stanie przed sądem. Grozi jej 20 lat więzienia za wprowadzanie w błąd inwestorów, lekarzy i pacjentów. Proces sądowy 35-latki, o której jeszcze niedawno pisano, że jest nowym Steve'em Jobsem i supergwiazdą świata start-upów, na pewno znów zmobilizuje media.

Zresztą media wcale o niej nie zapomniały. Gdy 28 czerwca wezwano ją na posiedzenie przedprocesowe, podczas którego ustalono harmonogram rozprawy, do budynku sądu w San Jose eskortował ją rozbiegany, małpi tłumek telewizyjnych reporterów liczących choćby na jedno spojrzenie wprost w kamerę.

BEZ MRUGNIĘCIA OKIEM

To spojrzenie jeszcze niedawno fascynowało. Elizabeth słynęła bowiem z tego, że wpatrując się w rozmówcę, prawie nie mrugała. Ponoć robiło to piorunujące wrażenie. Wielu z tych, którzy mieli z nią kontakt, twierdzi, że jeszcze nigdy w swoim życiu nie spotkali się z osobą „o podobnej intensywności".

Drugim znakiem rozpoznawczym był zaskakująco niski głos – nawet nie kontralt, ale baryton. Gdy wszystko się rozsypało, a sława Elizabeth przeszła w niesławę, także i ta niecodzienna cecha została podważona. Znaleźli się świadkowie, w których obecności Holmes zaczynała szczebiotać, mówić o kilka oktaw wyżej, zwłaszcza w tych rzadkich chwilach, gdy na moment traciła nad sobą kontrolę.

Trudno sobie wyobrazić, ile energii musiała kosztować ta codzienna wystudiowana modulacja.

Podobnie jak trudno uwierzyć w liczby, które towarzyszą tej sprawie. Theranos, założony przez Holmes jako start-up w 2003 r., w 2015 zatrudniał prawie 800 osób i był wyceniany na 9 mld dolarów. Połowa udziałów należała do prezeski założycielki, co czyniło ją posiadaczką prawie pięciomiliardowej fortuny.

Wycena, podobnie jak barwa głosu szefowej, okazała się lipna. Realne były natomiast zainwestowane kwoty. W ciągu 15 lat istnienia Theranos „spalił" 900 mln dolarów wyciągniętych z funduszy kapitałowych i kieszeni prywatnych inwestorów.

Prawdziwa była też sława. I nie chodzi tu tylko o samą Holmes.

Firma przyciągała elity na wiele lat przed słynną okładką magazynu „Fortune" z czerwca 2014 r., gdzie portretowe zdjęcie uśmiechniętej założycielki Theranosa opatrzono tytułem „Oto prezeska, co łaknie krwi". W radzie nadzorczej zasiadali: sekretarz stanu z czasów Nixona Henry Kissinger, sekretarz stanu z czasów Reagana George Shultz, były sekretarz obrony William Perry i kolejny – James Mattis. Ponadto William Foege – były szef CDC (agendy rządu federalnego odpowiedzialnej za zdrowie publiczne), Richard Kovacevich – niegdysiejszy prezes banku Well Fargo, i jeszcze kilku możnych i bogatych. Było kogo podziwiać i było komu ufać!

Toteż inwestorzy ufali. Theranos był ponoć największą inwestycją spoza rynku mediów, w której swój kapitał ulokował Robert Murdoch – właściciel telewizji Fox News i dziennika „Wall Street Journal". Theranosa obsługiwał przez kilka lat Richard Boies, jeden z najsłynniejszych amerykańskich prawników, ten sam, który reprezentował przed sądem Ala Gore'a, gdy ten o włos przegrał wybory prezydenckie w 2000 r.

Podobnie jak pozostali wierzył w Elizabeth Holmes. Młodą, zdolną bizneswoman, która przekonała tych wszystkich złotych starców, że ma w swoich rękach nowatorską technologię medyczną. I że wynalazła ją sama, w wieku zaledwie 19 lat.

PIERWSZE UDERZENIE GENIUSZU

Na Uniwersytet Stanforda – wydział chemii – wkroczyła z przytupem jako stypendystka specjalnego prezydenckiego programu dla wybitnych talentów.

Tata, dyrektor w kilku urzędach federalnych, sugerował karierę naukową, ale córka miała na siebie inny pomysł. W myśl rodzinnej legendy już jako dziewięciolatka na rutynowe pytanie „Kim chcesz zostać, gdy dorośniesz?" odpowiadała „Miliarderką". Nie interesował jej

Justin Sullivan/Getty Images

Jej miraże urzekły najbardziej wpływowych ludzi w Ameryce. W radzie nadzorczej Theranosa zasiadali m.in. Henry Kissinger i James Mattis

wówczas nawet fotel prezydencki. „Prezydent się ze mną ożeni, bo będę miała miliardy" – wyjaśniała trzeźwo.

Owe miliardy miała jej przynieść koncepcja wymyślona w zaledwie pięć dni – latem 2003 r., na wakacjach po pierwszym roku studiów.

Holmes chciała opracować urządzenie, które oparte na technice mikroprzepływów i nanotechnologii mogłoby wykrywać i leczyć zakażenia. Najlepiej jako opaska noszona na nadgarstku.

Fakt, że ta odważna wizja nie trzymała się kupy i pasowała bardziej do literatury *science fiction* niż do realiów współczesnej medycyny nijak młodej studentki nie zniechęcał.

Trzykrotnie odwiedziła na Stanfordzie prof. Phyllis Gardner, która za każdym razem próbowała jej wyjaśnić, że urządzenie nie ma szansy zadziałać, bo żadne leki nie mają, na razie, takich mocy. Nie bez powodu podaje się je w relatywnie dużych dawkach, często w postaci roztworów pompowanych bezpośrednio w krwiobieg chorego.

Ale Holmes okazała się odporna na zdroworozsądkowe argumenty. Rzuciła studia, rozstała się z chłopakiem, wyjaśniając mu, że nie ma czasu na uczuciowe zawracanie głowy. Zarejestrowała firmę o nazwie Real-Time Cures.

„Leczenie w czasie rzeczywistym" – tak dałoby się przełożyć nazwę nowego start-upu. Niezbyt fortunną, bo podatną na przeinaczenia. Pierwsi pracownicy firmy na paskach wypłat, wskutek literówki, ujrzeli „Klątwy w czasie rzeczywistym" (ang. Real-Time Curses).

Kiedy miałam siedem lat, zrobiłam projekt wehikułu czasu. Fantastyczne było to, że nikt nie powiedział mi, że takie rzeczy są niemożliwe

Dlatego Holmes zdecydowała o zmianie nazwy firmy na „Theranos" – połączenie dwóch słów „therapy" i „diagnose", czyli leczenia i diagnostyki.

Elizabeth zrekrutowała dwóch starszych kolegów ze szkoły medycznej Stanforda i zaczęła szukać pieniędzy na realizację swojego pomysłu.

Szło jej tak sobie. Bystra, ale dziwaczna – tak opisywali ją przedstawiciele funduszy inwestycyjnych. W 2003 r. podczas biznesowych prezentacji, wystrojona jak prowincjonalna księgowa, w okularach jak denka od butelek i bez makijażu, tłumaczyła coś nerwowo dwukrotnie od niej starszym mężczyznom. Nie wzbudzała ani sympatii, ani zaufania.

Pierwszy milion dolarów – nie tak znowu wiele jak na firmę, która miała zrobić rewolucję w medycynie – udało się jej zdobyć dzięki koleżance z podstawówki, Jesse Draper. Jej ojciec Tim Draper prowadził renomowany fundusz kapitałowy i spodobała mu się werwa, z jaką Elizabeth rzuciła światu wyzwanie. Drugim inwestorem był przyjaciel ojca – Victor Palmieri.

Do końca 2004 r. udało się zebrać na Theranosa 6 mln dolarów.

Gilbert Carrasquillo/Getty Images

Wpatrując się w rozmówcę, prawie nie mrugała. Ponoć robiło to piorunujące wrażenie

ŻĄDNA KRWI

Sprawy miały się znacznie gorzej, gdy szło o samą technologię. Co prawda zatrudnieni przez Holmes koledzy ze Stanforda zdołali przemówić jej do rozumu – tak małe urządzenie jak opaska na ręku nie udźwignie, nawet w najbardziej optymistycznych scenariuszach, wszystkich pokładanych w nim nadziei. Stanęło ostatecznie na czymś, co wyglądem przypominało grubą kartę kredytową. Wystarczyło umieścić w nim kroplę krwi pobraną z palca – tak jak to robią po kilka razy dziennie chorzy na cukrzycę – by przeprowadziło szereg badań. Miało wyliczać nie tylko samą glukozę, lecz – jak sobie to wyobrażała Elizabeth – pełny pakiet badań hematologicznych. Od oznaczeń potasu i witaminy D po zakażenie HIV i HCV.

Gdyby ten zamysł się ziścił, rzeczywiście doszłoby do globalnej rewolucji medycznej.

Holmes chciała, by urządzenie było tak małe i na tyle tanie, że dałoby się w nie wyposażyć samych pacjentów. Badalibyśmy więc sobie krew częściej, może nawet po parę razy dziennie, a domowe mini-laby, łącząc się z internetem, wysyłałyby wyniki bezpośrednio do naszych lekarzy.

Zgodnie z kierunkami rozwoju współczesnej medycyny wsparłoby to prewencję wielu chorób. Pomiary nie miałyby charakteru punktowego, lecz – jak lubiła to odmalowywać Holmes – przypominałyby film, na podstawie którego można by było prześledzić zmiany metaboliczne. To naprawdę byłoby coś, w dodatku z jednej kropli krwi.

Ale jedna kropla to naprawdę mało, o czym wnet przekonali się zatrudnieni przez Theranosa inżynierowie. Opracowany prototyp nie działał, był raczej zgrabnym pudełeczkiem bez treści, czymś, co sugerowało nadchodzący, właściwy wynalazek. O takich niedziałających prototypach mówi się *mock-up*. Poprzedzają sam właściwy model wyjściowy, pozwalają natomiast zwizualizować – sobie i inwestorom – punkt dojścia. Pech w tym, że Theranos na dobrą sprawę nigdy nie wyszedł poza ten etap.

Płyny, które miały przepływać przez urządzenie, wyciekały, mieszając się ze sobą. Krwi, czyli materiału do analizy, nie wystarczało nawet na jeden test, co dopiero na kilka lub kilkadziesiąt. Około 2006 r., gdy firma zaczynała już kusić wielkie firmy farmaceutyczne, urządzenie raz działało, a raz nie – stawiając pod znakiem zapytania całość przedsięwzięcia.

No ale Theranos obiecał rewolucję, a jego szefowa parła ku sukcesowi. I im bardziej okazywało się, że z przełomowego wynalazku nic nie będzie, tym mniej Elizabeth Holmes chciała o tym wiedzieć. Wybrała wierność własnej wizji.

Pięknej, lecz coraz bardziej odległej.

STEVE JOBS W ŻAKIECIE

Najprawdopodobniej ok. 2007 r. już na dobre uwierzyła, że jest drugim Steve'em Jobsem. Wówczas doszło do jej wielkiej transformacji. Podkupiona z Apple'a słynna projektantka przemysłowa Ana Arriola udzieliła jej kilku światłych rad w kwestii wizerunku. Okularnica w dziwacznych swetrach odeszła w przeszłość, jej miejsce zastąpiła nieco tajemnicza, wystrojona w minimalistyczne czarne trykoty młoda wizjonerka.

Sama Arriola miejsca w Theranosie nie zagrzała, wietrząc katastrofę. W firmie panowała paranoiczna atmosfera sekretów i podejrzeń. Wynalazek, którego wygląd i funkcjonalność miała opracować, był przed nią ukrywany. A Holmes okazała się szefową despotką, zarządzającą zespołem przez zastraszanie. Kto się sprzeciwiał – wylatywał lub skazywał siebie na marginalizację.

Taki los spotkał np. Henry'ego Mosleya, szefa finansowego. Elizabeth zwolniła go ze skutkiem natychmiastowym po tym, jak na spotkaniu zarządu powiedział otwarcie „Nie możemy okłamywać inwestorów". Chodziło o prezentację, jaką Holmes przygotowała w 2006 r. dla szwajcarskiego giganta farmacji – korporacji Novartis.

Dla koncernów badania krwi pacjentów uczestniczących w badaniach klinicznych przedstawiają wartość bezcenną – gdyby dało się ich robić więcej, bez konieczności każdorazowego otwierania żyły pacjenta, byłoby i prościej, i bezpieczniej, i taniej. Novartis obiecał pieniądze, o ile zobaczy, jak to wszystko działa. Holmes poleciała więc do Bazylei z prototypem swojego wynalazku, a na oczach przedstawicieli koncernu umieściła w urządzeniu nanopojemnik z krwią i włączyła system. Na wyświetlaczu pojawiły się liczby. Pełen sukces. Problem w tym, że urządzenie w Bazylei niczego nie analizowało. Wcześniej przygotowane wyniki wysłano zdalnie z kalifornijskiej centrali Theranosa.

To był spektakl odegrany na potrzeby chwili.

Nie ostatni raz zresztą. Później wielokrotnie jeszcze zarząd Theranosa testował krew na oczach inwestorów, także ich własną, pobraną z palca, w sali konferencyjnej. Potem zabierano ich na wycieczkę po firmie, a ekipa techniczna biegiem zanosiła próbki do laboratorium, gdzie testowano je ręcznie. Otrzymane wyniki prezentowano jako dowód skuteczności nowej technologii.

ZBUDOWANY NA KŁAMSTWIE

John Carreyrou w swoim reporterskim śledztwie przedstawia zwolnienie Mosleya jako swoisty punkt zwrotny. Od tamtej pory kłamstwo stało się swoistym *modus operandi* całego przedsiębiorstwa, zaś sama Elizabeth Holmes zaczęła przejawiać szczególny talent sprzedażowy.

Choć sztab jej inżynierów odbijał się wciąż od ściany, ona sama potrafiła przekonać do swojej wizji prezesów wielkich firm, byłych polityków, a nawet szefa armii.

Generał James Mattis był jej tak wielkim wielbicielem, że osobiście wywierał presję na podwładnych, by wysłać do Afganistanu prototypy minilabów opracowanych przez Theranosa. Oficerowie niższej rangi wykazali się jednak zimną krwią i bezwzględnym przywiązaniem do procedur – żadne urządzenie bez certyfikatu Federalnej Agencji ds. Leków nie mogło zostać użyte do badania stanu zdrowia żołnierzy, a Theranos certyfika-

tów nie miał, bo nawet o nie nie wystąpił. Generał Mattis odpuścił, ale pozostał wierny Elizabeth, na emeryturze przyjmując miejsce w radzie nadzorczej firmy.

Sama Holmes jeszcze przez kilka lat głosiła wszem wobec, że produkowane przez nią urządzenia „jeżdżą" w samochodach terenowych amerykańskiego korpusu w Afganistanie, a jej firma ściśle współpracuje z Pentagonem.

Stevena Burda, prezesa dużej sieci marketów Safeway, uwielbienie dla Elizabeth kosztowało stanowisko. Gdy w 2011 r. postawił na ścisłą współpracę z Theranosem, wierzył, że utworzenie w sklepach specjalnych punktów testowania krwi uczyni z jego firmy prawdziwie nowoczesne przedsiębiorstwo. Prognozował 250 mln dolarów zysku rocznie. W przygotowanie pomieszczeń zainwestowano 350 mln.

Tak, Steve Jobs trzymał w tajemnicy projekt iPhone'a. Ale badania krwi to coś poważniejszego niż telefon. Muszą być klinicznie potwierdzone

Lakshman Ramamurthy, biolog molekularny, który wątpił w opowieści Holmes, kiedy wszyscy jeszcze jej wierzyli

Do żadnego nie zawitał nigdy ani jeden pacjent.

Elizabeth obiecywała, że ich wspólne przedsięwzięcie ruszy lada moment, ale zanim to nastąpiło, 2 stycznia 2015 r. sieć Safeway opublikowała komunikat prasowy informujący, że prezes żegna się ze stanowiskiem. Zapewniano, że z własnej woli, ale na korytarzach huczało, że udziałowcy stracili cierpliwość.

George Shultz ufał Elizabeth Holmes tak dalece, że nie uwierzył swojemu rodzonemu wnukowi, gdy ten, po zakończonym stażu w Theranosie, zdecydował się wejść w rolę whistleblowera i współpracować z Johnem Carreyrou w dziennikarskim śledztwie przygotowywanym dla „Wall Street Journal".

Mimo całego doświadczenia politycznego Shultza jego rozumienie sytuacji było zaskakująco naiwne: chłopak jest młody i naiwny, a Elizabeth to prawdziwy geniusz biznesu.

OBIECAŁAM, TO DOWIOZĘ

Geniusz właśnie wtedy, w 2015 r., poszedł na całość. Decyzja o komercjalizacji firmy, którą Elizabeth Holmes podjęła najprawdopodobniej w akcie desperacji, przerażona faktem, że inwestorzy od kilkunastu lat finansują tylko jej obietnice i zapewnienia, oznaczała, że trzeba wyjść w świat i zacząć badać prawdziwych pacjentów.

– Obiecałam, to dowiozę! – miała powiedzieć Holmes przerażonym pracownikom.

Ich strach był w pełni uzasadniony. Theranos wszedł we współpracę z siecią aptek Wallgreens i przygotował kilkadziesiąt pilotażowych stanowisk pobierania krwi.

Przeszkolony personel na miejscu pobierał krew i wysyłał ją kurierem do Palo Alto. Tam poddawano ją badaniom, ale sprzęt Theranosa używany był rzadko. Zamiast tego firma zainwestowała w powszechnie stosowane maszyny Siemensa i DiaSorin – włoskiej firmy z branży analitycznej. Szkopuł w tym, że Holmes uparła się przy podtrzymywaniu obietnicy o jednej kropli krwi pobranej z palca. A pod tak małą ilość materiału nie był skalibrowany żaden z zakupionych automatów. Próbki rozcieńczano. Wyniki nie mogły być prawdziwe.

Tego nie znieśli nawet pracownicy laboratorium. Erica Cheung, jedna z szeregowych laborantek, wspomina swój przestrach, gdy kazano jej przeprowadzić test próbki krwi w kierunku kiły. Gdyby pacjent otrzymał wynik fałszywie dodatni – czekałaby go albo powtórna diagnostyka, albo inwazyjne leczenie. Gdyby dostał fałszywie ujemny, byłoby znacznie gorzej – poszedłby w świat uspokojony, narażając siebie i swoich partnerów. Tego było zbyt wiele, odeszła.

Papierami rzucił też szef laboratorium Alan Beam. Był z wykształcenia medykiem, składał przysięgę Hipokratesa. Po pierwsze, nie szkodzić. A firmując dalsze działania Theranosa, narażał ludzkie zdrowie. To się nie mieściło w żadnym etycznym standardzie.

PISMAKI ZACZYNAJĄ WĘSZYĆ

Oboje, wraz z Tylerem Shultzem, dotarli do Johna Carreyrou i zaczęli przekazywać informacje. Elizabeth dowiedziała się o śledztwie „Wall Street Journal" i postanowiła je zabić. Domyśliła się, kto sypie, zaczęła nasyłać prawników. Uderzyła do Murdocha, chciała, żeby wywarł presję na szefostwo „WSJ". Nie uległ. Pierwszy tekst ukazał się 15 października 2015 r. Ujawniał lipną współpracę z Wallgreens. Był bombą.

Holmes postanowiła walczyć. Już raz próbowano ją odwołać ze stanowiska w 2008 r., gdy Theranos po raz kolejny nie wypełnił obietnic finansowych i jak był, tak pozostał deficytowy. Wtedy udało się jej przeżyć: w trzygodzinnym starciu z własną radą nadzorczą zdołała ją przekonać do swoich racji i utrzymać się na stanowisku. Być może liczyła, że z mediami uda się jej podobna sztuka.

„Tak to jest, gdy próbujesz zmieniać świat. Najpierw się z ciebie śmieją, potem próbują zniszczyć, aż któregoś dnia po prostu zmieniasz świat" – zadudniła dramatycznie z ekranów CNBC po publikacji „WSJ".

Znowu wydawała się przekonująca. Dolina Krzemowa po prostu chciała jej wierzyć. Ale po tamtym tekście przyszły kolejne. I kolejne. Theranos wpadł w kor-

Brendan McDermid/REUTERS

Elizabeth Holmes bardzo starannie kreowała swój wizerunek młodej wizjonerki. Jego kluczowym elementem była garderoba – hochsztaplerka nosiła wyłącznie żakiety i spodnie

kociąg i ostatecznie się rozbił, czyli został formalnie zlikwidowany w 2018 r. Rok wcześniej Elizabeth Holmes przegrała walkę o pozycję i straciła stanowisko prezesa.

START-UPY POTIOMKINOWSKIE

Pamela Meyer w swojej książce *Liespotting: how to detect a deception* (*Wykrywanie kłamstw: jak wyłapać oszustwo*) przytacza historię, która przytrafiła się Stevenowi Marksowi, przedstawicielowi kalifornijskiego funduszu inwestycyjnego.

Któregoś dnia pewne studio graficzne zabiegające o wsparcie finansowe zaprosiło go do siebie na spotkanie, by dobić targu. Wyniki miało niezłe, perspektywy przyzwoite. Przechadzka po siedzibie pełnej pracowników, rozmowa z prezesem i Steve był gotów podjąć ryzyko. W drodze do windy wdał się jednak w krótką rozmowę z jedną, przypadkowo zaczepioną pracownicą biura. Wymienili parę zdań, po których zawrócił i wszedł do gabinetu, który chwilę wcześniej opuścił. Zadał kilka dodatkowych pytań, potem następne. Kilkadziesiąt minut później wiedział już wszystko: to była wioska potiomkinowska. Pracowników udawali tu wynajęci aktorzy, a firma balansowała na krawędzi bankructwa. Zaczepiona kobieta nie powiedziała mu tego sama z siebie. Po prostu uważnie obserwując jej zachowanie, domyślił się, że coś tu śmierdzi, resztę wydusił od przerażonego szefa firmy.

Dlaczego w przypadku Holmes nikomu się to nie udało? Manipulowanie wynikami finansowymi i sprzedawanie gruszek na wierzbie to norma w świecie start-upów.

Miesięcznik „Fortune" wkrótce po wybuchu afery Theranosa opisał przypadek Hampton Creek, wegańskiego start-upu wyceniającego się na równi ze spółkami technologicznymi, który windował sprzedaż, wymuszając na pracownikach zakupy hurtowych ilości majonezu bezjajecznego, będącego flagowym produktem firmy. Ale nieszczęśni weganie z Hampton Creek nie przewalili miliarda dolarów. Elizabeth Holmes się to udało, choć wydawała się wręcz komiksowym przykładem oszustki.

Meyer w swojej książce ostrzega: dobry kłamca mruga rzadziej niż przeciętny człowiek, mówi wolniej i niższym głosem, gdy próbuje cię wykiwać, usztywnia całe swoje ciało. Czy to naprawdę aż tak wyrafinowana wiedza, że nie posiedli jej doświadczeni politycy i biznesmeni, czy też Holmes była w te klocki wyjątkowo dobra? Tak dobra, że nawet rekinom finansjery potrafiła sprzedać zupę z gwoździa?

Czytając książkę Johna Carreyrou, można odnieść wrażenie, że twórczyni Theranosa urodziła się za późno. Idealne byłyby dla niej lata 60. z charakterystycznym dla nich rozkwitem quasi-religijnych wspólnot, w których nawiedzeni prorocy w zamian za hołdy, datki i usługi seksualne sprzedawali masom desperatów wizję nadchodzącego raju.

„Niniejszym zakładam religię" – obwieściła tłumowi zatrudnionych na jednym z zebrań pracowników Theranosa. „Kto nie wierzy, niech odejdzie" – dodała. „Niech wyp...ala!" – zawtórował jej zastępca buc (który później okazał się także jej kochankiem), a tłum zawył z zachwytu. Następnie wszystkim zgromadzonym rozdano egzemplarze *Alchemika* Paolo Coelho.

Na podstawie:
John Carreyrou, *Bad blood: secrets and lies in a silicone valley startup*, Nowy Jork 2018;
Wynalazczyni: Dolina Krzemowa w kropli krwi, reż. Alex Gibney, USA 2019.

Luciano Lozano/Getty Images

Zielony wandalizm to nie grzech

Z dowódcą polskiej Partyzantki Ogrodniczej Witoldem Szwedkowskim rozmawia Paulina Żebrowska

PAULINA ŻEBROWSKA: Jak narodziła się partyzantka ogrodnicza?

WITOLD SZWEDKOWSKI: Pierwszy zryw miał miejsce na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley w 1969 r. Zburzono miejsce będące nieformalnym domem kultury i spotkań studentów. Wtedy ci ostatni – w ramach buntu wobec bogaczy, którzy decydują za pozostałych – odgruzowali teren i sami zasadzili drzewa. Założyli w ten sposób Park Ludowy (People's Park), istniejący zresztą do dziś.

Samo określenie *guerilla gardening* pojawiło się w USA nieco później. Wiązało się z działalnością Liz Christie i grupy amerykańskich aktywistów z Green Guerilla, którzy na początku lat 70. założyli w Nowym Jorku na należącym do miasta terenie partyzancki ogród. W Europie taka praktyka przyjęła się dopiero w latach 90. Na przykład w 1996 r. w Kopenhadze skrzyknęły się ze sobą setki obywateli i w jedną noc powstał park.

W Polsce to pan jest prekursorem partyzantki ogrodniczej.

Tak, chociaż z początku nie wiedziałem, że to, co robię, nosi taką nazwę. Dopiero po czasie zidentyfikowałem to z szerszym ruchem oraz poznałem osoby nawet dwa razy ode mnie starsze, które ogrody na terenach miast uprawiają od wielu lat.

Dlaczego zaczął pan sadzić drzewa i kwiaty w mieście?

Bezpośrednim impulsem do zajęcia się partyzantką była dla mnie przeprowadzka do Bytomia, który na początku naszego wieku uchodził za coś, co dziś nazwalibyśmy polskim Detroit: gwałtownie likwidowany przemysł, lawinowo zmniejszająca się liczba mieszkańców. Miasto przechodziło kryzys, a wspólną przestrzenią nikt się zbytnio nie interesował. Zamieszkałem w dość ponurej okolicy, gdzie zamiast trawników były odłogi. Uznałem, że nie wypada, by wspólna ziemia leżała zaniedbana.

Długo się nie zastanawiając, pożyczyłem łopatę, skopałem grunt, kupiłem trochę niezapominajek, trochę stokrotek, w piwnicy znalazłem puszkę farby olejnej, pomalowałem płotek. I tak to się zaczęło. Potem zauważyłem, że w mieście wycina się drzewa, więc na przekór lekkomyślnym decyzjom włodarzy zacząłem je sadzić. Nikogo nie pytałem o pozwolenie.

Czy dziś zaanektowanie terenu pod blokiem pod małą uprawę byłoby możliwe?

Oczywiście. Wciąż widuję oddolnie tworzone ogródki. Jest ich sporo, choć nie wiem, które z nich są nowe. Na początku lat 80. na łódzkim osiedlu, gdzie się wychowywałem, zakładano je masowo, ludzie tłumnie zamieniali trawniki na ogródki owocowo-warzywne. Wiele z nich zostało porzuconych, relikty można nadal odnaleźć w wielu miastach – to te płachetki ziemi przy balkonach i blokach, gdzie można dostrzec jakieś kontury, stare krzewy porzeczki, śliwy, wiśni.

Trzydzieści parę lat temu było to normą, choć powody ich zakładania były raczej ekonomiczne niż ekologiczne.

Jak duże jest dziś w Polsce zainteresowanie dzikim ogrodnictwem miejskim?

Zainteresowanie samą partyzantką nie jest jeszcze wielkie. Rośnie powoli, a media na razie traktują ją trochę jak ciekawostkę, modę.

Swoje pierwsze drzewo zasadziłem, mając niecałe cztery lata.
Może zostanie po mnie coś więcej niż tylko kupa plastiku

Nie ma zagrożenia, że gdy zasadzę kwiaty czy drzewa, zaraz przyjdzie służba zieleni i wszystko zlikwiduje?

To się niestety czasem zdarza. Niektórzy kosiarze równają z ziemią wszystko: tną kwiaty, młode krzewy, podcinają drzewka. Nie wiem dlaczego. Społeczność powinna na to reagować.

W tym roku wybuchła np. spontaniczna akcja przeciwko koszeniu trawników. W kwietniu się nie kosiło, bo było sucho i nic nie rosło. W maju też nie, bo padały deszcze.

I kiedy nastał czerwiec, okazało się, że zapuszczone trawniki obrosły bogactwem gatunków, a ludzie zaczęli apelować, żeby zostawić je w spokoju. Wreszcie mamy okazję przyjrzeć się nowym okazom, przyrodzie, która przyszła do miasta.

Powoli zaczynamy domagać się bioróżnorodności. Może więc trzeba by pomyśleć o dokształceniu kosiarzy i zatrudnieniu ich przy zazielenianiu nieużytków, pielęgnowaniu parków?

Polityka miast musiałaby się radykalnie zmienić.

Jest na to nadzieja. Od kilku lat spotyka się Kongres Ruchów Miejskich i oni podnoszą kwestie, które wcześniej byłyby z automatu odrzucane.

Na przykład wspomniane trawniki: zamiast kosić, zakładajmy kwietniki albo kwietne łąki. Albo ogrody społeczne na terenach, które mogłyby być zielone, ale miasta nie stać na ich utrzymywanie.

Ogrody wspólnie uprawiane przez mieszkańców miast stają się w Polsce coraz popularniejsze.

W Krakowie jest ich już kilka, są też w Warszawie, Szczecinie czy Poznaniu, gdzie pojawiły się chyba najwcześniej. Na poznańskiej Wildzie w takim ogrodzie kwitnie życie sąsiedzkie, organizowane są wymiany niepotrzebnych rzeczy, kuchnia społeczna, pokazy, występy, wystawy.

Bywa, że ich powstanie inicjuje opieka społeczna, aby aktywizować i socjalizować ludzi. Czasem mieszkańcy sami chcą stworzyć miejsce dla siebie. W Katowicach trzy starsze panie dowiedziały się, że miasto daje pieniądze na tego typu inicjatywy społeczne. Skrzyknęły trzynaście innych kobiet i poprosiły miasto o udostępnienie im terenu pod ogród, żeby miały się gdzie spotykać. Jeszcze inne ogrody mają na celu głównie uprawę roślin jadalnych czy poprawę estetyki.

Niektóre ogrody społeczne jednak padają.

Tak. Mamy ich w Polsce kilkadziesiąt, ale ciągnie je zwykle pojedynczy pasjonat, wokół którego pojawiają się ludzie i czasem, gdy kogoś takiego zabraknie, towarzystwo się rozprasza. Trudno u nas o stałe działania w rodzaju inicjatyw Liz Christy czy Adama Purple'a (do połowy lat 90. prowadził taki ogród na Manhattanie), które miałyby wieloletnią kontynuację już bez lidera, lecz dzięki staraniom szerszej społeczności.

Wróćmy do partyzantki miejskiej – co najczęściej pan sadzi?

Drzewa, one w mieście są równie ważne jak budynki. Dzięki nim korzystamy z takich „usług ekosystemu", jak czyste powietrze, klimatyzacja, wyciszanie ulic.

Swoje pierwsze drzewo zasadziłem, mając niecałe cztery lata. Rośnie sobie przed blokiem, w którym po dziś dzień mieszkają moi rodzice. Myślę, że w sprzyjających warunkach może mnie przeżyć. I to jest niezłą motywacją do sukcesywnego powtarzania sadzenia drzew w mieście – może zostanie po mnie coś więcej niż tylko kupa plastiku.

W jaki sposób wybiera pan miejsca pod nowe nasadzenia?

Partyzantka to nie działanie na łapu-capu. Wymaga na początek dobrego rozpoznania terenu: rozpracowania miejsca „ataku", topografii, warunków i otoczenia. Najprostsze i najpewniejsze działanie to uzupełnianie wyszczerbień w alejach, czyli przerw powstałych po wycięciu chorych drzew.

Jeśli nikt z tym nic nie zrobi, zaraz przyjdzie ktoś z urzędu, położy kostkę, poszerzy chodnik albo kierowcy zaadaptują to jako dzikie miejsce parkingowe.

Witold Szwedkowski

Drzewa w Polsce padają ofiarą polityki, samo lex Szyszko najpewniej pochłonęło ich miliony. Witold Szwedkowski został zielonym partyzantem, żeby zatrzymać to szaleństwo

Jaki rodzaj drzewa w takiej sytuacji posadzić?

Trzeba spojrzeć, jakie gatunki rosną w takiej alei, i je sadzić. Poza tym sadząc w istniejącej alejce, mamy pewność, że pod spodem nie ma instalacji, niczego się przypadkiem nie zniszczy.

Istnieje mit, że „partyzanci sadzą rośliny nocą" – jakby trzeba to było ukrywać. Ja sadzę wtedy, kiedy mam czas. Czasem wieczorem, a czasem w biały dzień. Za dnia ludzie widzą, że ktoś robi coś bezinteresownie. „A to pan z zieleni miejskiej?". „Nie, ja z sąsiedztwa". „To zaraz panu wyrwą, połamią...". Cóż, raczej nie łamią. Zresztą... jeśli nawet tak się zdarza, to jest to wpisane w partyzancki los. Partyzantka ogrodnicza to pasmo sukcesów gęsto usiane porażkami. Sukcesem jest każdy kolejny rok, w którym przetrwało nasze nasadzenie.

Co grozi miejskiemu ogrodnikowi? Został pan kiedykolwiek ukarany za sadzenie drzew?

Nie ma podstaw prawnych do karania za dbanie o zieleń. Jeżeli znajdziemy teren przewidziany do nasadzeń, na którym nie ma drzew i krzewów (bo zostały np. wycięte), to ja wyręczam urząd.

O ile jednak nie odpowiada się za same nasadzenia, o tyle można ponieść konsekwencje ewentualnych szkód. Nie sadzi się byle czego, byle jak i byle gdzie. Nie sadzi się za blisko budynków i jezdni, nad infrastrukturą uzbrojenia gruntu czy pod sieciami napowietrznymi, trzeba wziąć pod uwagę m.in. strefy ochrony konserwatorskiej czy plany zagospodarowania przestrzennego. Podstawą wszelkiej partyzantki, również ogrodniczej, jest dobre rozpoznanie.

A co samo miasto może zrobić na rzecz takich inicjatyw jak partyzantka?

Miasto Wrocław daje np. ulgi właścicielom nieruchomości, którzy urządzili na swoich posesjach zielone ściany albo przerobili dachy na powierzchnię biologicznie czynną, czyli obsadzili je roślinnością lub zadrzewili. W Poznaniu samorząd zachęcił spółdzielnię mieszkaniową w dzielnicy Łazarz, żeby zaadaptować trawnik na ogród społeczny. A w tym samym mieście w dzielnicy Wilda udało się zazielenić szczerbę w pierzei, w której to szczerbie zaczęto składować potłuczone telewizory.

Z kolei w Katowicach urząd dopłaca, by mieszkańcy zaangażowali się w nowe nasadzenia – zamiast więc wysyłać swoje służby albo zlecać to firmom zewnętrznym, zachęca się do tego mieszkańców.

W Siemianowicach Śląskich na osiedlu Tuwima pojawił się pomysł, żeby obciążyć opłatami mieszkańców, którzy uprawiają tam ogródki. Ach, jak zawrzało! „To ja tu od 30 lat dbam o wspólną przestrzeń, wyręczając urzędników, sieję kwiaty, sadzę cebulki i jeszcze mam za to płacić?!". Urzędnicy poszli po rozum do głowy i się wycofali.

A czym jest schronisko dla niechcianych roślin?

Powodzenie tej inicjatywy było dla mnie sporą niespodzianką. Kiedy kupiłem mieszkanie w Chorzowie, w korytarzu kamienicy zastałem mnóstwo zapuszczonych, przerośniętych roślin. Rzuciłem gdzieś hasło, że można by zorganizować miejsce wymiany, w którym mający za dużo roślin mogą je oddać, a szukający ich – wziąć. Podłapały to dwie dziewczyny z Poznania i założyły takie schronisko. Niestety, po dwóch latach słuch o nich zaginął i wtedy ja przejąłem opiekę nad swoim dwuletnim dzieckiem.

Udało się. Dziś to już ogólnopolska sieć z tysiącami aktywistów. Ale są i naśladowcy, którzy organizują to po swojemu. I o to w tej ekologii chodzi.

Witold Szwedkowski
jest psychologiem, poetą i pasjonatem ogrodnictwa miejskiego. Pomysłodawca schroniska dla niechcianych roślin. Za działalność na rzecz zieleni miejskiej w roku 2017 uhonorowany przez wojewodę śląskiego tytułem „Lokalny bohater", kilkukrotnie nominowany do udziału w plebiscycie „Osobowość roku".
Na co dzień pracuje w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach.

Wywrotowiec, który nie istniał

Mukhammadsharif Mamatkulov/REUTERS

Byłem zadowolony, ale zadowolenie przychodziło stopniowo. Najpierw dlatego, że mnie nie zabili i wszczęli sprawę karną. Następnie, że dożyłem procesu i wszystko powiedziałem. Wreszcie, że mnie wypuścili

Usman Haknazarow pojawił się nagle i ni stąd, ni zowąd zaczął wyjawiać sekrety uzbeckich władz – jednego z najbardziej zamordystycznych reżimów świata. Robił to przez kilkanaście lat. Później okazało się, że Haknazarow nie istnieje

Agnieszka Pikulicka-Wilczewska

Gdy w 2003 r. pojawiły się pierwsze teksty Haknazarowa, Uzbekistan od wielu lat był rządzony twardą ręką przez Islama Karimowa. Dyktator opierał się na Narodowej Służbie Bezpieczeństwa znanej z okrucieństwa i sieci agentów w całym kraju. Represje dotykały wszystkich samodzielnie myślących: opozycjonistów, ludzi trochę za bardzo religijnych, zainteresowanych Turcją, inteligencję. Czasem kończyło się na postraszeniu, nieraz torturowano lub wsadzano na długie lata do więzień. W końcu większości odechciało się myśleć, a ci, którzy nie mogli tak żyć, uciekli za granicę. W 2005 r., gdy siły rządowe rozstrzelały pokojowych demonstrantów w Andidżanie, w kraju zapanował jeszcze większy terror. Wkrótce potem zachodnie organizacje broniące praw człowieka i zagraniczni dziennikarze zostali zmuszeni do opuszczenia Uzbekistanu i już nikt nie monitorował sytuacji w coraz bardziej represyjnym kraju.

KRET POD STOŁEM

Usman Haknazarow naprawdę nazywa się Bobomurod Abdullajew. Wszystko zaczęło się od jego wieczornych spotkań z kolegami, podczas których mężczyźni skarżyli się na władzę, brak perspektyw w kraju, korupcję. Jeden z nich, Rafszad Sarajew, pracował jako ogrodnik u Gulnary Karimowej, córki prezydenta, gdzie był w stanie podsłuchać wiele prywatnych rozmów. Inny, Szawkat Alajarow, prowadził drogą restaurację, w której spotykała się elita władzy, nie wiedząc, że ktoś ją podsłuchuje. Być może informatorów było więcej, ale według Abdullajewa wszystko wiedział od dwójki kolegów.

Bobomurod zaczął pisać. Analizował wszystkie informacje i dla zmylenia służb opisywał tak, jakby był naocznym świadkiem wydarzeń. Powoli, pisząc kolejne teksty, Haknazarow odkrywał coraz więcej tajemnic. Pisał o schematach korupcyjnych, dużych sprawach, ale często po prostu cytował wypowiedzi obnażające arogancję władz.

Publikowały go niezależne uzbeckie media z siedzibami poza granicami kraju. Mimo wszechobecnej cenzury udawało się im dotrzeć do chociaż części opinii publicznej.

Wszyscy głowili się: kim jest ten śmiałek? Samobójcą? Wysokiej rangi oficerem służb specjalnych? Najbliższym współpracownikiem Karimowa? W ogarniętym paranoją kraju nie było miejsca na taką odwagę.

„Pisał tak, jakby siedział pod stołem i przysłuchiwał się rozmowom. Myśleliśmy, że Haknazarow to ktoś z kręgu Karimowa. Chciał, żeby wszyscy w to uwierzyli" – mówi mi Marjam Ibragimowna, doktor historii i wieloletnia opozycjonistka.

JEDEN WPIS ZA DUŻO

Gdy fikcyjny Usman Haknazarow był na ustach wszystkich, jego rzeczywiste alter ego, Abdullajew, miał problemy z pracą. Czasem pracował jako taksówkarz lub pisał komentarze sportowe. W środowisku dziennikarskim nie widziano w nim poważnego analityka. Bobomurod dniami szukał pracy, a nocami przelewał na klawiaturę sekrety państwa Karimowa. Ani żona, ani nikt z jego najbliższych o tym nie wiedzieli.

„Raz usłyszałam, jak jeden z moich studentów mówi do drugiego o artykule, który napisał Usman Haknazarow. Powiedziałam, żeby się uciszyli, dwa, trzy razy. Po zajęciach wezwałam ich do siebie i poprosiłam, by więcej mi nie przeszkadzali" – wspomina żona Abdullajewa, Katia. „Gdy wróciłam do domu, zapytałam Bobomuroda, czy słyszał o człowieku, który pisze tak odważne teksty o Uzbekistanie. Udał zdziwionego. Dopiero w sądzie dowiedziałam się, że Usman Haknazarow to mój mąż".

Lata mijały, a Haknazarow, choć z przerwami, nadal obnażał skandale na najwyższych szczeblach władzy. Po śmierci rządzącego krajem od upadku ZSRR Karimowa, gdy pod koniec 2016 r. władzę przejął premier Szawkat Mirzijojew, do Uzbekistanu po raz pierwszy od

David Hume Kennerly/Getty Images

Islom Karimow, prezydent Uzbekistanu w latach 1991-2016, stworzył jeden z najbardziej opresyjnych reżimów na świecie. Haknazarow starał się zastąpić nieistniejące tam wolne media

niepamiętnych czasów wleciało świeże powietrze. Nowy prezydent zapowiedział reformy: uwolnienie kontrolowanej waluty, swobody gospodarcze, wolność mediów, otwarcie na świat.

Choć Mirzijojew był częścią systemu, wszyscy uwierzyli w zmianę.

„Byliśmy pełni euforii. Rozumieliśmy, kim jest ten człowiek, ale mimo to wierzyliśmy, że nadchodzą wielkie zmiany" – mówi Marjam Ibragimowna.

Wkrótce zmiana nadeszła również dla Usmana Haknazarowa.

Haknazarow opublikował w 2017 r. tekst o przemycie narkotyków z Afganistanu do Rosji. Proceder miał być kontrolowany przez prawą rękę Rustama Inojatowa, od 23 lat potężnego szefa służb specjalnych. Po tej publikacji szczęście przestało sprzyjać Haknazarowowi. Wkrótce, po 14 latach poszukiwań, aresztowały go służby.

NIECH SOBIE PISZE

Bobomurod Abdullajew mówi spokojnie, jakby opowiadał nieswoją historię. 46-letni mąż i ojciec trójki dzieci nie robi z siebie bohatera. Podkreśla, że ktoś musiał pisać prawdę. Jest na wolności, ale za swoją działalność wciąż płaci wysoką cenę. Z obawy przed władzą nie chce zatrudnić go żadna redakcja, żona Katia straciła pracę na uczelni (uczyła języka angielskiego), a w szkole nauczyciele i uczniowie przez wiele miesięcy dręczyli jego dzieci.

Utrzymuje się ze skromnej pensji marketingowca w jednej z uzbeckich firm. Jeszcze do niedawna, w ramach kary za działalność antypaństwową, musiał oddawać 20 proc. swojej pensji do budżetu kraju. Twierdzi, że to i tak nieźle – za Karimowa dostałby wyrok 20 lat więzienia.

Jak udało mu się przez 14 lat ukrywać przed służbami?

„Myślę, że nie znaleźli mnie wcześniej, bo źle szukali. Jeśli by dobrze poszukali, to by znaleźli. W tamtych czasach pisałem o otoczeniu Karimowa, a wszyscy, nawet Inojatow, nienawidzili prezydenta" – mówi mi, popijając herbatę. „Im się to podobało. Myśleli sobie: »Niech pisze o dyktatorze«. Dopiero gdy zacząłem opisywać przestępstwa samej służby bezpieczeństwa, zaczęli mnie szukać na poważnie".

W dniu zatrzymania Bobomurod spieszył się, by odebrać samochód od mechanika. Wybiegł z domu, nie wypiwszy z Katią herbaty, choć ta nalegała, by chwilę z nią posiedział. Do mechanika nigdy nie dotarł. Pod lokalną restaurację podjechał do niego samochód, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. Zarzucili mu na głowę worek, wepchnęli do pojazdu i wywieźli prosto do piwnicy w siedzibie służb specjalnych.

„Nie wiedziałem, dokąd mnie zabierają. Myślałem, że jedziemy na egzekucję. Ale potem pojawiła się myśl, że nie zabiją mnie od razu, a dopiero wtedy, gdy odkryją moich informatorów. Uspokoiłem się, bo pomyślałem, że będę miał proces" – mówi Bobomurod.

TORTURA PRAWDĘ CI POWIE

Spędził trzy dni w tzw. miękkim pokoju. Jego ściany wypchano specjalnym materiałem i obklejono brezentem, by przesłuchiwani, torturowani świadkowie nie mogli popełnić samobójstwa. Choć, wedle świadectw, niektórzy nie wychodzą stamtąd żywi. Potem przeniesiono go do celi z innymi zatrzymanymi, gdzie przesiedział siedem miesięcy. Aż do zakończenia procesu.

W sądzie przyznał się do wszystkiego. Usłyszał wyrok trzech lat pozbawienia wolności, ale jako że jeden dzień w areszcie śledczym liczy się jak trzy w zakładzie karnym, wypuścili go chwilę po zakończeniu procesu – w maju 2018 r. Na ławie oskarżonych zasiadło też dwóch kolegów Bobomuroda, ale żaden z nich nie został skazany.

„Byłem zadowolony, ale zadowolenie przychodziło stopniowo. Najpierw dlatego, że mnie nie zabili i wszczęli sprawę

Spędził trzy dni w tzw. miękkim pokoju. Jego ściany wypchano specjalnym materiałem i obklejono brezentem, by przesłuchiwani, torturowani świadkowie nie mogli popełnić samobójstwa

karną. Następnie, że dożyłem procesu i wszystko powiedziałem. Wreszcie, że mnie wypuścili" – mówi Bobomurod.

Gdy prezydent Mirzijojew doszedł w 2016 r. do władzy, służby nadal były pod kontrolą wszechwładnego Inojatowa – rządził nimi jak swoją własną armią. Służby miały za cel przede wszystkim gromadzenie bogactwa, to tradycja sięgająca jeszcze czasów komunistycznych. Kontrolowały większość lukratywnych biznesów w kraju i w dużej mierze pracowały na siebie. Dlatego artykuł Bobomuroda tak bardzo rozwścieczył Inojatowa, że po 14 latach wreszcie postanowił go zamknąć.

Następca Karimowa szybko zapowiedział reformę służb. Nie było to jednak proste, biorąc pod uwagę, jak wielką władzę miał Inojatow.

„Mirzijojew nienawidził Inojatowa, doskonale wiedział, kim jest. Zdecydował się jednak czekać. Zdawał sobie sprawę, ilu stronników szef służb ma w całym kraju. Powoli podcinał pod nim gałąź. Zajęło to dwa lata" – mówi Ibragimowna. „Prezydent nie musiał wypuszczać Bobomuroda, ale chciał w ten sposób zdyskredytować Inojatowa i zachować twarz. Ta sprawa rujnowała wizerunek Uzbekistanu".

Na początku ubiegłego roku prezydent po niemal ćwierć wieku usunął Inotajewa ze stanowiska szefa służb i powierzył mu mniej eksponowaną funkcję, a służbę bezpieczeństwa kazał zreformować.

Choć, jak wspominają Bobomurod i inni osadzeni, sytuacja więźniów po rozpoczęciu odwilży się polepszyła, a pobicia przestały być normą, zmiany nie zostały jednak przeprowadzone do końca: tortury są kontynuowane, wciąż łamie się prawa człowieka.

W KAWIARNI Z KATEM

Od początku procesu adwokat Bobomuroda zgłaszał sądowi, że w czasie zatrzymania jego klient był torturowany. Na ręce mężczyzny do tej pory widać blizny. Choć sąd przyjął jego zeznania, nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności, jego oprawca nadal pracuje dla służb.

Bobomurod opowiada mi o sytuacji, do której doszło krótko po jego uwolnieniu w ubiegłym roku.

„Siedziałem w kawiarni ze znajomymi. 10-15 osób przysiadło się do stolika obok i od razu poznałem, że są ze służb. Nagle jeden z nich podszedł do mnie i powiedział: »Cześć«. To był człowiek, który mnie torturował" – mówi mężczyzna. „Zeznajesz przed sądem i wszyscy ci mówią, że twoi oprawcy zostali ukarani, ale nie zostali. Ten człowiek pokazał mi, że nie mam żadnej siły sprawczej, a on jest bezkarny".

Choć Bobomurod i jego żona chcą zostać w kraju i tam wychowywać swoje dzieci, budując nowy, lepszy Uzbekistan, czasem zdarza im się myśleć o wyjeździe.

„Nie jestem w więzieniu, ale nadal nie jestem też bezpieczny. Na razie nie chcą mi nic zrobić. Ale jak zechcą, to zrobią" – mówi mężczyzna.

Agnieszka Pikulicka-Wilczewska
jest dziennikarką, zajmuje się Azją Środkową i krajami byłego ZSRR. Pisze dla „Tygodnika Powszechnego" i portalu Al Jazeera.

Alexei Nikolsky/TASS/Getty Images

Szawkat Mirzijojew (na zdjęciu z Władimirem Putinem) został następcą Karimowa. Stara się liberalizować system, czas pokaże jednak, na ile trwałe będą efekty reform

Górnictwo nie z tej Ziemi

„Na jednej planetoidzie może być tyle platyny, ile pozyskaliśmy w ciągu całej historii jej wydobycia na Ziemi"– przekonuje polski prekursor górnictwa kosmicznego

Z Gordonem Wasilewskim
rozmawia Michał Niepytalski

MICHAŁ NIEPYTALSKI: Kiedy zostaniesz miliarderem?

GORDON WASILEWSKI: Na górnictwie kosmicznym będzie można rzeczywiście dużo zarobić – mówi się, że to pierwsza branża, która przyniesie bilionerów.

Fantastyczne w tej dziedzinie jest to, że jest ona tak pionierska, że wciąż można patentować rozwiązania koncepcyjne, które są ledwie metodami. Nam na przykład pod koniec ubiegłego roku udało się opatentować metodę wydobycia wody z pokładów lodonośnych – w szczególności na Marsie, ale przydatną w całym Układzie Słonecznym. Naszym celem nie było zarobienie na tym, bo zdajemy sobie sprawę, że komercjalizacja tych rozwiązań w ciągu kilku najbliższych lat, gdy ochrona patentowa będzie działać, raczej nie jest możliwa. Kiedy jednak komercyjne wydobycie stanie się bardziej powszechne, to między innymi właśnie takie pomysły będą przynosić pieniądze.

Ile czasu musi jeszcze minąć, nim ktoś zarobi pierwszy bilion, sprowadzając na Ziemię kosmiczne skarby?

Spokojnie. Na początek potrzebujemy infrastruktury orbitalnej, która nam to umożliwi. Dziś myślimy przede wszystkim o pozyskiwaniu zasobów, które są dla nas najłatwiej dostępne: wody i energii. Musimy je zdobyć, by założyć stałą bazę na powierzchni Księżyca.

Najbardziej zaawansowane są plany biznesowe dotyczące wody. Istnieje nawet baza potencjalnych klientów. W tym kontekście możemy więc mówić o niemal pewnym zysku w dość nieodległej perspektywie czasowej. Jeśli planujemy misję polegającą na pozyskiwaniu wody z pokładów lodonośnych na Księżycu i przerabianiu na paliwo rakietowe w zintegrowanym procesie górniczo-przetwórczym, to zgodnie z najnowszymi analizami, inwestując 2,5 mld dol., w ciągu 10 lat jesteśmy w stanie zarobić 4,5 mld.

Wody na Ziemi mamy jednak sporo, więc ta z Księżyca się tu nie przyda. Rozumiem, że może ona służyć za to np. do produkcji rakietowego paliwa wodorowego na Księżycu. Ale skoro daleko jeszcze do stworzenia technologii umożliwiającej sprowadzenie dużych ilości surowców z odleglejszych części kosmosu na Ziemię, czy ktoś będzie kupował to paliwo z myślą o wykorzystaniu go, powiedzmy, za kilkadziesiąt lat?

Już dziś możemy tankować obiekty w kosmosie – sztuczne satelity. W ten sposób można zwiększyć ich żywotność. To bardziej opłacalne niż złomowanie i wysłanie nowych. Orbitalne tankowanie daje także możliwość wsparcia odległych misji poszukiwawczych i badawczych. Tankując statek, który został wprowadzony na orbitę z Ziemi, możemy wysłać znacznie więcej ładunku i znacznie bardziej zaawansowane urządzenia.

Co w tej branży przyniosą najbliższe lata?

Mamy plan. Najpierw wysyłamy misje poszukiwawcze, żeby potwierdzić występowanie surowców na Księżycu oraz ich zasoby i wartość. Dziś, jeśli chodzi o lód wodny, mamy potwierdzony jeden punkt: księżycowy krater Cabeus. Potrzebujemy wiedzieć więcej, ciągle poruszamy się po omacku. W ciągu najbliższych trzech lat dzięki programowi NASA CLPS

A.Gragera/Science Photo Library

Europejska Agencja Kosmiczna pierwszych galaktycznych górników chce wysłać z misją na Księżyc już w 2025 r.

zostaną wysłane komercyjne lądowniki, które będą między innymi zbierać dane o surowcach. Pierwszy ma się pojawić na Księżycu już w przyszłym roku.

To element programu „Artemida", którego kulminacją będzie zaplanowany na 2024 r. powrót ludzi na powierzchnię Srebrnego Globu. Tak ambitne przedsięwzięcie samo w sobie pozytywnie wpływa na klimat polityczny i ekonomiczny w całym sektorze. Zamysłem „Artemidy" jest jednak nie tylko powtórzenie tego, co udało się już pół wieku temu, lecz także między innymi umieszczenie nad Księżycem stacji orbitalnej. Jeśli się to powiedzie, nasze zdolności eksploracyjne znacznie się poszerzą.

Wówczas zarówno sama stacja, jak i wysyłany przez nią sprzęt księżycowy może być wykorzystywany przez sektor górnictwa kosmicznego.

Rzeczywiście może tak być. Kolejnym krokiem ma być umieszczenie bazy już na powierzchni Księżyca. Żeby to jednak zrobić, nie możemy bazować na wysyłanych tam zasobach – musimy bazować na surowcach dostępnych na miejscu. Dopiero wówczas pojawią się duże możliwości dla firm komercyjnych.

Takie przedsiębiorstwa, bazując na tamtejszych zasobach, będą zapewniały część zaopatrzenia dla stacji, uniezależniając ją w ten sposób od dostaw z Ziemi. To ważne, bo po pierwsze, zniknie ryzyko, że coś nie doleci, a po drugie, zredukowane zostaną koszty transportu – dowiezienie czegoś na odcinku 400 tys. km jest znacznie droższe. W ten sposób wytworzy się środowisko biznesowe, które będzie mogło obsługiwać już nie tylko podmioty publiczne, ale w dalszej perspektywie również całą gamę działających na Księżycu firm prywatnych.

Wiele zależy od powodzenia „Artemidy", choć niewykluczone, że misja o charakterze górniczym odbędzie się niezależnie. Niemniej myślę, że wydobywanie surowców księżycowych może się rozpocząć najwcześniej w 2030 r.

Twierdzisz, że górnictwo kosmiczne da nam bilionerów. Nie chce mi się wierzyć, że tyle będzie można zarobić na wodzie.

Na wodzie wyrosną pewnie najwyżej miliarderzy. Bilionerzy pojawią się w sektorze górnictwa metali ziem rzadkich i metali szlachetnych. Surowce te występują na Ziemi rzadko, ale nie w kosmosie; w dużych ilościach można je znaleźć na planetoidach.

Koszty misji kosmicznych będą ogromne – czy inwestycje się zwrócą?

Na jednej planetoidzie może być na przykład tyle platyny, ile pozyskaliśmy w ciągu całej historii jej wydobycia na Ziemi.

A obiektów potencjalnie cennych dla naszej cywilizacji jest w kosmosie niemal nieskończenie wiele.

Znaczenie eksploracji kosmosu z latami się zmieniło: wcześniej mogła przynieść ona głównie prestiż i bezpieczeństwo, dziś dochodzą zyski. Czy wobec tego czeka nas prywatyzacja kosmosu?

I tak, i nie. Era eksploracji kosmosu, w której żyjemy, nazywana jest Space 4.0. To era partnerstw prywatno-publicznych.

Państwowe agencje kosmiczne zapewniają finansowanie, umożliwiając rozwój prywatnego sektora kosmicznego. Taki rozwój powoduje zaś, że pewne usługi i produkty stają się tańsze. W tej sytuacji wszyscy wygrywają. Państwowe agencje kosmiczne w końcu zdały sobie sprawę, że *outsourcing* pewnych aspektów ich działalności może przynieść nie tylko oszczędności, lecz także podwyższenie jakości.

To jednak model, z którego korzystają tylko kraje zachodnie. Poza tym nakładają one też obostrzenia. W USA obowiązuje na przykład prawo zabraniające krajowym misjom kosmicznym startowania spoza terytorium Stanów Zjednoczonych. Wyjątkiem jest korzystanie z kosmodromu w kazachstańskim Bajkonurze przez astronautów biorących udział w misjach na Międzynarodową Stację Kosmiczną.

Na Wschodzie jednak – w Rosji, Chinach i Indiach – model państwowo-prywatny już nie funkcjonuje. Specyfika polityczna i gospodarcza sprawia, że owe państwa mają w tym zakresie monopol. W szczególności dotyczy to Chin; Pekin ma mnóstwo pieniędzy i kosmos jest ważnym elementem w jego planach pięcioletnich. To jedno z pól rywalizacji chińsko-amerykańskiej.

Chiny zastąpiły tutaj Związek Radziecki jako głównego rywala Stanów Zjednoczonych? Czy to już nowy wyścig kosmiczny?

Zdecydowanie tak. To, co dzieje się w kosmosie, odzwierciedla zmieniający się układ geopolityczny.

Nowy wyścig kosmiczny, który właśnie się rozpoczyna, widzę jako rywalizację tych dwóch modeli: zachodniego opartego na współpracy państwa z podmiotami komercyjnymi oraz państwowego modelu chińskiego. Co okaże się skuteczniejsze? I jaka motywacja okaże się lepsza? Dziś firmy zachodnie kierują się chęcią zysku, zaś model chiński wydaje się bardziej staroświecki w tym względzie.

Jest bardziej ambicjonalny?

Chyba tak, choć to moje domysły, tak naprawdę niewiele o nim wiemy.

Podam przykład. W sektorze górnictwa kosmicznego wszyscy się całkiem dobrze znamy. To grupa 200–300 specjalistów. Podczas odbywającego się w Kolorado corocznego Space Resources Roundtable spotykamy się i prezentujemy to, co zdziałaliśmy do tej pory. Nigdy nie było tam żadnego Chińczyka. Domyślam się, że nie dlatego, że oni się tym nie zajmują, ale dlatego, że się tym nie chwalą.

Ktoś oprócz tradycyjnych potęg liczy się w tej grze?

Niezbyt oczywistym graczem są wspomniane wcześniej Indie, które także wysyłają na Księżyc misje bezzałogowe [misja Chandrayaan-1 z 2008 r. i trwająca Chandrayaan-2 – przyp. red.]. Planują nawet budowę własnej ziemskiej stacji orbitalnej. W grze jest też Japonia, zwłaszcza jeśli chodzi o górnictwo. Ich misje Hayabusa i Hayabusa-2 polegały na

WOJNY W KOSMOSIE RACZEJ NIE BĘDZIE. ZA BARDZO POLEGAMY NA TECHNOLOGII SATELITARNEJ, ABY RYZYKOWAĆ JEJ ZNISZCZENIE. KONFLIKTY O KOSMICZNE ZASOBY BĘDĄ SIĘ ROZGRYWAĆ NA ZIEMI

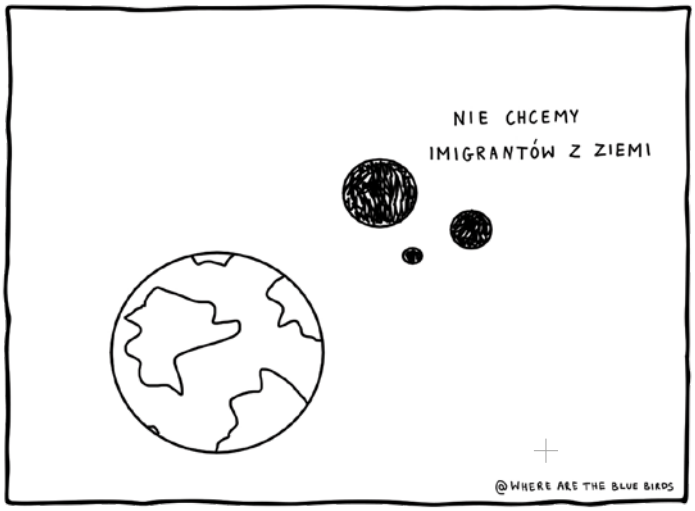

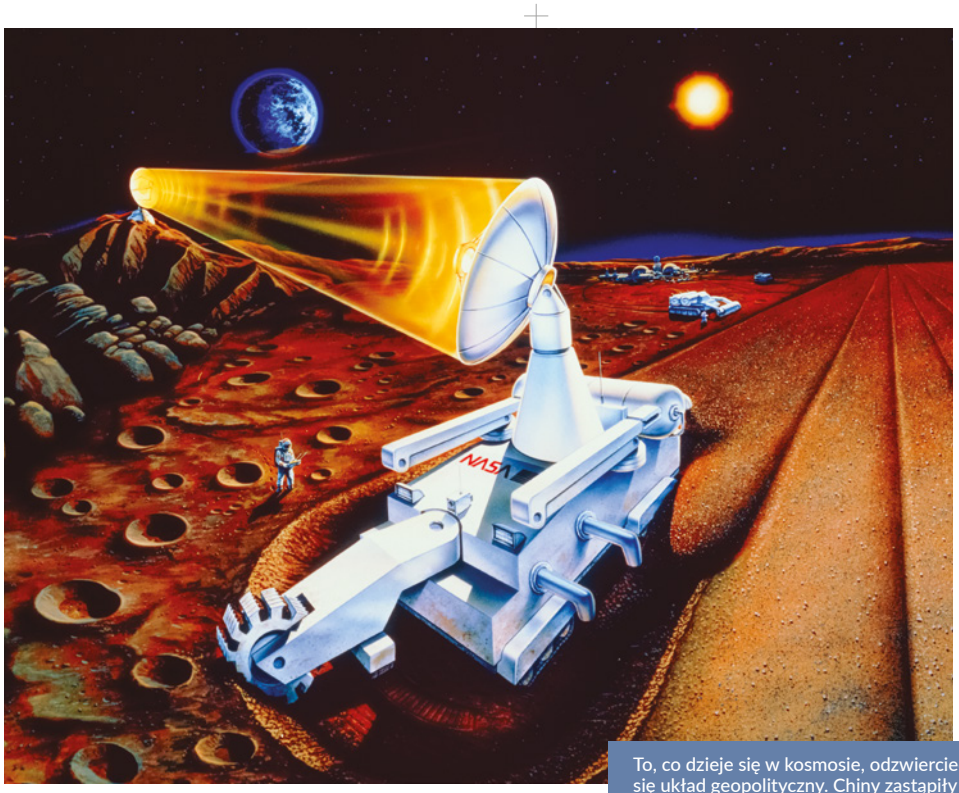

University of Wisconsin/Science Photo Library

To, co dzieje się w kosmosie, odzwierciedla zmieniający się układ geopolityczny. Chiny zastąpiły ZSRR jako głównego rywala USA

sprowadzaniu na Ziemię próbek z planetoid, co przyniosło wiele cennych danych. Japończycy znaleźli niszę, w której są świetni.

W tę niszę celuje też Europejska Agencja Kosmiczna (ESA), która wysłała na jedną z komet sondę kosmiczną Rosetta. Obecnie ESA planuje z kolei wysłanie w ramach misji Comet Interceptor innowacyjnej sondy do pasa planetoid oddzielającego orbity Marsa i Jowisza. Naukowcy chcą, by stanowił on punkt wypadowy do dalszych podróży. Sonda ma docelowo przechwycić kometę i towarzyszyć jej w dalszej podróży przez Układ Słoneczny. Jeszcze nie ustalono, która to będzie kometa, dlatego sonda będzie czekała w rejonie pasa na obiekt, który okaże się wystarczająco ciekawy dla badaczy.

Wyścig kosmiczny nieodłącznie kojarzy się z wyścigiem zbrojeń. W ostatnich latach rywalizacji USA z ZSRR mieliśmy program gwiezdnych wojen Ronalda Reagana. Czy wraz z rosnącym znaczeniem kosmosu w rywalizacji mocarstw rozpoczną się kosmiczne bitwy?

W bliższej perspektywie czasowej nie ma szans na „strzelanie do statków kosmicznych". Uniemożliwia to charakter strefy orbitalnej.

Dlaczego?

Wyjaśnię to na przykładzie. Niedawno Indie wykorzystały rakietę balistyczną do zestrzelenia własnego zużytego satelity, co wygenerowało tak wiele odłamków, że stały się one ogromnym zagrożeniem dla innych obiektów orbitalnych. A to tylko jeden satelita. Dlatego kraj, który chciałby naruszyć kosmiczny potencjał rywala, ryzykowałby, że sam oberwie rykoszetem.

Oczywiście zbrojne siły kosmiczne powstają: w USA, w Chinach, nawet we Francji. Są jednak tworzone nie tylko do przeprowadzania niszczycielskich ataków rakietowych, lecz także do planowania działań dywersyjnych takich jak dyskretna zmiana orbity jakiegoś satelity czy wyłączenie go. Zbyt mocno polegamy dziś na technologii satelitarnej, aby ryzykować jej zniszczenie w rezultacie takiego konfliktu. Generalnie idzie bardziej o odstraszanie, podobnie jak z bronią atomową – mamy ją, ale pewnie nigdy z niej nie skorzystamy.

Czyli nie będzie wojen o kosmiczne zasoby?

Takie wojny można toczyć na Ziemi, tak jak kiedyś walki o kontrolę nad koloniami toczyły się w Europie. Tylko po co? Pewną analogię stanowią zasoby arktyczne czy te znajdujące się na dnach mórz i oceanów poza wodami terytorialnymi. Spory w ich sprawie rozstrzyga się na drodze pokojowej. Poza tym trudno mi sobie wyobrazić konflikt o jedną asteroidę, skoro obok jest milion innych. Dlatego myślę, że ostatecznie zawsze się jakoś dogadamy.

Gordon Wasilewski
jest doktorantem w Centrum Badań Kosmicznych PAN i uczestnikiem jedynych na świecie akredytowanych studiów z zakresu górnictwa kosmicznego w Colorado School of Mines. Współtwórca patentu na pozyskiwanie wody z marsjańskiego regolitu

Algebra na balkonie

Mój nastoletni syn Hubert nie chodzi już do szkoły. Uczy się w domu, a decyzja o zmianie była strzałem w dziesiątkę. To, co spotkało go w szkole, można porównać tylko do mobbingu w pracy

Jarosław Kociszewski

ilustracje Agnieszka Skłodowska

Patrzę na chaos w polskim szkolnictwie, ale szybko się uspokajam – już mnie to nie dotyczy. Rok temu podjęliśmy decyzję, że nasz piętnastoletni syn po zakończeniu drugiej klasy gimnazjum rozpocznie edukację domową i zapewne zostanie tak już do matury. Była to decyzja nie tylko moja i żony, ale też Huberta.

Najtrudniejszy był pierwszy krok, później było już tylko łatwiej.

URATOWAĆ CZŁOWIEKA W CZŁOWIEKU

Pierwszym i zasadniczym argumentem „za" była konieczność ucieczki przed toksyczną szkołą zabijającą u dziecka zdolności i naturalną ciekawość świata. Hubert jest młodym, zdolnym skrzypkiem o dużym poczuciu własnej wartości. Regularnie prowadziło to do konfliktów z nauczycielami, którzy swoją pozycję budują nie na autorytecie, ale na władzy wynikającej z pełnionej przez nich funkcji. Niekiedy także z władzy nad uczniami.

Na etapie nauczania początkowego wszystko szło dobrze. Co prawda Hubert zaczynał nucić, gdy tylko się skupił, ale nauczycielki uznały, że nie ma potrzeby z tym walczyć. Muzyka w sposób zupełnie naturalny wychodziła przez pory jego skóry. Prowadzące były w stanie przeżyć też to, że gdy syn kończył robić swoje, zaczynał szwendać się po klasie.

W późniejszych klasach podstawówki było już gorzej – szczególnie w obliczu swego rodzaju sojuszu prześladujących go rówieśników i nauczycieli, którym zależało na świętym spokoju. Dopiero zmiana szkoły na taką, w której dzieci muzyczne są cenione, załatwiła sprawę. Na chwilę.

ZAKUĆ, ZDAĆ, ZAPOMNIEĆ

Później było gimnazjum. Rankingowa, a więc wysoko notowana szkoła, która obiecywała „rozwój zdolności i zwracanie uwagi na młodzież uzdolnioną". Szybko okazało się, że to klasyczna rylnia, czyli miejsce, w którym uczniowie mają kuć, żeby zajmować wysokie miejsca w prestiżowych konkursach, a później dostawać się do najbardziej renomowanych liceów. Młodzi matematycy czy chemicy, jeżeli tylko chcieli spędzać życie wyłącznie na nauce, mogli czuć się jak w raju.

Ale co z młodym człowiekiem, który regularnie odnosił sukcesy na krajowych czy międzynarodowych konkursach, tyle że w dziedzinie niepunktowanej przez Ministerstwo Edukacji?

„Jesteś za głupi, żeby być w tej szkole" – usłyszał kiedyś od nauczycielki.

Inna stwierdziła, że będzie go na każdej lekcji przepytywała, aż znajdzie się dzień, gdy udowodni mu, że nic nie umie – wówczas będzie mogła postawić mu dwóję na koniec roku. I o ile stopnie nigdy nie robiły na synu wrażenia, to jednak ocenę dopuszczającą na świadectwie uznał za upokorzenie.

„Ale przecież nauczyciel musi mieć sposób na zdyscyplinowanie ucznia, a odpytywanie jest taką właśnie metodą" – tłumaczyła wychowawczyni.

UCZEŃ USTANDARYZOWANY

Były też uwagi. Za osiem w ciągu semestru obniżano ocenę z zachowania, więc Hubert znowu był jedynym uczniem w klasie z dopuszczającym na świadectwie. Powtórzyła się w ten sposób historia z problematycznych lat w podstawówce, gdy pytanie w domu brzmiało nie „czy?", ale „ile?" uwag dzisiaj jest w dzienniczku.

Kiedy kończył nauczanie początkowe, a więc trzecią klasę podstawówki, nikomu w szkole nie przyszło do głowy zastanowić się nad przyczyną problemu. Zadowalano się stwierdzeniem, że uczeń jest krnąbrny, niezdyscyplinowany i generalnie „nie mieści się w ramach".

Do tego dochodził codzienny kierat klasówek i kartkówek. Nieważne, że regulamin szkoły ograniczał liczbę klasówek do trzech tygodniowo. Cztery były normą, tyle że w dzienniku elektronicznym tę informację zatajano.

Nikogo nie interesowało, że Hubert codziennie spędzał godziny na ćwiczeniach na instrumencie oraz chodził do drugiej, ważniejszej szkoły – muzycznej. Nie było mowy o wyrozumiałości w przypadku nieobecności z powodu przygotowań do konkursu lub kursu u znanego profesora. Szkoła przypominała sobie o muzyce tylko przy okazji świąt i uroczystości, gdy potrzebny był ktoś do zagrania kolęd lub czegokolwiek innego. Raz uwagę na zdolnego ucznia zwróciła nawet dyrektorka szkoły. Choć później z rozbrajającą szczerością przyznała, że myślała, iż „gra na czymś większym", a nie tylko na skrzypcach.

LECZNICZA CHOROBA

Systemowi niemal udało się złamać młodego, twórczego człowieka. Ktoś, kto ma na tyle silny charakter, by występować przed publicznością zawsze lepiej niż na próbie, zaczął mieć poważne problemy ze stresem. Do tego doszło ogromne przemęczenie, bo ile można dzień po dniu wychodzić o 7 rano do jednej szkoły, a wracać z drugiej o 21? A do tego znajdować czas na ćwiczenia i wiecznie zapowiadane czy wymagające poprawy klasówki.

Nawet dorosły przy pełnym wsparciu otoczenia miałby na dłuższą metę problem, a co dopiero w sytuacji Huberta, którą porównać można jedynie do mobbingu w miejscu pracy. Choć przepraszam: pracownik ma za sobą przynajmniej przepisy prawa pracy, a uczeń jest bezbronny, do tego tkwi w kulturze, która zakłada, że nauczyciel ma zawsze rację.

Stres w szkole przekładał się na stres w domu. Lawinę nieszczęść, która zapewne skończyłaby się porzuceniem instrumentu, przerwała poważna i paradoksalnie zbawienna seria chorób. Okazało się, że Hubert po długiej nieobecności, podczas której uczył się sam, zaczął otrzymywać lepsze stopnie. Ożyły też jego skrzypce. To wtedy z żoną ostatecznie uświadomiliśmy sobie, że ze szkołą jest coś nie tak.

SZKOŁA BEZ SZKOŁY

Sama procedura zabierania dziecka ze szkoły nie jest skomplikowana. Trudniej poradzić sobie z samym sobą: uwolnić się od głęboko wrośniętej w głowy instytucji i wyjść ze strefy komfortu stwarzanej przez wadliwy, ale ustabilizowany system (choć akurat ten ostatni aspekt w ciągu ostatniego roku odpadł).

Ale argumenty „za" przeważyły.

Jeżeli zsumujemy godziny marnowane na sprawdzanie list obecności, prace domowe czy dojazdy do szkoły, okazuje się, że rezygnując ze szkoły, zyskujemy czas na sen, odpoczynek lub doskonalenie gry na instrumencie. Wielki plus.

Organizacja pracy w domu także nie była szczególnie dużym wyzwaniem. Niemal całe życie zawodowe pracuję w domu i wiem, że to nie problem.

Do tego dochodzi solidna, choć zbytnio się nienarzucająca, pomoc instytucjonalna. Warunkiem zaliczenia roku i kontynuowania edukacji w domu jest zdanie rocznych egzaminów klasyfikacyjnych ze wszystkich przedmiotów. Szkoła, do której formalnie zapisany jest uczeń, zapewnia podręczniki, które wcale nie są złe. W porównaniu z tymi, z których ja uczyłem się przed laty, są wręcz rewelacyjne – zwłaszcza że programy tak bardzo nie uległy zmianie.

NA WŁASNYCH WARUNKACH

Szybko zadaliśmy sobie pytanie: czemu to wszystko ma służyć? Jasne, że najmniejszego znaczenia nie mają stopnie, „cyferki" – jak je określamy. To zdanie powtarza wielu rodziców, ale zaskakująco niewielu bierze sobie je do serca. Wszak świetnymi wynikami można pochwalić się w rodzinie czy w mediach społecznościowych.

Tymczasem świadomość, że stopnie i świadectwa nie mają najmniejszego znaczenia dla rozwoju młodego człowieka, jest oczyszczająca. Pozwala zastanowić się nad jego priorytetami i zainteresowaniami. Sprawy dla Huberta podstawowe – muzyka i języki – wymagają wsparcia z zewnątrz, ale w przypadku pozostałych przedmiotów to zwykła kontynuacja. Nic nowego. Są też przedmioty, które po określeniu własnych priorytetów trzeba po prostu zaliczyć, czyli zapoznać się z podstawą programową i przygotować do egzaminu.

Po przejrzeniu podręczników okazuje się, że przedmioty się nie tylko zazębiają, ale wręcz zawierają dokładnie te same treści. Skoro więc nie goni kalendarz, bo nie trzeba wszystkich przedmiotów uczyć się równocześnie (to kolejny element zerwania z systemem), naturalnym następstwem staje się np. kombinacja geograficzno-biologiczna. Logiczne byłoby też powiązanie języka polskiego i historii, ale tutaj okresy w danym roku szkolnym nadmiernie się rozbiegają, a łamać można kalendarz w ramach jednego roku, a nie całego etapu edukacji.

Życie w świecie, w którym stopnie i świadectwa nie mają najmniejszego znaczenia dla rozwoju młodego człowieka, jest oczyszczające

NAUCZYCIEL ZDETRONIZOWANY

Jedną z obaw przed zerwaniem z nauczaniem zinstytucjonalizowanym jest zakorzenione przeświadczenie o niezbędności nauczyciela. W przypadku Huberta system edukacji sam rozwiązał tę kwestię, pokazując, jak niszczący potrafi być belfer.

Po przejrzeniu podręczników i serii rozmów kuchennych szybko okazało się, które przedmioty w ramach pomocy Hubertowi przypadają mi, a które żonie: komuś jest bliższa ekologia, ktoś ma traumę chemiczną i nie chce nawet zaglądać do podręcznika itd.

Nagle nauka zaczęła być ciekawa i ekscytująca. Co więcej, założenie, że równocześnie uczymy się dwóch, trzech przedmiotów, spowodowało, że odstępy między lekcjami są na tyle niewielkie, iż pozwalają przemyśleć temat, nie zapominając go. Mnie przypadła w udziale historia, którą uwielbiam. W przeciwieństwie do syna.

Szybko jednak okazało się, że metoda opowiadania bajek, czyli snucia opowieści i rozmowy o przeszłości z odniesieniami do współczesnych skojarzeń, zaciekawiła go. Nie wisiało nam już nad głowami widmo klasówki, więc śmiało mogliśmy ograniczyć liczbę dat i nazwisk do wykucia na rzecz zrozumienia procesów. Bowiem jak świat światem skutki przetoczenia się obcych wojsk przez jakieś ziemie są podobne – niezależnie od epoki czy miejsca na Ziemi. I tak dalej. W ten sposób przedmiot zabijany nieistotnymi, ale łatwymi do umieszczenia w testach detalami, zaczął wyjaśniać Hubertowi współczesny świat.

Niemniej rewolucyjne okazało się porzucenie zinstytucjonalizowanej matematyki. Jak mogą zadziałać na wyobraźnię przykłady obliczeń z gruszkami? Ale już karty graficzne komputerów i ich parametry dla współczesnego nastolatka to co innego.

Praca w cztery oczy szybko rozwiązała też problem, z którym nie tylko szkoła, ale i korepetytorzy nie mogli się uporać. Gdy poświęcali czas na zaległości, program gnał do przodu, tworząc nowe luki. W edukacji domowej wystarczy zaś na kilka dni odłożyć sprawy bieżące i sięgnąć do podręcznika z poprzedniego roku. Reszta klasy nie będzie musiała czekać, nauczyciel nie będzie się niecierpliwił.

Problem zniknął, a nielubiany przedmiot może nie stał się faworytem, ale nie jest już problemem. Lekcje zaczęły trwać dosłownie kilka, czasem kilkanaście minut. Tyle wystarczało, żeby wytłumaczyć nową partię materiału. Umawialiśmy się tylko, że Hubert zrobi solidną porcję zadań i powie, jeśli będzie miał z czymś trudności.

ODSZKOLNIENIE

Obawy, że uczenie młodego człowieka w domu będzie dla mnie i żony strasznym obciążeniem, szybko się rozwiały. Materiał każdej lekcji można poznać w ciągu kwadransa, najwyżej pół godziny. Później w razie potrzeby uczeń coś doczyta, zrobi zadania. Zada pytanie. Taka lekcja wcale nie musi odbywać się przy biurku. O roślinności afrykańskiej równie dobrze można przecież rozmawiać, siedząc na blacie w kuchni, a różnice między lewicowym i prawicowym podejściem do kapitału omawiać

w kolejce do kasy. Każdy uczeń i rodzic przechodzi takie odszkolnienie.

Jedną z najczęściej poruszanych wątpliwości odnośnie do edukacji domowej jest pozbawienie młodego człowieka otoczenia rówieśników. To bardzo indywidualna sprawa. Doskonale rozumiem, że ktoś po prostu nie potrafi funkcjonować bez codziennego kontaktu z kolegami, a otoczenie dużej liczby rówieśników jest mu potrzebne. Jednak szkoła umieszcza człowieka w otoczeniu ludzi, których sam nie dobiera, a to nie gwarantuje zdrowej socjalizacji.

Młodzież muzyczna najlepiej czuje się w swoim towarzystwie, a edukacja domowa stwarza Hubertowi większe możliwości jeżdżenia na kursy, występy czy konkursy i spotykania tam swoich rówieśników po fachu. Zresztą kontakty uczniów tradycyjnych liceów często ograniczają się do aktywności w sieci, bo w szkole trzeba biegać między klasówkami – chyba że nastolatkowie zaczynają walczyć z systemem, narażając się na gromy z każdej strony, co oczywiście też może mieć wartość.

***

Edukacja domowa nie jest panaceum na problemy oświaty. Nie każdy młody człowiek i rodzic się w niej odnajdzie, nawet z pomocą życzliwej placówki, do której uczeń jest zapisany.

„Wiesz, przypominam sobie ciągły stres, w którym żyłem. Nie odpuszczał nawet pomiędzy chwilami grozy, a teraz go nie ma. To jest zupełnie inne życie" – stwierdził Hubert któregoś dnia.

Nic więcej nie potrzeba. Wymagania stawiane przez Ministerstwo Edukacji syn spełnia bardzo dobrze, więc także z formalnego punktu widzenia decyzja o „zabraniu go ze szkoły" okazała się strzałem w dziesiątkę. A czas nie tyle poświęcony, co spędzony w towarzystwie własnego syna i przywilej uczestnictwa w jego rozwoju jest wartością nieocenioną. Klasyczna szkoła tego nie daje.

Jarosław Kociszewski
jest reporterem i komentatorem zajmującym się sprawami międzynarodowymi. Przez wiele lat był korespondentem na Bliskim Wschodzie, zajmuje się też Afryką Wschodnią. Z wykształcenia politolog, absolwent uniwersytetów w Tel Awiwie i Jerozolimie, a obecnie doktorant na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu

Jak uczyć historii?

Gdy Polak skończy szkołę, może co najwyżej wypowiedzieć kilkadziesiąt zdań na temat historii Polski, w której prawdziwe są chyba tylko daty. Reszta to mity i przekłamania

Jan Hartman

Na historię można patrzeć z różnych punktów widzenia. Kiedyś dominowały sprawy dynastii, wojen, traktatów i granic, bo takimi rzeczami interesowali się książęta i opłacani przez nich kronikarze. Do dziś w szkołach uczą głównie o tym. Próżność dawnych książąt oraz propaganda nowoczesnych państw narodowych sprawiły, że popularna nauka historii skupia się na wojnie i martyrologii, chwale narodu i jego wielkich, prawie zawsze niezasłużonych, cierpieniach.

Na szczęście od XV w. zaczęto uprawiać również historyczne nauki filologiczne oraz historię sztuki, później też historię kultury w ogóle. Począwszy od XIX w. równolegle badano różne ludy „egzotyczne" bądź „pierwotne", z czasem – pomimo kolonialnych lub religijnych uprzedzeń – wciągano je do „naszej" historii, przyznając im prawo do posiadania własnych dziejów.

I w taki oto sposób gdzieś pod koniec XIX w. powstała historia powszechna. Niestety, była ona dość „krótka", bo ówcześni historycy uważali dzieje ludów nieposługujących się pismem za „ahistoryczne", a poza tym niedostępne poznawczo. Twierdzili, że źródła pisane mają tak fundamentalne znaczenie, iż żadne inne nie mogą się z nimi równać. Na szczęście to się już zmieniło, wobec czego współcześni historycy, archeologowie i etnografowie zgodnie dziś współpracują nad odczytywaniem najstarszych nawet kart dziejów, nie lekceważąc żadnej epoki ani ludu z powodu jego dawności i „dzikości".

CORAZ MNIEJSZA HISTORIA

Na to wszystko nałożył się jeszcze jeden proces: przejście od zainteresowania wielkimi procesami do mikrohistorii. Oznaczał ewolucję od historycznego monumentalizmu, będącego odpowiednikiem politycznego imperializmu, w stronę humanizmu. Ten demokratyzujący i przybliżający historię życiu proces zawdzięczamy przede wszystkim francuskiej szkole Annales.

Pod wpływem Francuzów mniej więcej od połowy XX w. nauki historyczne w coraz większym stopniu interesowały się dziejami kultury, obyczajów, mentalności, światopoglądów, praktyk społecznych. Zajmowały się także sprawami zdawałoby się marginalnymi, jak dzieje różnego rodzaju „wyrzutków społecznych" (trędowaci, heretycy), ekscentrycznych zjawisk (jak mania taneczna dotykająca wczesnonowożytną Europę) i lokalnych wspólnot. Idąc pod prąd monumentalizmu, historia sprzęgła swe siły z socjologią i naukami ekonomicznymi, tworząc zupełnie nowe ujęcia przeszłości, skupiając się na warunkach życia i kulturze całych społeczeństw, a nie tylko ich elit i instytucji. Jednocześnie zaczęto z powodzeniem stosować metody ilościowe, nadające nauce historii bardziej pozytywistyczny charakter.

POTRZEBA EMPATII

Współcześnie nie ma już nieważnych tematów. Historia biustonosza powie nam wiele o doświadczeniu kobiecości, a dzieje Wisły pokażą losy przywiślańskich ludów w pewnym oddaleniu od krakowsko-warszawskich spraw dworskich.

Dla zrozumienia przeszłości znaczenie ma każdy szczegół – nawet biografia i doświadczenia jednej osoby, niekoniecznie wybitnej. Nabrało to wagi, bo jeśli chcemy zrozumieć jakąś epokę, to czyż nie po to, by przybliżyć się do zrozumienia, jak w owej epoce ludzie żyli, co myśleli i czuli, czym na co dzień się zajmowali, co ich gnębiło, a co uszczęśliwiało?

Ta humanistyczna empatia, jaką wykazuje się współczesna nauka historii, sprawiła, że znów – tak jak to jeszcze było w wieku XIX – historia przestała hołdować ideałowi chłodnej bezstronności i opisowości, stając się nauką zaangażowaną. Zaangażowaną nie w znaczeniu państwowego patriotyzmu, lecz w znaczeniu solidarności z pokrzywdzonymi i wykluczonymi. Stała się też wartościująca, czyli afirmatywna w stosunku do zjawisk nazywanych postępem lub rozwojem, rozumianym jako poprawa losu i sytuacji społecznej oraz prawnej grup w szczególny sposób upośledzonych. Dla takiej zaangażowanej etycznie nauki ważniejsze od powstań narodowych jest uwolnienie chłopów pańszczyźnianych przez zaborców czy też wprowadzenie maszyn parowych.

ZAWSZE ZAKŁAMANA

W ten sposób narodził się konflikt pomiędzy historią patriotyczną a historią empatyczną. Jego areną jest szkolny program nauczania historii, który w wielu krajach wciąż podporządkowany jest czemuś, co nieco bezwstydnie nazywa się polityką historyczną. Bezwstydnie, bo przecież „polityka" oznacza w tym kontekście, ni mniej, ni więcej, a manipulację, polegającą na przeinaczeniach, uproszczeniach, idealizacjach, przemilczeniach i wybielaniu bądź relatywizowaniu win narodowych.

Szkolna nauka historii w każdym kraju jest w jakimś stopniu stronnicza i selektywna. W centrum uwagi jest właśnie ten kraj, doświadczenie jego mieszkańców stanowi oś dyskursu, a konflikty z innymi krajami opisywane są w sposób kładący akcent na swoich racjach. Winy narodowe są łagodzone i w jakiś sposób relatywizowane lub nawet usprawiedliwianie, jeśli nie przemilczane. Nauka służy przecież krzewieniu patriotyzmu

i kształtowaniu więzi młodzieży z państwem. Młody człowiek ma być dumny ze swej ojczyzny.

Zakłamywanie przeszłości jest zjawiskiem uniwersalnym, niemniej społeczeństwa i państwa etycznie dojrzałe dążą do tego, aby w szkolnej nauce historii było jak najwięcej prawdy i empatii. Niemieckie dzieci uczą się o tym, co robili hitlerowcy niemal tak samo, jak dzieci francuskie. W Belgii mówi się młodzieży o zbrodniczej polityce kolonialnej ich kraju. W Austrii – o powszechnej miłości do Hitlera, jaką zapałali Austriacy pod koniec lat 30. I tak dalej.

PROPAGANDA W ŁAWCE

W Polsce ten proces nawet się nie zaczął. Lekcje historii mają charakter propagandowy, a od czasów PRL zmienił się tylko sposób przedstawiania Rosji i Kościoła katolickiego, o których kłamie się dziś inaczej; w innych tematach zmiany są nieznaczne.

Po ukończeniu szkoły Polak może wypowiedzieć kilkadziesiąt zdań na temat historii (głównie narodowej), w której prawdziwe są chyba tylko (nieliczne) daty. Reszta to mity i przekłamania, a w najlepszym razie daleko idące uproszczenia. Przede wszystkim jednak zdania te są miałkie, naiwne i dramatycznie niekompletne.

Wynika z nich, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w roku 966 powstał jedyny w swoim rodzaju i wyjątkowy „katolicki naród Polski", który następnie bardzo dzielnie, z pomocą Kościoła jako swego największego obrońcy, stawiał czoła przeciwnościom, czyli rozmaitym najeźdźcom i zdrajcom. Wielcy królowie prowadzili nas do boju, szlachta wespół z chłopami broniła niepodległości jak niepodległości, zaś na końcu było powstanie warszawskie, żołnierze wyklęci i Jan Paweł II. Pamiętane daty to 1410 oraz 1791, niemniej prawie nikt nie wie, o co chodziło w konflikcie z krzyżakami ani też jaki ustrój proklamowała Konstytucja 3 maja.

ZŁY KRÓL, PODŁY PAPIEŻ

Kiedyś i nasz kraj czeka demokratyczna rewolucja w edukacji, której częścią stanie się zmiana nauczania historii. Bardzo długa to będzie droga. Trzeba będzie opowiedzieć o wielu sprawach, o których się w szkole dotąd nie mówiło: o złych królach mordercach, o zdradzieckich biskupach i wrogich papieżach, o Polsce jako państwie agresywnym i wszczynającym wojny, o pogromach, o rasizmie i niewolnictwie, o pleniącym się w II RP faszyzmie. A także o tym, jak tworzył się naród polski w wiekach XIX oraz XX i jak różnorodne są jego etnicznie, religijne i kulturowe źródła.

Imagno/Austrian Archives/Getty Images

Polska – drzeworyt z 1493 r.

Co może robić dziś nauczyciel historii, zmuszony do kłamstw, zatajeń i przeinaczeń – np. w temacie współpracy Polski z nazistowskimi Niemcami przed 1939 r.?

Najlepszym, w miarę bezpiecznym i niekonfrontacyjnym sposobem postępowania pedagoga mogłoby być właśnie przeniesienie akcentów z historii polityczno-wojskowej na dzieje życia codziennego, kultury i cywilizacji. Skoro współczesne nauki historyczne tak niebywale rozszerzyły pole swoich zainteresowań, również nauczyciele szkolni mają prawo zwracać się ku sprawom kulturowym i obyczajowym. Owszem, one również są uwikłane politycznie, lecz nie bezpośrednio.

Można opowiedzieć o wielokulturowej Polsce, nie wchodząc od razu w konflikt z propagandą. Można mówić o religii, o sztuce, o gospodarce i życiu codziennym, nie następując od razu na odcisk czujnej dyrekcji i nie mniej czujnej kurii.

Owszem, nie ma na to zbyt wiele czasu, bo wymagania „minimum programowego" i egzaminów są zupełnie odmienne. Przeniesienie akcentu w nauczycielskiej opowieści na realia społeczne i kulturowe wcale jednak nie wyklucza wykładania historii politycznej. A może właśnie opowieść o wojnie z punktu widzenia żołnierzy i mieszkańców terenów, na których się ona odbywała, będzie bardziej interesująca i dla uczniów znacząca, dzięki czemu chętniej zapamiętają również daty?

Innym wyzwaniem jest konieczność odejścia od partykularyzmu w nauczaniu historii. Pełna bezstronność i „panoramiczność" jest nieosiągalna i chyba nawet niewskazana.

Młodzież nie powinna opuszczać szkoły z poczuciem, że naród polski i jego historia są wyjątkowe i szczególnie chwalebne na tle sąsiadów, a cała historia Europy kręciła się wokół Polski. Trzeba znaleźć złoty środek pomiędzy nauczaniem historii rodzimej, historii kontynentu i historii świata. A zwłaszcza trzeba opowiedzieć młodzieży o dziejach narodów, z którymi Polacy i ich przodkowie dzielili los. Kto nie wie, kim byli i są Czesi, Rusini, Litwini czy Żydzi, ten nie może pretendować do rozumienia dziejów Polski. Kto nie wie nic o historii Niemiec i Rosji, ten nie może znać historii Rzeczypospolitej.

Być może te uwagi są banalne i w swej banalności naiwne. A jednak wskazania najprostsze z jakiegoś powodu szczególnie trudno mam wcielać w życie. I dotyczy to bynajmniej nie tylko nauki historii. Trzeba mieć odwagę, żeby przyjąć do wiadomości, że jest źle, i jeszcze więcej odwagi, aby zacząć coś z tym robić.

Jan Hartman
jest filozofem i bioetykiem

KONKURS SZKOŁA OD NOWA ROZSTRZYGNIĘTY!

Oto Wasze najlepsze pomysły na nową szkołę. W imieniu Znakomitego Jury* werdykt przedstawia jego członek Przemek Staroń, który w swoim życiu otrzymał tyle tytułów i wyróżnień, że ogłaszanie wyników konkursów ma przećwiczone do perfekcji

Przemysław Staroń

ilustracja Paweł Kuczyński

Po przeczytaniu prawie 200 prac, które zgłoszono w konkursie „Holistic News", jedno możemy powiedzieć na pewno: szkoła oblała egzamin. A dokładniej: wszystkie egzaminy. W tym najważniejszy egzamin – z życia.

Uczestnicy wołają niemal jednogłośnie: to, co jest, jest dramatycznie nieprzystosowane do życia człowieka, który lada moment wejdzie w dorosłość. Trzeba powtórzyć za Markiem Prenskym: współcześni uczniowie już dawno nie są tymi ludźmi, dla których system ten został zaprojektowany.

Laureaci? Fantastyczni! Autorzy prac, podobnie jak my, członkowie komisji konkursowej, zgadzamy się całkowicie. Zmiana jest niezwykle potrzebna. I to dużo lepsza niż dobra. Osiem najlepszych pomysłów na najlepszą zmianę wyróżniliśmy.

Wiedza o życiu Macieja Chojnackiego jest projektem nowego przedmiotu, który ma przygotowywać uczniów do dorosłego życia. Obejmuje 91 zróżnicowanych tematów zajęć uwzględniających realne problemy człowieka, które w niewielkim stopniu są obecne w aktualnej podstawie programowej.

Są to m.in.: wpływ obywateli na wydatki publiczne, energia odnawialna, seksualność, zarządzanie budżetem domowym, gry planszowe i komputerowe, kryptowaluta, podłoże dyskryminacji – m.in. homofobii i transfobii, studia i mieszkanie za granicą, walka ze strachem przed lekarzem i badaniami, sprawy urzędowe, społeczna odpowiedzialność biznesu.

Życiowo, prawda? Nie powinno to dziwić, skoro listę celów kształcenia otwiera: „Uczeń rozumie podstawy istnienia ludzkiego i współpracy między-

ludzkiej". Czy nie o to fundamentalnie chodzi w szkole? Nie mam nic przeciwko twierdzeniu cosinusów cz budowie płazińców, ale chyba byłoby sympatycznie, gdyby w pierwszej kolejności młody człowiek „umiał żyć".

Wymarzony model edukacji dla moich dzieci Małgorzaty Kwapień to nowatorska propozycja zmiany systemu stworzona z perspektywy matki, która rozumie, jak ważna dla dziecka jest ekspresja siebie i uczenie się przez doświadczenie – m.in. w oparciu o biologię, czyli zdrowe odżywianie i kontakt z naturą. W tej pracy padają jedne z najważniejszych słów, jakie odnaleźliśmy we wszystkich pracach: „Moim zdaniem podstawowa zmiana w systemie edukacji powinna być taka, żeby promować i przekazywać wartości oparte na współpracy, a nie rywalizacji (...). Zawsze ktoś w czymś będzie lepszy, ale nie o to chodzi. Chodzi jedynie o to, by być coraz lepszą wersją samego siebie".

Inspirator Krzysztofa Usakiewicza to innowacyjna i atrakcyjna propozycja zajęć wraz z konkretnymi, sprawdzonymi w działaniu metodami. Praca dotyczy mitologii; w podtytule czytamy, że jest to „poradnik na pierwszą połowę XXI w. dla nauczycieli języka polskiego w szkołach ponadpodstawowych", przy czym w tym długim sformułowaniu najważniejsze są słowa „na pierwszą połowę XXI w.". Jest on bowiem doskonałą prezentacją wielu zróżnicowanych i spójnych ze sobą współczesnych form, których używanie aż prosi się o bycie standardem, takich jak m.in. gry Dixit, Kahoot! czy opowiadania paragrafowe. Co ciekawe, wszystkie te metody są powiązane ze starymi, sprawdzonymi

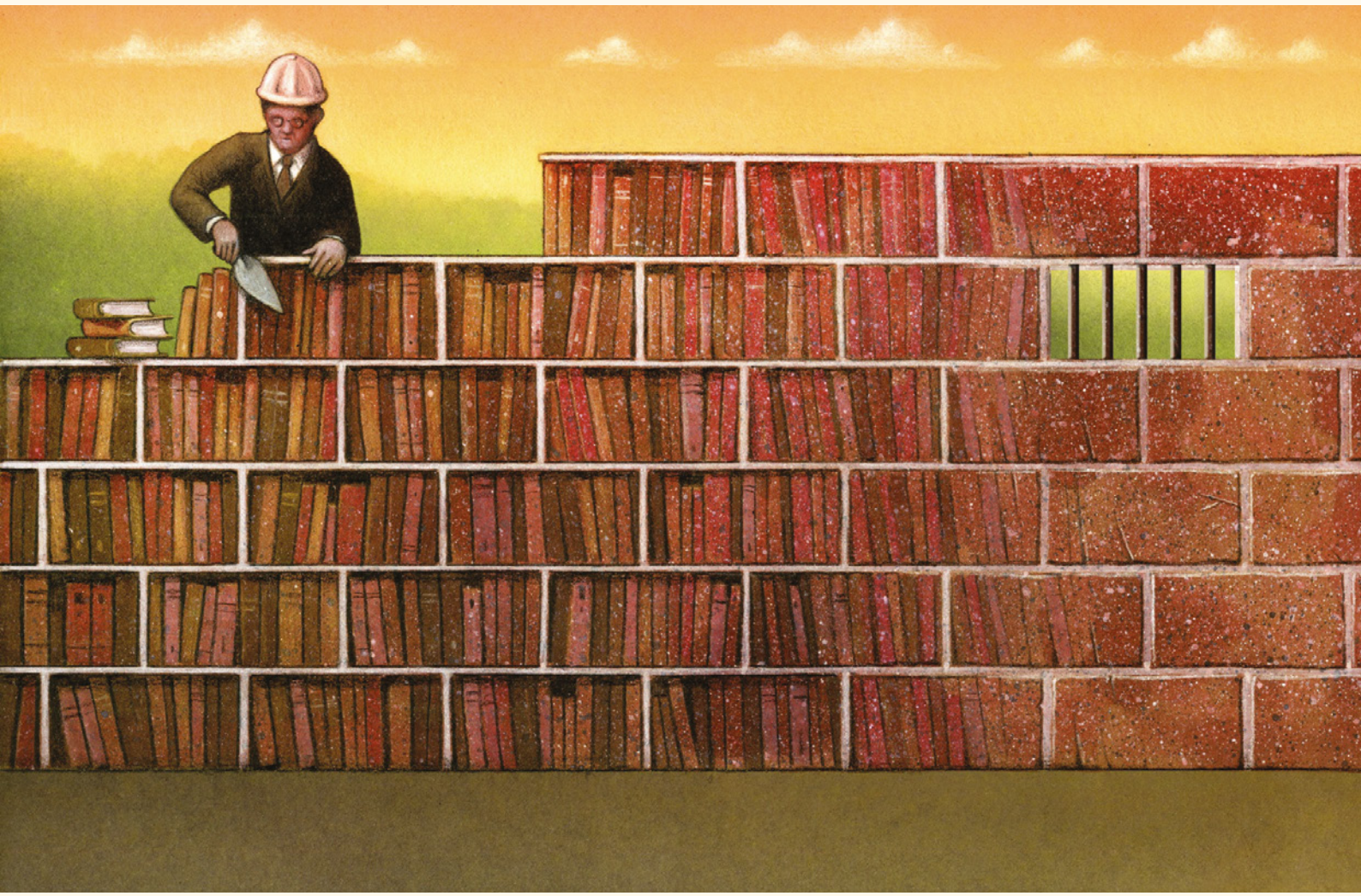

sposobami, takimi jak gra bingo czy sąd nad bohaterem. Autor dodaje przydatne linki, dzieli się swoimi materiałami, uzupełnia wszystko o porady praktyczne – jednym słowem, jest to cenne nie tylko dla nauczycieli języka polskiego, ale także innych przedmiotów humanistycznych, ba, nauczycieli w ogóle.

D.U.P.A. Anny Stasiuk stanowi niezwykle adekwatną diagnozę problemów edukacji i autorską propozycję ich rozwiązania wraz z oryginalną koncepcją podręcznika integrującego różne dziedziny edukacji. Autorka opiera swoją pracę o cztery filary: Dofinansowanie. Uspokojenie. Praktyka i pragmatyzm. Atrakcyjność. Każdy z nich szczegółowo rozpisuje i wskazuje, dlaczego właśnie w stronę tych działań i wartości powinno pójść tworzenie szkoły od nowa. Co ważne, propozycje Autorki dotyczą przede wszystkim formy: „[...] mam wrażenie, że problem polskiej szkoły nie tkwi do końca w samym programie i materiale, który omawiają dzieci i młodzież. Polską szkołę toczy rak nudy i sztywnych ram; testów i nauki pod klucz; rak nijakości, niedopasowania, braku współpracy i totalnego oderwania od rzeczywistości". Autorka wyciąga kluczowy wniosek: „Obiema rękami i nogami podpiszę się również pod słowami Angeliki Talagi, która twierdzi, że »dzieci uczą się i rozwijają, gdy coś je zainteresuje i wzbudzi emocje«". My także się pod tym podpisujemy rękami i nogami, a to musi coś znaczyć, wszak łącznie w komisji mieliśmy ich 20.

Krytyczne myślenie Leny Bogdańskiej to bardzo dobrze uzasadniona propozycja wprowadzenia nowego przedmiotu, rozwijającego kluczową, a zaniedbywaną w procesie edukacji kompetencję: krytycznego myślenia. Autorka niezwykle rzetelnie pokazuje, czym ono jest. Dlaczego jest potrzebne. Dlaczego jest potrzebne szczególnie dziś. Jak by miało wyglądać jego nauczanie. I w końcu – konkretne przykłady obszarów tematycznych. Co ważne, Autorka nie ogranicza się do umiejętności weryfikowania informacji. Jej projekt dotyka całego bogactwa wiedzy, bez której trudno kształcić kompetencję myślenia krytycznego: socjologii, religioznawstwa, medioznawstwa i innych. Przedmiot jest o tyle ważny, że nie podsuwa uczniowi ryby. Autorka sama wskazuje: „Krytyczne myślenie to postawa, która powinna towarzyszyć młodym osobom przez całe życie". Wędka. W edukacji chodzi przecież o wędkę.

III miejsce zdobyła praca Anny Policht-Jarugi ***Samodzielnie w dorosłość***. Jej Autorka stworzyła przemyślany, konkretny i szczegółowy projekt nowego przedmiotu szkolnego przygotowującego uczniów do samodzielnego, dorosłego życia, obejmujący najbardziej aktualne problemy dorosłości w uporządkowanej, poprawnej formie. Autorka puentuje to w sposób niewymagający w zasadzie komentarza: „Pomysł na przedmiot zrodził się w wyniku podejmowania przeze mnie obowiązków osoby dorosłej. Mojego mierzenia się z otaczającą rzeczywistością. Po wielu próbach i ogromnej ilości błędów nadal nie zawsze wiem, jak odnaleźć się w wyzwaniach otaczającego mnie świata".

II miejsce zajęła ***Edukacja jak pajęczyna*** autorstwa Elżbiety Manthey. Jest to wizja rewolucji w edukacji, pozostająca w zgodzie ze współczesną wiedzą psychologiczną i stawiająca ucznia w jej centrum, napisana w przejrzysty i klarowny sposób. Metafora jest tak genialna i tak prosta, że jedynym mankamentem było to, że to nie my na nią wpadliśmy. Oddajmy głos samej Autorce: „To, czego powinniśmy uczyć dzieci, nie powinno być podzielone na klasyczne przedmioty, lecz na konteksty, gdzie różne dziedziny wiedzy przeplatają się, wspierają i uzupełniają, służąc coraz lepszemu rozumieniu najpierw siebie, a potem świata. Rozpoczynając od »ja« – czyli centrum pajęczyny, stopniowo przechodzimy do coraz szerszych kręgów".

I miejsce przyznajemy Magdalenie Kościańskiej za ***Pomysł na reorganizację systemu nauczania w klasach 4-8***. Autorka rozbiła bank; jej praca jest modelowa i po prostu trzeba ją przeczytać. Zwłaszcza że to, co najważniejsze, zostało zrealizowane w stopniu idealnym: jest tam precyzyjna, całościowa diagnoza problemów edukacji w klasach 4-8 i konsekwentnie opisane – na każdy z nich! – możliwe rozwiązania. Ramowe, ale kompleksowe. Możemy wręcz rzec, że holistyczne.

Realizacja? Schrödingerowska. Czy recepty, które proponują laureaci, mogą wyleczyć szkołę z choroby? Zależy od tego, jak do kuracji podejdziemy. Jeśli będziemy próbowali istniejącą szkołę reperować i łatać, to prognozy są kiepskie. Ale jeżeli te recepty staną się częścią planu na postawienie szkoły od nowa –wtedy jak najbardziej.

Jak postawić szkołę od nowa? Jedno jest pewne. Ryba psuje się od głowy. Głowa jest już zupełnie zepsuta. Dlatego czas na nową. Warto zatem uświadomić kandydatów startujących w wyborach parlamentarnych i samorządowych, że zepsuta głowa jest powodem i skutkiem złej edukacji. A potem zagłosować na tych, którzy to rozumieją i są gotowi do zmiany. Czy to się uda? Nie uda się na pewno, gdy nie spróbujemy.

Ale jestem przekonany, że równolegle, mimo wszystko i przede wszystkim, powinniśmy działać oddolnie. Kontrkultura w edukacji stała się przecież naszą specjalnością. Być może jest naszym powołaniem. A kto wie, czy nie przeznaczeniem.

* Jury zebrało się na posiedzeniu jawnym 30 lipca br. w Krakowie. Wcześniej członkowie Jury zapoznali się ze 178 zgłoszeniami. Nazwiska uczestników zostały zakodowane.

Przewodniczącym Komisji był **dr hab. Przemysław Bąbel**, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego – psycholog, prezes Polskiego Towarzystwa Psychologii Behawioralnej. Pozostali członkowie to: **dr Izabela Kraśnicka-Wilk** – językoznawczyni, rzeczoznawczyni Ministerstwa Edukacji Narodowej ds. oceny podręczników szkolnych, **dr hab. Radosław Rybkowski**, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego – literaturoznawca oraz specjalista nauk społecznych, Ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego ds. szkolnictwa wyższego, **Sebastian Kuffel** – współautor podręczników dla dzieci i młodzieży oraz **Przemysław Staroń** – nauczyciel etyki i filozofii w II Liceum Ogólnokształcącym w Sopocie, laureat tytułu Nauczyciela Roku 2018.

Chroniczny lęk przed przyszłością

Nie jesteśmy wyjątkowi. Wszystkie kolejne pokolenia od XVIII w. mają poczucie, że zmiany są zbyt szybkie. Ale i tak musimy sobie odpowiedzieć na pytanie: jak się do nich dostosować?

Jarosław Kuisz
Ilustracje Agnieszka Sozańska

Czy przeżywamy obecnie „szok przyszłości"? Ależ książka pod tym właśnie tytułem ukazała się już pół wieku temu! W bestsellerze z 1970 r. Alvin i Hedy Tofflerowie opisywali reakcje ludzi na zmiany – zachodzące zbyt szybko i w zbyt krótkim czasie. Wówczas na pierwszy plan wysuwał się nie tylko postęp technologiczny, ale także – uwaga – nomadyzm czy procesy wykorzeniania.

Dla Tofflerów ważne było zwrócenie uwagi na elementarne, psychofizyczne trudności adaptacyjne przeciętnego człowieka, który melancholijnie spoglądał w przeszłość.

Cóż, nie będzie przesadą powiedzieć, że obecnie co roku można byłoby wydawać książkę pod tym właśnie tytułem – co najwyżej dodając kolejne wątki, choćby spodziewane skutki wdrożenia technologii mobilnej piątej generacji (tzw. 5G). Dopiero co poinformowano nas, iż na odcinku autostrady A4 pomiędzy Krakowem a Tarnowem ruszają pierwsze w Polsce testy samochodu sterowanego przez sztuczną inteligencję.

TECHNOLOGIA I POLITYKA

Jednych zachodzące zmiany przerażają, inni widzą w nich swoją szansę. Kilka lat temu, w momencie gdy na całym świecie dokonywał się radykalny upadek papierowej prasy, miałem okazję gościć na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Indiany w Bloomington w USA. Podczas dyskusji o konsekwencjach tej drastycznej metamorfozy mass mediów w akademickiej sali natychmiast wytworzył się znamienny podział. Z jednej strony wykładowcy, poprawiając okulary i skubiąc siwe brody, piętrzyli wizje rosnących zagrożeń dla liberalnej demokracji. Z drugiej zaś studenci z rozpalonym wzrokiem opowiadali oźwielkich szansach, które dla demokracji niesie upowszechnienie wśród obywateli internetu.

Gdy dziś wspominam tamtą dyskusję, jasne jest tylko, że wszyscy mieli po części rację. Nikt jednak nie zauważył wówczas największego „słonia w pokoju". Obecnie bowiem na pierwszy plan wysuwa się to, jak kluczową politycznie sprawą

staje się zagadnienie adaptacji do radykalnych przemian technologicznych już nie tylko ludzi, ale także instytucji. Ostatecznie nie będzie znów wielką przesadą powiedzieć, że – także dzięki Twitterowi – można było ominąć tradycyjne media i zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Po pierwotnym zachwycie jutrem część opinii publicznej na Zachodzie ostatnio żąda od polityków czasu na ochłonięcie. Retoryka obłaskawiania „szoku przyszłości" zdaje się płynąć na wznoszącej fali. Jak jednak ujarzmić dokonujące się przemiany?

Cóż, na początek próbujemy robić to... słowami. Chętnie wracamy do świata pojęć oraz idei sprzed rewolucji cyfrowej. Ochoczo sięgamy po pewne wyobrażenia na własny temat, które ongiś nadawały sens naszemu życiu tak razem, jak z osobna.

GLOBALIZACJA CZŁOWIEKA

W każdym państwie Zachodu od wielu lat toczą się zażarte wręcz dyskusje na temat „francuskości", „angielskości", „niemieckości". Choćby słynne hasło Donalda Trumpa: „Uczyńmy Amerykę znowu wielką" – jakkolwiek byśmy go oceniali – wymagało zapełnienia minimalną treścią. W Wielkiej Brytanii zwolennicy brexitu snują wyobrażenia na temat wspólnoty do tego stopnia nostalgiczne, że nie oglądają się na jakiekolwiek koszty. Argumentacje, kryjące się pod stwierdzeniami typu: „Brexit się nie opłaca!", „Co świat o nas pomyśli?!" itd., są w tej sytuacji zupełnie chybione.

Pytanie, kim jesteśmy, rozbrzmiewa w świecie tym mocniej, że nowe technologie doprowadziły do ostatniej fazy globalizacji, czyli „globalizacji człowieka". Jak niedawno zauważył amerykański intelektualista, Fareed Zakaria (niewątpliwie w duchu książki Tofflerów), mamy fundamentalny kłopot z adaptacją do procesu, w którym w okamgnieniu całe masy ludzkie mogą zmienić miejsce pobytu w skali globu. W obliczu wyzwań, nad którymi obecnie tak naprawdę nikt nie panuje, coraz więcej osób najchętniej nie tylko powróciłoby na własne, dobrze znane podwórko, ale także ogrodziło je wysokim płotem.

Oczywiście my, Polacy, na „szok przyszłości", globalizację i postęp tech-

Trwający nad Wisłą zwrot ku samym sobie, ku własnemu państwu wpisuje się w globalne procesy. Jest naszym narodowym antidotum na lęk przed przyszłością

niczny spoglądamy przez filtr lokalnych doświadczeń. Przez lata wiele z naszych zmartwień tłumaczono postkomunizmem, tym trwającym blisko pół wieku eksperymentem z zależną od Związku Radzieckiego Polską Ludową. Jakkolwiek z całą pewnością nie można lekceważyć tej specyfiki, to jednak po 30 latach życia we własnym państwie to wyjaśnienie jest daleko niewystarczające.

Po pierwsze, gdy pytamy o adaptację do zmian, to – nawet o tym nie wiedząc – sięgamy po słownik Karola Darwina. Czy jako gatunek potrafimy przystosować się do transformacji warunków, w których żyjemy? Niektórzy z czytelników *O pochodzeniu gatunków*, jak na przykład Walter Lippmann, sądzili, że my, ludzie, od czasów XVIII-wiecznej rewolucji przemysłowej utraciliśmy zdolność łatwego przystosowania się do zmian.

PAŃSTWO LEKIEM NA CAŁE ZŁO?

Co może złagodzić ból szybkich, globalnych transformacji otoczenia? Wśród udzielanych odpowiedzi wskazywano na instytucję państwa. W pierwszej połowie XX w. ono właśnie miało być swoistym środkiem uśmierzającym i pośrednikiem pomiędzy zagubioną jednostką a wielkimi przemianami w skali globu. Na początku XXI w. wielu obywateli teoretycznie żąda tego samego, ale w praktyce to samo hasło polityczne może oznaczać coś zupełnie innego.

Podajmy przykład. Gołym okiem widać, że w XXI w. „państwo" jest dla nas problematyczne w inny sposób niż dla Amerykanów czy Brytyjczyków. Nasze państwo od 1795 r. wielokrotnie upadało, a ich nie. Jak zatem uwierzyć w to, że państwo nas ochroni przed zagrożeniami współczesnego świata?

Wielu rodaków wcale nie wierzy. Z racji doświadczeń historycznych w naszej części Europy liczą oni raczej na siebie. Na co dzień dystansują się wobec sfery publicznej. I jeśli w sprawach polityki w cokolwiek wierzą – poza własną rodziną – to ostatecznie raczej w przetrwanie narodu niż państwa. W polskiej kulturze został zapisany właśnie ten mechanizm adaptacji do zmian.

Potwierdza to przecież doświadczenie rozbiorów, II wojny światowej, wreszcie PRL-u. Po upadku komunizmu i zakończeniu zimnej wojny wielu rodaków ślepo wierzyło w Zachód i jego instytucje (zrodził się nawet swoisty postkomunistyczny mit Zachodu, o którym więcej napisałem w książce *Koniec pokoleń podległości*). Niebywale mobilizowało to Polaków do szybkiej modernizacji i ciężkiej pracy, jednak współcześnie trudno już bezkrytycznie podtrzymywać ten zestaw wyobrażeń. Na przykład Edward Luce w interesującej książce *The Retreat of Western Liberalism* (Odwrót zachodniego liberalizmu) zastanawia się nawet, czy w sytuacji, gdy Zachód przestanie dominować ekonomicznie, jego demokratyczne instytucje zachowają swój globalny *sex appeal*. Autor, jak nietrudno się domyślić, ma poważne wątpliwości.

W tym sensie jednak od kilku lat trwający nad Wisłą zwrot „ku samym sobie", ku własnemu państwu – co może dziwić – wpisywałby się także w globalne procesy.

POKOLENIE NIEPODLEGŁOŚCI

Tak, choć jak już wspomniałem, jednocześnie polska refleksja nad przyszłością ma swój lokalny posmak. Po raz pierwszy od XVIII w. we własnym państwie urodziło się i wychowało całe pokolenie Polaków. Nigdy dość powtarzania, że to wydarzenie o ogromnym znaczeniu. Młodzi Polacy, pokolenie niepodległości, stają wobec wyzwania, czy będą opowiadać o sobie językiem czasów niewoli, czy też wypracują coś nowego – na miarę ich doświadczeń w niepodległym państwie. To ogromnie trudne zadanie. Bo ostatecznie trzeba się zmierzyć z dorobkiem kilku poprzednich pokoleń, dorobkiem, który wtłaczają do głów uczniom w szkołach.

I ten polski dorobek – opowieści o trwaniu polskiego narodu bez państwa (albo z państwem, w które nie wierzymy) – zmusza do pytania o to, jaki mechanizm adaptacji do obecnej fali globalizacji wybierzemy w przyszłości.

Czy młodzi Polacy w odpowiedzi na „szok przyszłości" XXI w. i rewolucję cyfrową większy nacisk położą na oczekiwania kierowane wobec własnego państwa?

Wprawdzie III RP w pojedynkę nie rozwiąże globalnych problemów (choćby migracyjnych czy ekologicznych), ale takie oczekiwanie chyba narasta. Polacy powoli wypracowują nową opowieść: oto własne (a nie obce) państwo ma być do pewnego stopnia środkiem uśmierzającym, pomocą w adaptacji do nowych okoliczności, buforem wobec przyszłości. Z punktu widzenia polskiej historii, rozłamanej datami klęsk państwa (1795 i 1939), takie oczekiwania kierowane pod jego adresem, traktowanie go jako własnej instytucji to ogromna zmiana.

PRZYSTANEK Z CZEKOLADKAMI

Na zakończenie i dla uspokojenia warto przypomnieć, iż „szok przyszłości" to – przynajmniej od XVIII w. – stały element naszej kultury.

Obecnie przypomina o tym świetna wystawa *Reaching Out for the Future. Zukunftsfantasien um 1900* w berlińskim Bröhan-Museum. Dokumentuje ona np. jak w czasach belle époque kultura popularna z humorem oswajała lęki przed szybką zmianą.

Na opakowaniu francuskich czekoladek sprzed 100 lat producent zamieścił wyobrażenie życia w naszych czasach, a dokładniej w 2012 r. Cała rodzina w eleganckich strojach płynie czerwoną łodzią podwodną. „Halo, kapitanie, proszę zatrzymać się na podwodnym przystanku z naszymi czekoladkami" – woła do nas poprzez stulecie ich producent.

Cóż, nie pływamy na co dzień łodziami podwodnymi, ale przed tym lustrem z przeszłości możemy pośmiać się z siebie na przyszłość. Może zbyt często zapominamy, że poczucie humoru to jeden z ważniejszych, często zbawiennych, mechanizmów adaptacyjnych.

Jarosław Kuisz
jest redaktorem naczelnym „Kultury Liberalnej" i starszym wykładowcą na WPiA Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książki *Koniec pokoleń podległości* (2018). Współredaktor tomu *Prawo i literatura. Antologia* (2019). W roku akademickim 2019/2020 *fellow* w Wissenschaftskolleg zu Berlin.

Najludniejsza planeta świata

Wbrew ponurym przepowiedniom liczba ludzi na świecie nie będzie rosła w nieskończoność. Pod koniec XXI w. ustabilizuje się na poziomie ok. 11 mld. Ale to nie rozwiąże problemu przeludnienia

Michał Niepytalski

Frank Bienewald/LightRocket/Getty Images

Kalkuta wraz z aglomeracją (na zdjęciu miejscowy targ na przedmieściach) jest zamieszkała przez kilkanaście milionów ludzi

Co najmniej od końca XVIII w. ludzkość jest straszona przeludnieniem. Niedawny raport ONZ podaje, że liczba ludzi przestanie rosnąć dopiero pod koniec XXI w. Scenariusz umiarkowany przewiduje, że będzie nas wówczas 11 mld.

WIELKOLUDY I LILIPUTY

Najliczniejsza będzie społeczność azjatycka – ok. 4,7 mld. Populacyjny pik zostanie jednak osiągnięty przez największy kontynent świata już w okolicach roku 2055, kiedy będzie musiało się tam pomieścić 5,6 mld ludzi (dziś: 4,4 mld).

W 2100 r. drugie miejsce przypadnie gwałtownie „rosnącej" Afryce, która dopiero wtedy przeżyje demograficzny szczyt z wynikiem niemal 4,3 mld (obecnie to ok. 1,2 mld). W 2060 r. swoje maksimum osiągnie Ameryka Łacińska wraz z Karaibami: dojdzie do ok. 760 mln mieszkańców, po czym zacznie się szybko wyludniać. Europa z kolei, wyludniająca się już teraz, w 2100 r. liczyć będzie ok. 630 mln mieszkańców – o 120 mln mniej niż obecnie. Ameryka Północna i Australia z Oceanią będą do końca stulecia cieszyć się umiarkowanym wzrostem populacji.

Aby utrzymać liczbę ludności, państwo czy kontynent potrzebuje wskaźnika dzietności (liczba dzieci urodzonych średnio przez jedną kobietę) na poziomie przynajmniej 2,1 – dziś osiągają go tylko Afryka i Azja.

Pomocna w zachowaniu stanu populacji okaże się jednak migracja z tych dwóch kontynentów. Najbardziej zasilana przez strumienie imigrantów będzie Ameryka Północna, a następnie Australia (jeśli bierzemy pod uwagę liczbę imigrantów na 1000 mieszkańców). Na trzecim miejscu pod koniec wieku znajdzie się Europa, ale ta pomoc z zewnątrz i tak nie wystarczy, by zaspokoić głód demograficzny.

JAK NIE WPAŚĆ W PUŁAPKĘ

Prognozowane przez ONZ globalne 11 mld to liczba kolosalna, niemniej wyliczenia te często są poddawane krytyce. Różne ośrodki podają różne prognozy. Wpływowy austriacki demograf Wolfgang Lutz, założyciel Centrum Demografii i Globalnego Kapitału Ludzkiego Wittgensteina, uważa, że szczyt ludzkiej populacji osiągniemy między 2070 a 2080 r., gdy na planecie będzie ok. 9,8 mld osób. Wówczas populacja zacznie się kurczyć. Jeszcze bardziej umiarkowaną wizję prezentuje indyjski ekonomista Sanjeev Sanyal. W raporcie dla Deutsche Banku przewiduje, że nasze maksimum to nieco ponad 8 mld – osiągniemy je w połowie obecnego stulecia.

Skąd tak duże rozbieżności? „Widziałem nawet prognozy do 2300 r., ale proszę mi wierzyć, że gdyby ktoś 300 lat temu powiedział, że Polska będzie liczyła 38 mln mieszkańców, to zostałby wyśmiany" – mówi dr Krzysztof Szwarc, demograf z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. „Wszystkie prognozy biorą pod uwagę inny zestaw nie do końca przewidywalnych czynników. Te sięgające dalej niż 10 lat należy traktować najwyżej jako przypuszczenia, ewentualnie ostrzeżenia, co by było w sytuacji, gdyby ludność zachowywała się tak, jak założono". Są to ostrzeżenia nie przed tym, że przy 11 mld populacji przestaniemy się mieścić na naszej planecie. To, co rozumiemy przez przeludnienie, jest w istocie problemem niewystarczających zasobów.

Mówił o tym Thomas Malthus. Przewidywał, że wzrost liczby ludności będzie szybszy niż przyrost produkcji żywności, co powoduje, że z czasem tej ostatniej zabraknie. Jego prognoza nosi miano pułapki maltuzjańskiej. Swoją pracę Brytyjczyk opublikował w 1798 r., rozpoczynając epokę straszenia przeludnieniem, jednak nie przewidział jednego: że XIX w. przyniesie skok technologiczny pozwalający na gwałtowny wzrost efektywności produkcji rolnej.

Podobny zarzut – bagatelizowanie rozwoju techniki – stawia się twórcom raportu *Granice wzrostu*, głośnego dokumentu z 1972 r. opublikowanego przez Klub Rzymski. Dzięki symulacji komputerowej sformułowano pesymistyczną wizję: rosnąca liczba ludzi i wzrost konsumpcji spowodują wyczerpanie się zasobów.

Raport był atakowany przez prawicę, która dowodziła, że wolny rynek jest w stanie uregulować konsumpcję, bo przecież jeśli jakiś surowiec będzie na wyczerpaniu, to jego cena wzrośnie i zmniejszy się popyt. Ale i lewica nie zostawiała na nim suchej nitki, argumentując, że to retoryka zmierzająca do ograniczenia aspiracji klasy pracującej.

Od publikacji *Granic wzrostu* minęło kilkadziesiąt lat i bicie na alarm skończyło się jak w przypadku Malthusa: nie doszło do wyczerpania zasobów, a nowe technologie pozwoliły na bardziej efektywne ich wykorzystywanie. Raport został nieco zapomniany. Niemniej do dziś trwają debaty, czy był on stekiem bzdur, czy jednak trafnie przewidywał światowe trendy, ale w bardziej odległej perspektywie czasowej.

W 2009 r. na łamach „American Scientist" Charles Hall i John Day dokonali rewizji przewidywań w nim zawartych. Zwrócili uwagę, że choć w latach 80. konsumpcja – chociażby w USA – stawała się tańsza, a nie droższa (co miało być dowodem na to, że surowców nie brakuje), to stało się to kosztem wzrostu zużycia ropy naftowej (wykorzystywanej do pozyskiwania energii, ale także do zwiększenia efektywności upraw).

Ich zdaniem oznacza to, że ludzkość otrzymała chwilową premię za zwiększone wydobycie paliw kopalnych. Kiedy jednak zabraknie tych ostatnich, pułapka maltuzjańska ciągle jeszcze może się ziścić. I dlatego o przeludnieniu i wyczerpujących się zasobach nie tylko tworzono teoretyczne opracowania, lecz także szukano praktycznych sposobów zapobieżenia im. Część okazała się tragiczna w skutkach.

W latach 60. i 70. Indie prowadziły masową akcję sterylizacji, którą promowała amerykańska organizacja charytatywna Ford Foundation

NIECHCIANE DZIECI

Prowadzone od dziesięcioleci akcje kontroli populacji skazały na cierpienie rzesze ludzi. Najbardziej dramatyczny pod tym względem był okres po wprowadzeniu stanu wyjątkowego w Indiach w 1975 r., kiedy zawieszono niektóre prawa obywatelskie i wprowadzono program masowych sterylizacji. Na czele rządu stała wówczas Indira Gandhi – córka najbliższego współpracownika Mahatmy Gandhiego, Jawaharlala Nehru.

Naruszająca ludzką godność i łamiąca prawa człowieka polityka kontroli populacji od początku była finansowo wspierana przez rządy takich krajów jak USA czy Szwecja i przez organizacje – np. przez charytatywną Ford Foundation czy Bank Światowy.

W czasach zimnej wojny Zachód chciał rozładować indyjską bombę demograficzną, co miało „obronić" kraj przed komunizmem. Wszak państwo, któremu groziła maltuzjańska katastrofa, było bardziej narażone na niepokoje społeczne – pożywkę dla działalności komunistów.

Sterylizacje w Indiach teoretycznie nie były przymusowe, ale praktyka okazała się zupełnie inna. Władze ustanowiły system kwotowy dla poszczególnych prowincji kraju, a regionalne władze skrupulatnie walczyły o wypełnienie rządowych nakazów.

Marika Vicziany, badaczka z australijskiego Uniwersytetu Monasha, pisała na łamach czasopisma naukowego „Pacific Affairs", że od pracowników służby cywilnej, którzy liczyli na awans, oczekiwano przedstawienia certyfikatu potwierdzającego poddanie się sterylizacji. Do sterylizacyjnej machiny zaprzęgnięto nawet nauczycieli i kontrolerów biletów. Powstały obozy masowej sterylizacji. W ciągu półtora roku pozbawiono płodności 6-8 mln osób, w większości mężczyzn pochodzących z najuboższej części społeczeństwa.

Wkrótce po zmianie władzy w 1977 r. program *de facto* przymusowej sterylizacji zamarł. Nie oznacza to, że regulacja płodności przestała być przez indyjski rząd promowana – od tego czasu w większości dotyczy on kobiet. Według Population Research Institute, amerykańskiej organizacji pozarządowej zajmującej się demaskowaniem naruszeń praw człowieka pod szyldem kontroli populacji, w Indiach co najmniej do 2013 r. sterylizowanych było ok. 4 mln kobiet, bo to wciąż popularna metoda antykoncepcji. Nie bez wpływu jest administracyjna zachęta w postaci gotówki wypłacanej osobom poddającym się sterylizacji. Co jakiś czas jednak media nagłaśniają przypadki śmierci w wyniku zabiegów w związku z fatalnymi warunkami, w jakich są przeprowadzane.

GŁÓD KONSUMPCJI

Dziś ani Zachód, ani rządzący Indiami nie muszą się już bronić przed komunizmem. Próby kontroli populacji tłumaczy się obecnie głównie walką z biedą i przeludnieniem. Niezamożne wielodzietne rodziny nie są w stanie zapewnić godnych warunków życia swojemu potomstwu – szczególnie uwzględniając rosnące ceny żywności (chociażby na skutek susz).

Czy jednak lepszym sposobem na zabezpieczenie globalnych zasobów nie jest większa doza solidaryzmu i ograniczenie konsumpcji przez tych, którzy oddają się jej najbardziej? Dość wspomnieć, że według danych Banku Światowego globalne wydatki na konsumpcję to łącznie ok. 60 bln dolarów rocznie. Dwie trzecie tej sumy wydają mieszkańcy 36 najbardziej rozwiniętych krajów świata, w których żyje 1,25 mld osób, a więc mniej niż jedna szósta ludzkości. Same Stany Zjednoczone przeznaczają na ten cel 16 bln dol., Unia Europejska 14 bln, a cała Afryka i Bliski Wschód – raptem 3,6 bln.

Szczególnie że w krajach rozwijających się posiadanie dużej liczby dzieci nieraz ma więcej „funkcji" i zapewnia poprawę bytu. Na przykład dzięki licznemu potomstwu rodziny uprawiające ziemię mogą prowadzić bardziej efektywne uprawy, a wobec braku bądź słabości systemu opieki społecznej dzieci stają się też gwarancją bezpieczeństwa na starość.

Widać tu napięcie między potrzebami jednostki i ogółu: ograniczenie dzietności może odbierać zasoby konkretnej osobie, nawet jeśli w skali całego społeczeństwa zapewnia bardziej racjonalne gospodarowanie nimi.

DAĆ LUDZIOM SZANSĘ

Prognozowane zatrzymanie wzrostu liczby ludności łączy się ze wzrostem jakości życia w uboższej części świata – na umownym globalnym Południu. Świat stale idzie naprzód, a biedniejsze Południe rozwija się w znacznie szybszym tempie niż bogata Północ.

Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego w 2018 r. np. PKB krajów afrykańskich rosło średnio o 3,4% w skali roku, zaś krajów rozwiniętych o 2,2%. Te pierwsze w mniejszym stopniu dotknął kryzys gospodarczy sprzed dekady – gdy w 2009 r. kraje rozwinięte były w recesji o wielkości 3,3%, afrykańskie zanotowały wzrost na poziomie 3,2%.

Widać jasną zależność między współczynnikiem dzietności i wskaź-

Robert Nickelsberg/Liaison/Getty Images

Kilka dekad temu w Indiach, za przyzwoleniem Indiry Gandhi, funkcjonowały programy masowej sterylizacji finansowane m.in. przez USA czy Szwecję. Wówczas zabiegowi poddawano głównie mężczyzn. Na początku XXI w. władze nadal próbują siłą kontrolować liczbę urodzeń – tyle że teraz na celowniku znalazły się kobiety. Podwiązanie lub usunięcie jajników traktowane jest tam jako regularna metoda antykoncepcji

nikiem rozwoju społecznego (Human Development Index) – uwzględnia on wiele zmiennych, m.in. poziom skolaryzacji, średnią długość życia czy PKB. Im współczynnik HDI jest niższy, a więc im gorsze są warunki do życia, tym większa dzietność.

A HDI na Południu stale wzrasta. Wprawdzie np. w najbiedniejszej części świata – Afryce Subsaharyjskiej – wciąż jest niski (0,54 w 2017 r.; dla porównania w Norwegii, Szwajcarii czy Australii wynosi ok. 0,94), jednak od 1990 r. nawet tam wzrósł o jedną trzecią.

Wolfgang Lutz potwierdza, że niemal na całym świecie występuje zależność między poziomem wykształcenia a liczbą posiadanego potomstwa. W raporcie przygotowanym dla ONZ podkreśla, że edukacja poprawia również średnią długość życia i redukuje ubóstwo. Przygotowane przez niego modele pokazują, że jeśli utrzymamy obecny globalny poziom wzrostu wykształcenia, w 2050 r. może nas być o miliard mniej niż w sytuacji, gdy poziom skolaryzacji pozostanie niezmienny.

Obok edukacji jako czynnik ograniczający dzietność wymienia dostęp do opieki medycznej ze szczególnym naciskiem na okołoporodową. „To dwa najistotniejsze uwarunkowania i można nimi sterować instytucjonalnie" – dodaje Lutz.

Z edukacją ściśle wiąże się dostęp do niej – a wykluczone bywają głównie kobiety.

Wzorem pod tym względem jest Rwanda, kraj targany w latach 90. XX w. tragicznym konfliktem etnicznym, a dziś będący jedną z najdynamiczniej rozwijających się gospodarek Afryki i społeczeństwem stawiającym na równouprawnienie. To rzadki przypadek w skali świata, gdyż w tamtejszym parlamencie zasiada więcej pań niż panów. Współczynniki uczestnictwa w edukacji na każdym poziomie są niemal równe. Szybko spada tam również współczynnik umieralności niemowląt: o ile w ostatniej dekadzie XX w. wynosił on 150 zgonów na 1000 urodzeń, o tyle dziś jest to mniej niż 30. I tak się składa, że podczas gdy ćwierć wieku temu jedna kobieta rodziła tam średnio ósemkę dzieci, obecnie rodzi już tylko czwórkę.

I tak właśnie to dobre szkoły oraz czyste szpitale i toalety mogą ustrzec planetę przed przeludnieniem znacznie skuteczniej niż barbarzyńskie przymusowe sterylizacje.

W niewoli algorytmów

Internetowe koncerny tworzą sztuczną inteligencję, która świetnie wie, jak utrzymać nas przed ekranem. Młodym matkom podsuwa reklamy pieluch, a pedofilom – zdjęcia dzieci

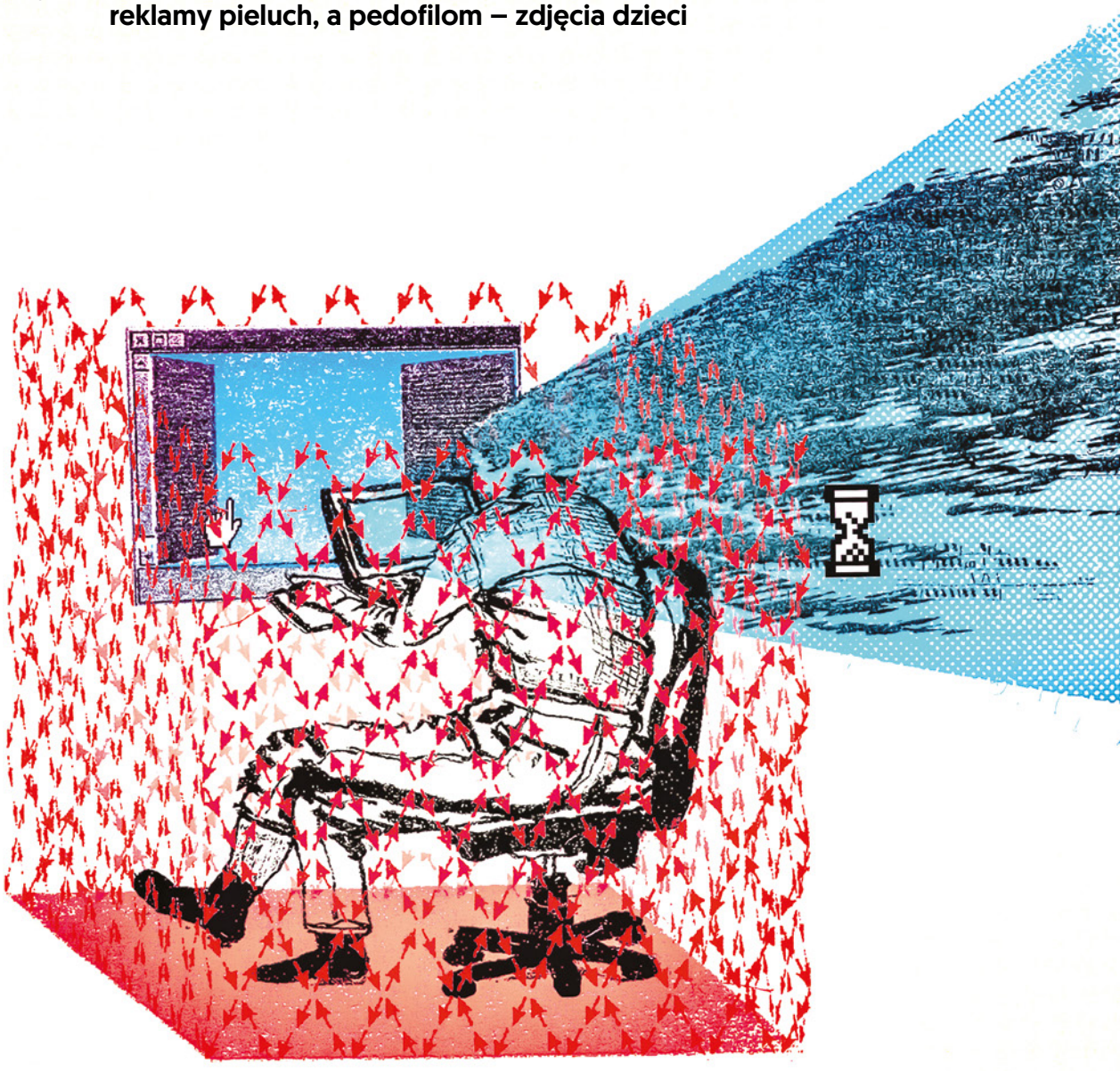

Patric Sandri/Getty Images

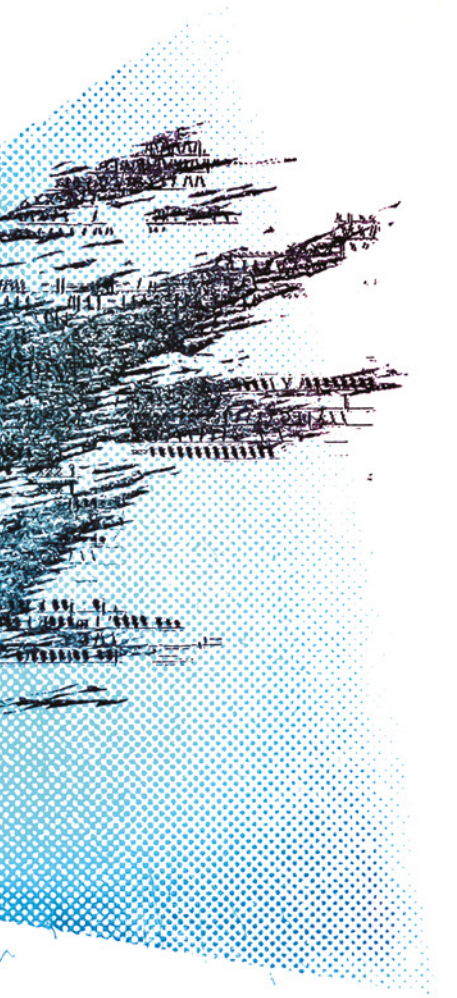

Marcin Terlik

Znacie pewnie poczucie utknięcia w pętli YouTube'a. Wchodzimy tam posłuchać muzyki, zostawiamy komputer samemu sobie i po kilkunastu minutach z głośników płyną nasze ulubione, odtwarzane dziesiątki razy wcześniej piosenki. Niezależnie od pierwszego wyboru YouTube wraca do sprawdzonego zestawu znanych i słuchanych przez użytkownika hitów.

Z grubsza każdy zdaje sobie sprawę, dlaczego tak się dzieje – stoi za tym algorytm rekomendacji. Jako propozycje otrzymujemy klipy podobne do oglądanego lub te, które już wcześniej widzieliśmy. Jednak dokładne zasady rządzące polecaniem wideo pozostają ścisłym sekretem YouTube'a i jego właściciela – Google'a.

Niestety, algorytmy kryjące się w głębi serwisu mogą prowadzić do dużo poważniejszych problemów niż nasza irytacja powtarzalnością kilku piosenek.

PROFIL PEDOFILA

Czy to możliwe, aby czołowy światowy serwis rozpoznawał użytkowników pedofilów i podsuwał im nagrania odpowiadające ich gustom? Tak, gdy za rekomendacjami stoi sztuczna inteligencja. W lutym br. YouTube stał się obiektem międzynarodowego skandalu, po tym jak jeden z jego użytkowników – Matts WhatItIs – przedstawił działanie czegoś, co nazwał „pedofilskim kręgiem".

Matts założył świeże konto i po odtworzeniu erotycznego nagrania z dorosłą kobietą serwis jako jedną z opcji podsunął mu film przedstawiający gimnastykującą się dziewczynkę. Gdy internauta zdecydował się na ten wybór, w następnym zestawie rekomendacji otrzymał całą serię klipów z dziećmi uprawiającymi jogę czy grającymi w Twistera. Po kilku kolejnych kliknięciach algorytm YouTube'a świetnie zdał sobie sprawę, o co chodzi użytkownikowi – propozycje składały się już wyłącznie z małych dziewczynek liżących lizaki, kąpiących się w basenie lub prezentujących się przed kamerą w skąpych strojach.

Żadne z tych wideo nie było dziecięcą pornografią – YouTube ściśle pilnuje, by takie nielegalne treści nie znajdowały się na stronie. Zazwyczaj były to po prostu nagrania kilkulatków chcących pochwalić się sportowymi umiejętnościami czy rodziców pokazujących w internecie swoje codzienne życie. O ile jednak inne klipy na ich kanałach osiągały co najwyżej po kilkaset wejść, to te, w których pedofil mógł doszukać się seksualnego podniecenia, w wyniku przekierowań zdobywały po kilkadziesiąt, a nawet kilkaset tysięcy odsłon. Przed niektórymi z nich YouTube wyświetlał reklamy, zarabiając na ruchu wygenerowanym przez użytkowników z pedofilskimi skłonnościami.

Wątpliwości co do intencji oglądających nie pozostawiały komentarze pod nagraniami. Poza dwuznacznymi uwagami pod adresem dziewczynek, praktyką użytkowników było oznaczanie momentów nagrania, w których dziecko znajdowało się w pozycji, którą można uznać za seksualną. Niektórzy oferowali również wymianę pornografii na privie.

GIGANT POD PRESJĄ

Doniesienia Mattsa szybko obiegły internet i klasyczne media. W gruncie rzeczy wcale nie były one rewelacyjne – na problem zwracano uwagę już w 2017 r. Okazało się jednak, że YouTube, mimo wiedzy na ten temat, nie zrobił nic, by skutecznie walczyć ze zjawiskiem. Wiele międzynarodowych korporacji, w tym Disney i Nestle, ogłosiło wycofanie się z reklamowania na YouTubie. Internetowy gigant obiecał poprawę. Pierwszym krokiem było wyłączenie komentarzy pod kilkudziesięcioma milionami filmów z udziałem dzieci i zablokowanie 400 kanałów w serwisie.

Zmianie uległy również algorytmy – dziś nie da się wejść w pedofilską pętlę w kilku kliknięciach, tak jak demonstrował to na początku roku Matts. Choć nie znaczy to, że pętla zniknęła.

W czerwcu „New York Times" opublikował ustalenia brazylijskich naukowców, którzy pracowali nad stworzeniem mapy rekomendacji YouTube'a. W swoich badaniach, prowadzonych już po wybuchu pierwszego skandalu, doszli do podobnych wniosków co Matts. Przy wielu powtórzeniach automatyczny system nadal podsuwa użytkownikowi filmy z dziećmi w sytuacjach

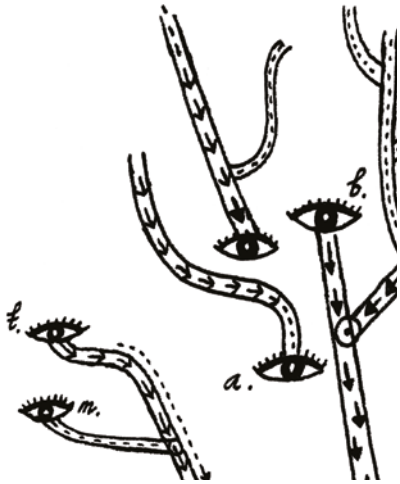

działających na pedofilską wyobraźnię.

YouTube zmniejszył liczbę takich rekomendacji, ale nie chce z nich całkowicie zrezygnować. Skuteczne sugerowanie wideo jest przecież motorem napędowym biznesu. Około 70 proc. wszystkich wyświetleń na YouTubie pochodzi właśnie z rekomendacji.

PATOLOGIA SIĘ SPRZEDAJE

Pedofilskie afery to tylko przykład szerszego problemu stworzonego przez media społecznościowe na turbosilniku sztucznej inteligencji. Sukces YouTube'a, podobnie jak innych serwisów, zależy od czasu, który spędzają w nim użytkownicy. Najcenniejszym towarem dla firmy jest uwaga użytkowników, a głównym celem – jej jak najdłuższe utrzymanie.

Za przykucie nas do ekranów odpowiadają skomplikowane, samodoskonalące się algorytmy, które operują na ogromnej ilości zebranych danych. Poprzez zestawianie naszych wyborów z wyborami innych tworzą profile preferencji i na ich podstawie podsuwają nam kolejne treści. Im dłużej i im więcej ludzi korzysta z serwisu, tym dokładniejszy i bardziej spersonalizowany staje się nasz obraz w oczach systemu. Jak dokładnie to działa? Tego nie wiadomo, ponieważ algorytmy – podobnie jak receptura Coca-Coli – są pilnie strzeżonymi tajemnicami handlowymi, zapewniającymi gigantom przewagę nad konkurencją.

Ogólną zasadą jest, że naszą uwagę lepiej przykuwają sensacyjne czy prowokacyjne treści. Nie jest to żadną nowością – na tej zasadzie od dekad opierają się tabloidy – i nie umknęło to również sztucznej inteligencji. Automatyczne systemy YouTube'a podsuwają nam kontrowersyjne materiały, wiedząc z doświadczenia, że chętnie w nie klikniemy, instynktownie ulegając naszym emocjom.

Co więcej algorytm uczy się, który rodzaj emocji na nas działa. Jeśli interesuje nas motoryzacja, dostaniemy tragiczne wypadki samochodowe; jeśli zdrowie – będziemy mogli dowiedzieć się o szkodliwym wpływie szczepionek na dzieci. Jeśli ciągnie nas do polityki, YouTube uraczy nas najbardziej oburzającymi wypowiedziami posłów i kolejnymi „zaoraniami" w programach publicystycznych.

Zeynep Tufekci z Uniwersytetu Północnej Karoliny nazywa serwis „wielkim radykalizatorem". Opisując w „New York Timesie" swoje badania prowadzone na YouTubie, przytacza, jak nagrania z Donaldem Trumpem zaprowadziły ją do negacjonistów Holokaustu, a filmy z Hillary Clinton do spiskowych teorii o udziale rządu w zamachach 11 września. Ta prawidłowość nie ogranicza się do polityki. Filmy o wegetarianizmie odsyłają do filmów o weganizmie, te o bieganiu – do tych o ultramaratonach.

„Wydaje się, że nigdy nie jesteś dość »hardkorowy« dla systemu rekomendacji" – konstatuje Tufekci.

„Kłopot z YouTube'em polega na tym, że jego algorytmy zostały stworzone w celach komercyjnych" – ocenia w rozmowie z Holistic.news Alek Tarkowski, prezes Fundacji Centrum Cyfrowe. Podaje przykład wideo dotyczących teorii spiskowych, które według niedawnych badań doskonale zachęcają użytkowników do dalszego klikania. Zwraca także uwagę na zjawisko tzw. patostreamów. „Okazuje się, że te patologiczne treści po prostu dobrze się sprzedają. YouTube jest platformą, która bardzo ułatwia dotarcie do ludzi. Odkrywamy ze zdziwieniem, że radykalne rzeczy, które – jak nam się wydawało – interesują garstkę odbiorców, tam świetnie sobie radzą" – zauważa Tarkowski.

KAŻDY W SWOJEJ BAŃCE

Od kilku lat eksperci zwracają uwagę na internetowe zjawiska „filtrowej bańki" czy „komory echo", które po cichu zmieniają nasze społeczeństwa. Personalizacja treści stosowana przez gigantów takich jak YouTube, Google czy Facebook prowadzi do tego, że otrzymujemy więcej wiadomości, które nam odpowiadają, i widzimy więcej wypowiedzi osób o podobnych do naszych poglądach.

Bez konfrontacji z niewygodnymi faktami i opiniami nie tylko radykalizujemy się w naszych przekonaniach, ale też mamy coraz mniej wspólnych tematów do rozmowy z różnymi od nas ludźmi. Operując na odmiennych zestawach wiadomości, postrzegamy innych jako stronniczych oszołomów, wierząc, że celowo patrzą na rzeczywistość w wybiórczy sposób.

O ile problem dotyczy również tradycyjnych mediów, to w internecie jest dużo trudniej go dostrzec. Szybko dojdziemy do przyczyn nieporozumienia między

ŻEBY OBEJRZEĆ FILMY, KTÓRE TYLKO DZISIAJ TRAFIŁY NA YOUTUBE'A, MUSIELIBYŚMY SIEDZIEĆ PRZED KOMPUTEREM NIEPRZERWANIE PRZEZ 65 LAT

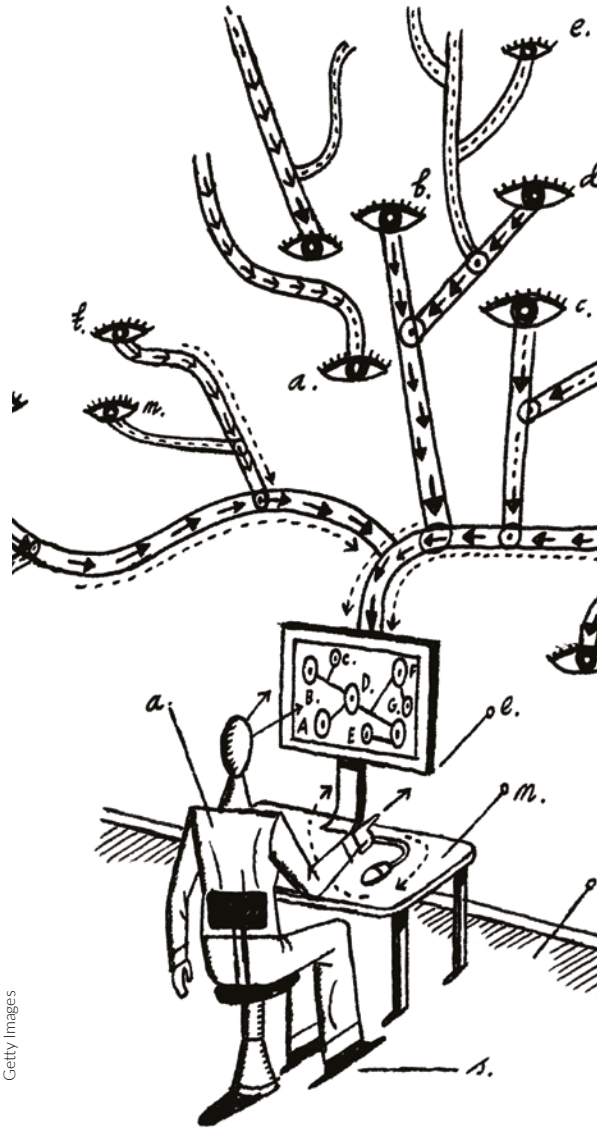

Getty Images

widzami TVN24 i widzami TVP Info. Nie tak łatwo będzie nam zauważyć, że korzystając z pozornie tych samych serwisów, dowiadujemy się z nich różnych rzeczy. Ja przewijam Facebooka i ty też przewijasz Facebooka, ale widzimy coś zupełnie innego. Poza tym telewizyjny kanał zawsze możemy zmienić, by dowiedzieć się czegoś o drugiej stronie. Wyrwanie się z internetowej pętli personalizacji jest praktycznie niemożliwe.

„Kiedy powstawał internet, bardzo naiwnie zakładano, że przyniesie tylko dobre rzeczy" – mówi „Holistic News" Krzysztof Izdebski, dyrektor programowy Fundacji ePaństwo. „Sposoby, w jakie media społecznościowe mogą wywierać wpływ na społeczeństwo i politykę, zaskoczyły tak naprawdę nawet ich samych twórców. Dopiero od jakichś dwóch lat trwają próby zrozumienia tego problemu, również przez polityków" – podkreśla Izdebski.

Filtrowa bańka sprawia, że zazwyczaj nie jesteśmy w stanie zauważyć, do czego prowadzą automatyczne rekomendacje. Niedawno uwagę na to zwracał Guillaume Chaslot na portalu Wired.com. Francuski programista, który pracował dla Google'a i współtworzył algorytmy YouTube'a, ostrzega, że ujawnianie zjawisk takich jak „pedofilski krąg" będzie coraz trudniejsze.

„W miarę jak sztuczna inteligencja będzie stawać się coraz lepsza, będzie w stanie coraz dokładniej przewidzieć, kto jest zainteresowany danymi treściami. Równocześnie będzie je rzadziej podsuwać innym. Na tym etapie problemy z algorytmami będą trudniejsze do zauważenia, ponieważ będzie mniej prawdopodobne, że ktoś zgłosi je do moderatorów serwisu" – przewiduje Chaslot.

SYSTEM POZA KONTROLĄ

YouTube ma ponad miliard użytkowników na całym świecie. Co minutę zamieszczanych jest na nim 400 godzin kolejnych nagrań. Żeby obejrzeć filmy, które tylko dzisiaj trafiły do serwisu, musielibyśmy siedzieć przed komputerem nieprzerwanie przez ponad 65 lat.

„Mało kto tak naprawdę wie, jak to ogólnie wygląda. Widzimy tylko niewielki wycinek YouTube'a" – mówi Alek Tarkowski. „Być może sama firma rozumie, co tam się dzieje. Choć nie jestem tego pewien" – dodaje.

Na świecie coraz częściej pojawiają się wezwania do uregulowania działań korporacji z Doliny Krzemowej. Brytyjski pisarz Jamie Bartlett w swojej książce *Ludzie przeciw technologii* postuluje kontrolę algorytmów rządzących mediami społecznościowymi. Zdając sobie sprawę z ich komercyjnej wartości, proponuje, by nie były one ujawniane, ale nadzorowane przez niezależne publiczne instytucje, w rodzaju Najwyższej Izby Kontroli.

Problem w tym, że algorytmy preferencji to niejedna lista zasad spisana przez kalifornijskich programistów. Stworzona przez nich sztuczna inteligencja sama się doskonali, nieustannie dostosowując się do zachowań miliardów użytkowników, w dodatku w odmienny sposób w odniesieniu do każdego z nich. Czy kontrola nad tak wielkim, organicznym, przechodzącym stałą metamorfozę systemem jest w ogóle możliwa?

Krzysztof Izdebski z Fundacji ePaństwo jest sceptyczny, jeśli chodzi o państwowy nadzór. „Nie wiem, na ile mogłoby się to dziać w sposób ciągły. Wielkie platformy cały czas zmieniają swoje algorytmy. Pamiętajmy, że systemy powstały po to, by zarabiać na reklamach, a nie by sterować opinią publiczną" – zaznacza. Zachęca też, by zastanowić się, czy bardziej ufamy naszym rządom czy prywatnym firmom. Odpowiedź, jak podkreśla, może być bardzo różna w zależności od kraju.

„Instytucje publiczne nie mają środków i ekspertów, by zrozumieć, czym są algorytmy, nawet gdyby były one udostępnione" – przyznaje Alek Tarkowski z Fundacji Centrum Cyfrowe.

„Platformy takie jak YouTube czy Facebook muszą być jednak uregulowane. Wcześniej wiele osób mówiło, że rozwój technologiczny wymaga kredytu zaufania. Słusznie zauważano, że regulacje często są po prostu prymitywne i blokują nowatorskie rozwiązania. Warunki się jednak zmieniły. Te serwisy nie są już start-upami, ale w bardzo krótkim czasie stały się światowymi gigantami" – mówi. Tyle że, jak podkreśla, w tej chwili nie ma pomysłu na realne rozwiązania.

„Musimy liczyć na samoregulację tych firm. Z tego, co widzimy, na razie są na to umiarkowanie gotowe" – ocenia Tarkowski.

ALGORYTMY, KTÓRE PODSUWAJĄ NAM TREŚCI W INTERNECIE, SAME SIĘ DOSKONALĄ I WYMYKAJĄ SIĘ SPOD KONTROLI ICH AUTORÓW

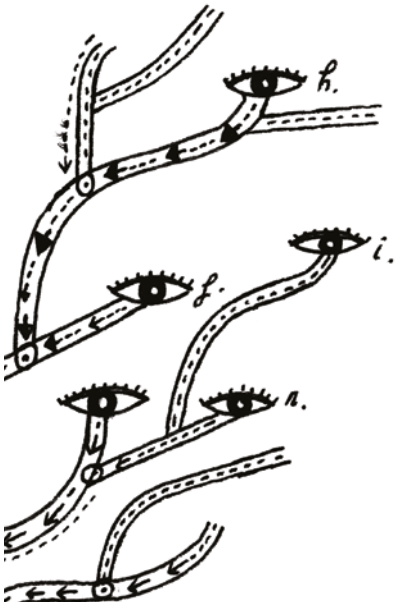

University of Missouri-Columbia/Getty Images

Zwolennicy transplantacji międzygatunkowych przekonują, że zwierzęta hodowane na narządy żyją w o wiele lepszych warunkach niż te przeznaczone do uboju

Człowiek z sercem świni

Umiemy przeszczepiać pacjentom całe narządy pobrane od innych ludzi, dokonuje się nawet transplantacji twarzy. Problemem jest jednak ciągły deficyt materiału. Czy ratunkiem dla chorych czekających na nowe serce albo nerkę okażą się przeszczepy od zwierząt?

Michał Niepytalski

Medycyna daje nam coraz większe możliwości dokonywania przeszczepów – możemy np. wykorzystywać już nie tylko cudze organy wewnętrzne, lecz także twarze czy kończyny. Na całym świecie problemem jest jednak brak materiału do transplantacji. Na nowe nerki czy serca czeka się nieraz latami. Stąd pomysł, by pomocy szukać zarówno w ciałach ludzkich, jak i zwierzęcych.

ŚWIŃSKI DAR

Ciekawym kandydatem na dawcę jest świnia. Już teraz po świecie – w tym po Polsce – chodzą ludzie, w których sercach z każdym uderzeniem zamykają się i otwierają zastawki pozyskane właśnie od tego zwierzęcia. W 2005 r. na łamach wydawanego przez PAN periodyku „Nauka" polscy badacze Zdzisław Smorąg i Ryszard Słomski w artykule *Ksenotransplantacja – możliwości i ograniczenia* pisali: „Świnie są łatwe i tanie w hodowli, rozmnażają się szybko, mają liczne potomstwo. Zróżnicowanie wielkości wśród ras pozwala na dobranie organów o odpowiedniej wielkości dla różnych biorców. Zwierzęta te łatwo poddają się zabiegom inżynierii genetycznej. Mają zbliżone parametry anatomiczne i fizjologiczne".

Jest to jednak ciągle początek drogi, bo poza zastawkami innych organów od tych zwierząt przeszczepiać sobie nie możemy. Nie dlatego, że nie potrafimy.

POCZUCIE ODRZUCENIA

Sam zabieg można by przeprowadzić bez większego trudu. Tylko po co, skoro przeszczepiony organ nie mógłby funkcjonować? W przypadku transplantacji między dwojgiem ludzi istnieje pewne prawdopodobieństwo odrzucenia narządu. W tym celu podaje się leki immunosupresyjne mające na celu „oszukanie" systemu odpornościowego.

Żadne istniejące leki nie są jednak w stanie wmówić układowi immunologicznemu człowieka, że nerka świni jest nerką ludzką. To kwestia antygenów zawartych w komórkach innych zwierząt. Nie jesteśmy w stanie skutecznie ich „wyciszyć".

Stąd pojawił się pomysł, by świnię zmodyfikować genetycznie i uczynić jej komórki bardziej przyjaznymi. Profesor Paweł Łuków, kierownik Zakładu Etyki Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego i członek Komitetu Bioetyki przy Prezydium PAN, jest jednak sceptyczny.

„Coraz bardziej podaje się w wątpliwość, czy pozyskiwanie narządów od świń ma w ogóle sens" – wyjaśnia Łuków. Badania wskazują, że różnice biologiczne między świniami i ludźmi mogą być zbyt wielkie. Pojawiają się więc głosy, by narządy pozyskiwać od innych naczelnych.

To jednak również nie takie proste. Po pierwsze, są one biologicznie zbyt podobne do ludzi (wszelkiego rodzaju patogeny, jakich nosicielami są małpy człekokształtne, stanowiłyby także

zagrożenie dla człowieka), a po drugie, ich cykl rozwojowy jest podobny do ludzkiego. To oznacza, że z długich ciąży rodzi się z reguły niewielka liczba potomstwa i dorasta powoli. Z punktu widzenia potrzeb leczniczych jest to więc mało efektywne. Profesor Łuków zwraca ponadto uwagę, że rozwój tej gałęzi transplantologii wstrzymują względy etyczne.

„Zasadniczym problemem jest to, że inni naczelni mają podobne życie wewnętrzne do człowieka, a to oznacza, że krzywdy, jakie mogą ich spotkać, są bardzo podobne do krzywd, na jakie podatni są ludzie" – tłumaczy.

Czy zatem w ksenotransplantologii (czyli transplantacji międzygatunkowej) zabrnęliśmy w ślepą uliczkę?

MIESZANKA WYBUCHOWA

Innego zdania są naukowcy zajmujący się badaniami nad istotami transgenicznymi, czyli zmodyfikowanymi genetycznie.

Takie eksperymenty prowadzą wspomniani Japończycy, którzy od lat zajmują się gryzoniami. Udało im się np. wyhodować szczura z mysią trzustką i mysz z trzustką szczura.

Procedura w skrócie wygląda następująco: na początek należy zmodyfikować genetycznie komórki rozrodcze gryzoni, by po połączeniu nie wytwarzały danego organu; następnie skrzyżować dwa osobniki, a kiedy dojdzie do zapłodnienia, do zarodka wszczepić komórki macierzyste przedstawiciela innego gatunku. Komórki te mają za zadanie przejąć zdolności zablokowane przez wcześniejszą modyfikację genetyczną i wykształcić organ wewnętrzny – w myszy organ szczura czy u szczura organ myszy.

Ograniczenia prawne uniemożliwiały do niedawna Japończykom przeprowadzenie tego eksperymentu na ludzkich komórkach. Dotąd szukali więc szczęścia w USA, gdzie podobne badania prowadzi kilka ośrodków. I rzeczywiście, w Ameryce udało im się uzyskać płody świń z działającymi komórkami ludzkimi. Ich liczba była jednak tak niewielka, że trudno mówić o wytworzeniu się ludzkich organów w ich wnętrzach. Nawiasem mówiąc, płody były niszczone przed narodzinami. Profesor Łuków tłumaczy, że takie badania są niezwykle drogie i nie przynoszą cudownych efektów w bliskiej perspektywie czasowej.

„W Stanach Zjednoczonych te eksperymenty nie są finansowane z funduszy publicznych, a to państwowe National Institutes of Health jest największym sponsorem badań medycznych w tym kraju. To poważna bariera, trzeba szukać prywatnych darczyńców" – wyjaśnia bioetyk.

Innym problemem dla naukowców jest to, że choć ich eksperymenty mogą w (zapewne dość odległej, ale przewidywalnej) przyszłości przyczynić się do ocalenia tysięcy ludzkich istnień, to u wielu budzą niepokój i nasuwają makabryczne skojarzenia rodem z *Wyspy doktora Moreau*. Wątpliwości natury etycznej są poważne.

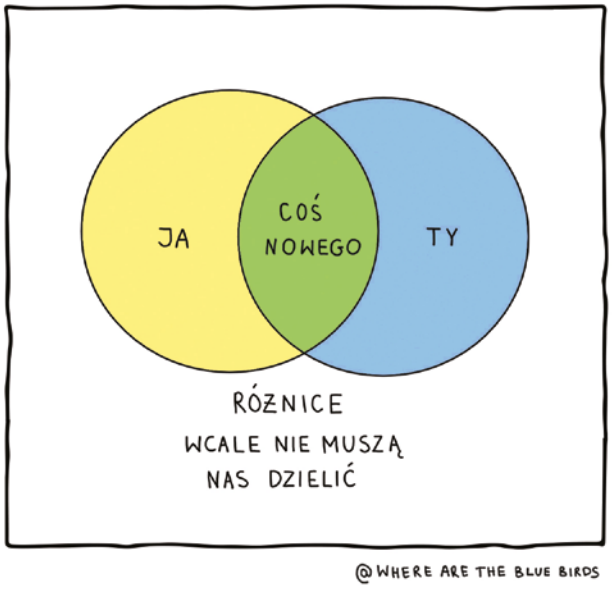

BEZ GRANIC

„W biologii nie ma ostrych granic. To dla nas problem, bo z punktu widzenia potrzeb społecznych i prawnych potrzebujemy wyraźnych punktów odcięcia, a biologia nie chce nam ich zaoferować" – przekonuje prof. Łuków.

Dlatego tak jak debatę o tym, kiedy zaczyna się ludzkie życie, trudno nazwać czysto naukową, tak i na gruncie czysto naukowym nigdy nie odnajdziemy odpowiedzi na pytanie, czy zmodyfikowane genetycznie zwierzę jest zbyt podobne do człowieka, by móc wykorzystać do pozyskania organu jego żywy organizm. Zdaniem Łukowa rozwój ksenotransplantologii zmusza nas do zastanowienia się nad tym, jaką pozycję w świecie ożywionym powinien zajmować człowiek. Rezultat tej dyskusji może wpłynąć na poprawę bytu zwierząt hodowlanych.

W „Journal of Clinical Medicine" badacze Paula Casal i Andrew Williams przekonywali niedawno, że rozwój transplantacji międzygatunkowych może wpłynąć na polepszenie warunków przetrzymywania owych zwierząt. Przynajmniej musiałyby być traktowane, *nomen omen*, humanitarnie – tak by ich wnętrzności zachować w jak najlepszym stanie. Byłoby to znaczną poprawą w porównaniu z obrazami znanymi z przemysłowych hodowli zwierząt przeznaczonych na ubój do celów konsumpcyjnych.

Wątpliwe jednak, czy „dar życia", jaki w przyszłości świnie będą w stanie zaoferować ludziom, sam w sobie wpłynie na ich postrzeganie przez człowieka. Wątpliwe, że ludzie zaczną odnosić się do reszty świata zwierzęcego z większą empatią.

Visual China Group/Getty Images

Eksperymenty medyczne z udziałem zwierząt w większości krajów muszą być każdorazowo zatwierdzane przez komisje bioetyczne

STUDZENIE EMOCJI

Dotąd eksperymenty z hybrydami kończyły się umiarkowanymi sukcesami. Organy wyhodowane w świniach nie były całkiem ludzkie. Posiadana przez nie liczba ludzkich komórek była zbyt mała, by można było mówić o organach zdatnych do transplantacji. Nawet jeśli kiedyś będziemy hodować świnie z ludzkimi organami, nie będą one w żaden sposób podobne do człowieka. Nie mówiąc już nawet o posiadaniu jakiejś cząstki ludzkiej świadomości – i to biorąc pod uwagę, że wszczepiając komórki macierzyste do zarodka, nie mamy stuprocentowej kontroli nad tym, w tworzeniu jakich organów i tkanek ostatecznie wezmą udział. Nie możemy zatem wykluczyć, że świnia będzie posiadać częściowo ludzkie komórki w układzie nerwowym. Profesor Łuków studzi jednak emocje.

„Nawet gdyby tak się stało, owych komórek nerwowych byłoby najprawdopodobniej tak mało, że nie wpłynęłyby zbytnio na funkcjonowanie układu nerwowego zwierzęcia – a jeśli już, to pewnie by mu to zaszkodziło" – tłumaczy naukowiec. „Powstanie natomiast czegoś, co miałoby namiastkę świadomości innej niż ta, którą normalnie ma świnia czy inne zwierzę, w którym hodowla organów miałaby się odbywać, wydaje mi się niemożliwe".

Profesor wyjaśnia, że istota człowieczeństwa nie tkwi wyłącznie w układzie nerwowym, ale też w całym zespole doświadczeń oraz w metodach odbioru informacji przez mózg.

„Gdyby do naszego mózgu docierały na przykład te bodźce, które trafiają do mózgu węża z czubka jego rozdwojonego języka, to na pewno nasza świadomość wyglądałaby inaczej" – twierdzi bioetyk.

ZABEZPIECZENIA

Świat nauki na co dzień musi radzić sobie z wieloma podobnymi problemami o charakterze etycznym i przez lata zdążył wypracować praktyczne rozwiązania ograniczające niemoralne wybryki.

To na przykład obowiązek weryfikacji projektów badawczych przez komisje bioetyczne. Ich rekomendacja jest konieczna w większości krajów, w tym we wszystkich krajach zachodnich. Kolejne zabezpieczenie stanowią periodyki naukowe. Jakkolwiek badania właściwie nie mają znaczenia, póki nie zostaną opublikowane na łamach recenzowanego czasopisma.

„Każdy naukowiec chce nie tylko osiągnąć coś w laboratorium, ale chce też się tym pochwalić. A przyzwoite czasopisma naukowe, zanim opublikują wyniki badań, żądają pozytywnej opinii komisji bioetycznej. To ograniczenie w praktyce działa bardzo mocno" – zapewnia prof. Paweł Łuków.

Mimo przeciwności badania trwają, choć trudno przewidywać, kiedy przyniosą wymierne dla ludzkości efekty.

Trina Dalziel/Getty Images

EKOWOJOWNICZKI NIE CAŁKIEM WARIATKI

Mówią o nich: ekoterrorystki, dziwaczki z fanaberiami. Walczą ze zmianami klimatu na prowincji – tam, gdzie nikogo to nie obchodzi

Karolina Anna Kuta

„Przyszedł do pana ktokolwiek, kto by się przejmował?" – pytam.

„Zmianami klimatycznymi? Myślę, że nie" – mówi mi gminny doradca ekologiczny z mojej rodzinnej miejscowości.

„Może powinnam więc porozmawiać z kimś innym?"

„Nie ma w naszej gminie osoby, która zajmowałaby się stricte zmianami klimatycznymi. Myślę, że ostatecznie trafiłaby pani do mnie" – odpowiada.

„A czym zajmuje się gminna komisja ds. ochrony środowiska?"

„Chyba w naszej gminie nie ma takiej komisji. Ale to musiałbym sprawdzić" – odpowiada doradca.

„Widziałam, że jest".

„No komisje..." – zamyśla się doradca. „Jest komisja rolnictwa i pewnie tam po prostu został wpisany człon »ochrona środowiska«" – tłumaczy.

MARTA, 30 LAT

Wioska, w której mieszka, leży pod Gnieznem, na granicy województw wielkopolskiego i kujawskiego. Latem przyjeżdża tu dużo letników, zimą zostaje czterech sąsiadów oraz Marta z mężem Piotrem. Mieszkają w drewnianym domu, przerobionym z letniskowego.

Kilka kroków dzieli ich od jeziora i pachnącego lasu, pełnego topoli. Starsi ludzie żyją tu jak kiedyś: hodują kury, uprawiają ogródki, nie szkodzą planecie. Czas płynie wolno.

Marta i Piotr usunęli z domu niepotrzebne generatory energii, nie posiadają telewizji. Kobieta ma wyrzuty sumienia, kiedy musi używać samochodu, żeby dojechać do pracy, ale autobus do wioski nie dociera.

W domku nad jeziorem we dwójkę przygotowują się na koniec świata, który znamy. Marta ma depresję klimatyczną.

„Jak widzę przyszłość? Jest za gorąco, nie ma gdzie mieszkać, ciągle wybuchają pożary, nie ma wody. Chyba najbardziej boję się właśnie braku wody zdatnej do picia. Wyobrażam sobie wojny o nią. Zastanawiam się, jakbym sobie poradziła" – mówi. „Jestem zdumiona: to wszystko się już dzieje, naukowcy grzmią, a ludzie nic sobie z tego nie robią" – dodaje.

Kiedy poznali się z Piotrem, chcieli mieć dzieci: marzyli o chłopcu i dziewczynce, wybrali imiona, planowali ścianę, na której maluchy mogłyby rysować. Córka Marty nazywałaby się Gaja.

„Czekaliśmy, chcieliśmy być w stanie zapewnić dziecku fajny dom, bezpieczeństwo. Później, kiedy mogliśmy zacząć się starać, za dużo wiedzieliśmy już o klimacie, śmieciach, kryzysie związanym z ropą naftową. Nie wyobrażam sobie, żeby moje dziecko przechodziło przez te straszne rzeczy. Nie miałoby dobrego życia. Może nie miałyby co jeść" – oświadcza Marta.

Zdecydowali więc, że nie chcą dzieci. Ich zdaniem to wydany z góry wyrok śmierci na ludzi, których powinni kochać.

Rodzice Piotra nie wiedzą. Mama Marty, kiedy ta w końcu zdobyła się, żeby powiedzieć jej prawdę, nie chce zrozumieć. Powtarza, że przecież dzieci to ukoronowanie małżeństwa i największy dowód miłości.

„Nie jest w stanie tego pojąć" – podsumowuje Marta.

Małżeństwo w domu nad jeziorem ma inne plany: chcą założyć pasiekę i zainstalować panele słoneczne.

„Ale nie wiadomo, czy w ogóle zdążymy to zrobić" – ucina moje pytania o przyszłość.

Na końcu rozmowy dziewczyna zastrzega:

„Kiedy napisałaś, że chodzi o wojowniczki, pomyślałam sobie: żadna ze mnie wojowniczka. Nie jestem osobą, która wyjdzie na ulicę i zacznie krzyczeć. Walczę sama, w swojej głowie" – mówi.

***

„Jeśli pochodzi pani stąd, wie pani, że całą wiosnę mieliśmy suszę. Później jeden dzień deszczu, powódź i znowu susza" – mówi doradca gminny.

„Wiem, zalało mój rodzinny dom. Przyszłam do pana, bo za 30 lat będzie zupełnie inaczej. Będą wojny o wodę".

„Osobiście zdaję sobie z tego sprawę, naukowcy ostrzegali latami. Ale z perspektywy tak sobie myślę: człowiek nie decyduje o wszystkim. Może ta Ziemia jakoś się obroni przed człowiekiem?"

ALICJA, 19 LAT

Podkarpacie, ładna i przytulna miejscowość, z zadbanym rynkiem i rzeką. Mieszka w niej kilkanaście tysięcy ludzi.

Alicja twierdzi, że w jej miasteczku produkowanie jak największej ilości śmieci uważa się za awans cywilizacyjny. Nowe przedmioty, w tym często plastikowe, oznaczają bogactwo.

Rodzina i rówieśnicy Alicji nie są przekonani do picia kranówki, używania wielorazowych sztućców czy ubrań z drugiej ręki. Z bambusowym nożem i widelcem dziewczyna wychodzi na dziwaczkę. Pytają, czy brakuje jej pieniędzy, żeby kupić normalne.

„Najgorsze, z czym się spotkałam, to że ktoś nie chciał mnie dotknąć" – opowiada Alicja.

„Dlaczego?"

„Bo mam ubrania z drugiego obiegu, więc się brzydzi. Słyszę: »Serio, nie stać cię na nowe? Nie wstydzisz się wchodzić do lumpeksu?« Ludzie doradzają, że w każdej sieciówce są przecież koszulki po 15 zł" – mówi.

W jej miasteczku ludzie uciekają od tego, co kojarzy się z komuną – od własnych toreb czy używanych ciuchów. Przypominają im trudne czasy i biedę. Wydaje im się, że konsumowanie przybliża ich do bogatego Zachodu.

„Zapraszani goście brak plastikowych butelek z wodą i napojami oceniają jako niegrzeczność. A już na pewno dziwactwo" – stwierdza Alicja. „Ze zdziwieniem reagują na stojący na stole dzbanek. Woda w nim jest filtrowana, ale mówią, że nie ufają takim wynalazkom" – dodaje.

W niedzielę Alicja wybrała się do rodziny. Na stole mięso, alkohol, napoje w plastiku i pieczywo. W rozmowie wychodzi, że dziewczyna nie je mięsa.

„Tutaj mięso uważa się za magiczny pokarm, który ma pomóc na wszystkie niedobory. Słyszę, że nie da się za długo bez niego funkcjonować, a na pewno nie można być zdrowym" – stwierdza.

Opowiadała im wtedy, jak wyglądają rzeźnie, że hodowla zwierząt wytwarza dużo gazów cieplarnianych, że to ogromne zużycie wody i energii. Natrafiła na ścianę. Starała się znaleźć na każdego sposób: z młodszą siostrą jest najłatwiej. Mamie gotuje nowe dania bez mięsa, babcię przekonuje argumentami o zdrowiu.

Kiedyś w przypadkowej rozmowie obca kobieta zaczęła na Alicję krzyczeć, że przez swój wegetarianizm nie będzie mogła kiedyś mieć dzieci, że czekają ją problemy hormonalne. Wreszcie podsumowała: „Jesteś młoda i głupia, ktoś mądrzejszy musi cię pokierować, zanim będzie za późno".

***

„Uważam, że Polska i Europa trochę się zapędziły w produkcji śmieci. Wytwarzamy tych plastików bardzo dużo. Zachłysnęliśmy się dobrobytem. Ale żyjąc w takim świecie jak dzisiaj, człowiek każdej swojej decyzji nie będzie przecież determinował ochroną środowiska" – tłumaczy mi gminny doradca.

„Dlaczego?"

„Pewnie z wygody" – zamyśla się. – „Przychodzi do mnie kilkunastu ludzi tygodniowo. Zazwyczaj są zainteresowani wymianą pieców z węglowych na gazowe" – kontynuuje.

„Dlaczego chcą je wymieniać? Z powodu klimatu?"

Doradca reaguje śmiechem.

„W pierwszej kolejności to kwestia finansowa: ludzie chcą dostać jakieś pieniądze. Później wydaje im się, że w ten sposób unowocześnią sobie życie. Nie będą musieli palić węglem, to dużo pracy. Przemyślenia związane z ekologią pojawiają się może na samym końcu" – tłumaczy.

AGATA, 34 LATA

Małopolska. W listopadzie Agata dowiaduje się o programie obchodów Dnia Niepodległości w jej miasteczku. Jednym z punktów ma być wypuszczenie tysiąca biało-czerwonych balonów. Agata dzwoni do urzędu miasta i mówi, że to niepatriotyczny pomysł.

„Chodzi przecież o zaśmiecenie okolicy niepotrzebnymi odpadami" – tłumaczy. Przez balony giną też ptaki i zwierzęta. Lateks, z którego są wykonane, wcale nie jest przyjazny dla środowiska.

Pracownicy w kolejnych sekretariatach i wydziałach dziwią się, że ktoś może mieć taki problem. Rozmowę przełączają dalej. W końcu trafia do sekretariatu burmistrza: Agata zostaje umówiona na spotkanie już kolejnego dnia.

Przygotowuje się na spotkanie: pisze petycję, szuka alternatywnych sposobów świętowania – ekologicznych. Wierzy, że to potrzebne, bo „przykład powinien iść z góry". Przed gabinetem pojawia się punktualnie i nie czeka długo, maksymalnie 10 minut.

Podczas spotkania burmistrz jest bardzo uprzejmy: słucha i kiwa głową. Choć Agata ma wrażenie, że traktuje ją trochę jak osobę, która chce zepsuć obchody.

Burmistrz zapewnia: polityka miasta jest proekologiczna, mają nawet „takie broszury". Pokazuje. Rozmowa kończy się stwierdzeniem burmistrza w sprawie balonów: „To mało śmieci i jeszcze efekt jest super".

***

„Ale czy zmiana nie powinna iść z góry? Od ludzi, którzy tworzą przepisy i kreują rzeczywistość? W Europie mierzymy ten dwutlenek węgla, wszystkiego pilnujemy. W tym samym czasie na innych kontynentach nic takiego się nie dzieje" – skarży się doradca ekologiczny.

„To pana zdaniem niesprawiedliwe?" – pytam.

„Europa się stara. A mamy jeszcze całą Azję i Afrykę, zupełnie poza kontrolą".

ANASTAZJA, 31 LAT

Pochodzi z Bielawy na Dolnym Śląsku. Bielawa chciałaby być „modelowym miastem ekologicznym", stawia na przyjazną środowisku edukację i infrastrukturę. Tak informuje tamtejszy urząd.

„To miasteczko robotnicze, którego nieodłącznym elementem są ruiny Bielbawu – legendarnego zakładu produkcji tkanin, gdzie kiedyś pracowali wszyscy mieszkańcy. Dzisiaj w Bielawie zostało niewiele prywatnych biznesów, ulice straszą pustymi lokalami z wywieszkami »do wynajęcia«. Wywieszki latami zostają na szybach. Jedyne, co tu działa, to supermarkety i lumpeksy" – opowiada Anastazja.

Starszą, 10-letnią córkę wysłała do szkoły podstawowej, która samą siebie określa mianem „ekologicznej" – podobnie jak tutejsze przedszkole czy gimnazjum. Szkoła informuje na swojej stronie internetowej, że jej uczniowie obsadzają parapety kwiatami, dbają o nie, w korytarzach wieszają proekologiczne plakaty, zbierają zakrętki i baterie.

„Poza zastawą do obiadu w szkole nic nie jest wielorazowe. W klasach brakuje koszy do segregacji odpadów. Po każdej imprezie, jak piknik czy dyskoteka, zostają worki plastiku. To osiedlowy *greenwashing* [z ang. potocznie »ekościema« – red.]" – stwierdza Anastazja.

W walce Anastazji o bycie *less waste* najtrudniejsze jest odmawianie 10-letniej Ninie.

„To wiek, w którym liczy się zdanie rówieśników. Często przychodzi szybka moda na opakowane w plastik zabawki czy gadżety. Wszystkie dzieciaki z osiedla je mają" – mówi Anastazja. „Jesienią ubiegłego roku urodził się jeszcze Stefan. Moja mama powtarza, że pieluchując wielorazowo, żałuję dziecku na pampersy. Radzi, żebym się nie wygłupiała, przecież wymyślili je, żeby mi ulżyć" – dodaje.

Anastazja ma wyrzuty sumienia. Sama dorastała pozbawiona niektórych rzeczy. Mamy albo nie było na nie stać, albo po prostu brakowało ich na półkach.

„Dziś mogę sobie na nie pozwolić, ale nie chcę. Czy jestem winna?" – pyta.

***

„Jest u nas w mieście jakiś ekoaktywista?" – zastanawiam się.

„Myślę, że nie. Jeszcze chyba nie" – odpowiada doradca.

„Pan ma świadomość sytuacji. Może mógłby pan zorganizować jakąś akcję?"

„Z punktu widzenia mojej pracy tak. Tyle że jest ona mocno powiązana z obowiązkami urzędnika. Chodzi pani o takie oddolne działania?"

„Też. Ja mogę pomóc".

„Jak to pani elegancko powiedzieć. Jeślibyśmy tak we dwójkę stanęli z jakimś transparentem, ludzie by nas pewnie wyśmiali".

KAROLINA, 27 LAT

„Chodzi o moją półtoraroczną córeczkę. Strasznie się boję. Chciałabym urodzić jeszcze jedno dziecko, ale mam poczucie, że już Gabrysię skazałam na nieszczęście" – mówi kobieta.

Województwo śląskie, spora wieś pod Częstochową. Są tu różne malutkie sklepy: od spożywczych po meblowe i budowlane. Z większych: trzy sieciowe dyskonty. Dwa razy w tygodniu organizowany jest ryneczek, zaimprowizowany plac, gdzie lokalni rolnicy sprzedają warzywa, owoce i jajka. We wsi działają szkoła, przedszkole, dom kultury, dwa ośrodki zdrowia, poczta, biblioteka publiczna, posterunek policji i stacja kolejowa. Karolina lubi tutaj mieszkać. Zajmuje się dzieckiem, robi własne słodycze, przetwory, prawie wszystkie kosmetyki i środki czystości. Szyje dla siebie i znajomych woreczki na zakupy.

„Moi rodzice prawie każde takie działanie traktują jako fanaberię" – mówi. „Widzą, że w telewizji jakaś celebrytka używa woreczków wielorazowych. Nie mają świadomości, że takich osób jest więcej – więc może moje starania mają sens. Rodzice śmieją się, gdy podczas zakupów zwracam im uwagę, że nie potrzebują woreczka na dwa pomidory" – wyjaśnia.

Karolina nie je mięsa, samochodu używa tylko, gdy musi i załatwia wtedy kilka spraw równocześnie. Kupuje używane ubrania i inne przedmioty. Dla dziecka też minimum: pieluchy są wielorazowe, zabawki robi sama. Ma załamania – kiedyś napisała, że po zakupach w większym sklepie straciła wiarę we wszystko, co robi.

Co mogą zmienić jej starania, skoro ludzie jedną bułkę potrafią zapakować w dwie reklamówki foliowe?

„Nie chcę, żeby Gabrysia oddychała jeszcze bardziej zanieczyszczonym powietrzem, żeby utonęła w śmieciach" – powtarza uparcie dziewczyna.

***

„A czy pan boi się tej katastrofy klimatycznej?"

„Osobiście pewnie się nie boję" – odpowiada doradca.

„Dlaczego?"

„Człowiek z natury nie myśli w perspektywie aż tak dalekiej".

Karolina Anna Kuta
jest dokumentalistką i reporterką. Pisała m.in. dla „Gazety Wyborczej" i „Krytyki Politycznej".
Pracuje nad debiutem dokumentalnym w Bośni i Hercegowinie

Trina Dalziel/Getty Images

Nie ma wody na betonowej pustyni

Susza narasta stopniowo. Czasami możemy tego nie zauważyć, zwłaszcza gdy mieszkamy w mieście i jesteśmy oderwani od przyrody. To, że pietruszka była w 2019 r. tak droga, nie jest tylko efektem suchego lata

Z Sebastianem Szklarkiem rozmawia Martyna Słowik

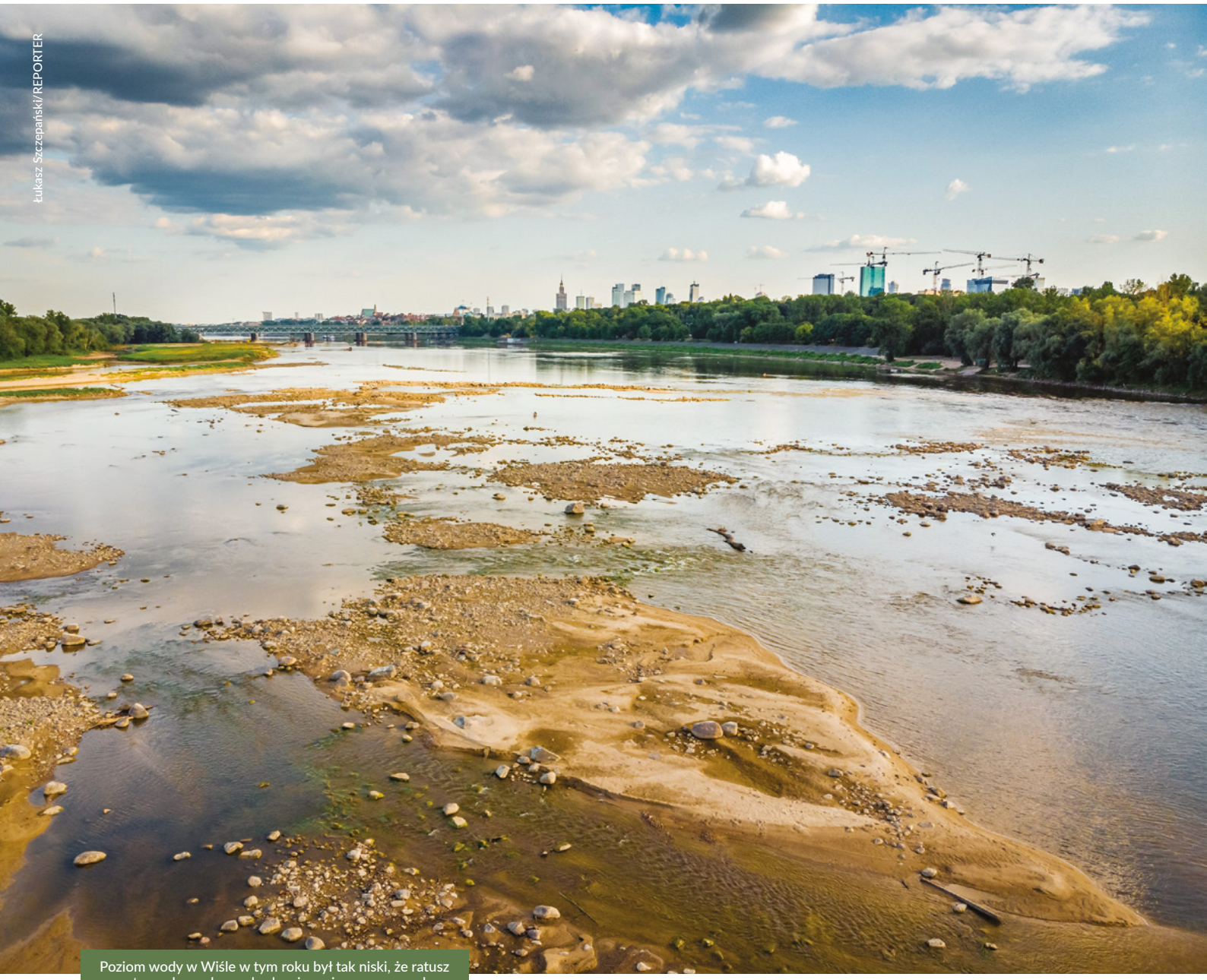

Łukasz Szczepański/REPORTER

Poziom wody w Wiśle w tym roku był tak niski, że ratusz przestrzegał przed przechodzeniem pieszo przez rzekę

MARTYNA SŁOWIK: 3 mld zł – tyle w tym roku stracili w efekcie suszy polscy rolnicy. Ale konsekwencje suchego lata 2019 r. nie ograniczają się tylko do rolnictwa. Na swoim blogu wylicza pan tegoroczne apele 351 gmin o ograniczenie zużycia wody wodociągowej. Dlaczego wodę trzeba było oszczędzać?

SEBASTIAN SZKLAREK: Apele to pośredni skutek suszy. Z powodu braku opadów ludzie zaczęli nagminnie podlewać trawniki, ogródki i uprawy na mniejszych obszarach wodą płynącą z wodociągów. Nadmierny pobór powodował, że wydajność ujęć nie była w stanie zapewnić wystarczającej ilości wody. W mniejszych gminach zużycie jest zwykle projektowane z niewielkim zapasem wydajności. Jego przekroczenie generuje dla gminy duże problemy i jeszcze większe rachunki do zapłacenia. Do tego dochodzą koszty utrzymania infrastruktury, pracowników itd. Wylewamy wodę wodociągową – która jest uzdatniana, co też stanowi koszt – do podlewania ogródków, a moglibyśmy się jej napić... Dlatego powstały te apele.

Czyli gminy obawiały się kosztów, które są generowane przy poborze wody z podziemi, a nie tego, że zabraknie wody dla podstawowych potrzeb?

Po pierwsze, nie możemy ujęć wód podziemnych rozbudowywać w nieskończoność. Nie da się. Tym bardziej że zasoby wód podziemnych potrzebują czasu, żeby się odnowić. Po drugie, w kraju mamy niewystarczający poziom retencji, przez lata byliśmy nastawieni na odprowadzanie wody ze strachu przed powodzią, dlatego ryzyko, że zasoby wody się zmniejszą i jej zabraknie, bo nie zdążą się odnowić, istnieje, a przy przedłużającej się suszy jest coraz większe.

Jak długo odnawiają się zasoby wody podziemnej?

Zależy gdzie. Deszcz powinien wsiąkać w ziemię i dostawać się do gruntu jak najbliższej miejsca, w którym spadł. Gdy weźmiemy pod uwagę naturalny teren, np. lasy, łąki, to połowa tego opadu wsiąka w glebę, najpierw do jej płytszych warstw, a później głębiej. W zależności od tego, z jakim podłożem mamy do czynienia, czy to jest piasek, czy glina, zajmuje to parę dni albo kilka miesięcy, a czasem i lat. Im głębiej woda musi wsiąknąć, tym więcej czasu potrzebuje, aby do tych warstw się dostać.

W miastach, czyli na terenie mocno przekształconym przez człowieka, bardzo niewielki procent wody opadowej może dostać się do gleby i w konsekwencji zasilić wody podziemne. Jeżeli do tego dołożymy obszary rolnicze, które do tej pory były nastawione głównie na odprowadzanie wody – budowano bardzo dużo odwadniających rowów melioracyjnych – to woda bardzo szybko spływa rowami do rzek, a mało jej wsiąka. I zasoby się nie odnawiają.

Po zeszłorocznej suszy zasoby wody podziemnej nie zdążyły się odnowić?

Nie zdążyły. Ostatnio mieliśmy trzy duże susze: 2015, 2018 i 2019 r. Efekt tego, co się nawarstwiło przez pięć lat, widzimy teraz. Nie dość, że mamy suszę rolniczą, apele o ograniczenie zużycia wody wodociągowej, to jeszcze do tego bardzo niski stan rzek, a nawet obniżanie się stanu wód podziemnych. To zagraża przydomowym studniom, ale też niektórym wodociągom, które posiadają płytsze ujęcia. Wszyscy w takiej sytuacji są zagrożeni. Najnowsza prognoza hydrologiczna na wrzesień 2019 r. jest taka, że poziom wód nadal będzie się obniżał. Bieżący rok jest do tej pory najgorszy.

Przez lata bagatelizowaliśmy ten problem?

Po 1997 r., kiedy mieliśmy powódź, która w 2010 r. się powtórzyła, wszyscy chcieli się zabezpieczać przed nadmiarem wody. O suszy nie myślano. Powódź przechodzi szybko, jej negatywne efekty są łatwo zauważalne. Woda szybko opada, później trzeba tylko posprzątać i pomyśleć, co zrobić, żeby tego w kolejnych latach nie było.

A tu nagle przychodzi nie powódź, ale susza. Albo najpierw powódź, a miesiąc później susza.

Susza narasta stopniowo, czasami możemy nie zauważyć, że ona trwa, zwłaszcza gdy na co dzień jesteśmy oderwani od przyrody. Jej skutki mogą być bardzo rozciągnięte w czasie i trudne do zniwelowania. Na przykład to, że pietruszka była w tym roku tak droga, to efekt zarówno tegorocznej suszy, jak i tego, co działo się w latach poprzednich.

Czy jest szansa, że przyroda sama sobie z suszą poradzi?

Gdybyśmy przez lata nie ruszali przyrody i nic jej nie robili, to miałaby mechanizmy obronne. My je w dużej mierze odebraliśmy. Człowiek bardzo mocno ją przekształcił i bardzo silnie na nią oddziałuje. I w tak zmienionych warunkach sobie nie radzi.

Polska znajduje się w grupie państw, którym grozi deficyt wody. Na jednego mieszkańca wypada u nas 1800 m^3 wody na rok, co w trakcie suszy spada poniżej 1000 m^3. Średnia w Europie wynosi 4500 m^3 na rok.

Dlaczego mamy jej mniej niż inne kraje?

Po pierwsze, to wynika z braku retencji. Jak spadnie deszcz, to woda nam ucieka. Po drugie, jest to wynik naszego położenia geograficznego. Wielkość opadów to u nas ok. 600 litrów/m2 na rok. Podobne wartości odnotowywane są w Hiszpanii i Grecji. Mimo że jesteśmy krajem położonym bardziej na północ od tych dwu i chłodniejszym, to powietrze jest u nas bardziej suche, bo jesteśmy bliżej kontynentalnej części Europy. W Polsce spada mniej opadu niż np. w leżącej nad oceanem Francji, nad którą płyną masy wilgotnego powietrza znad oceanu. Deszcz spada w Wielkiej Brytanii, przechodzi przez Francję, Niemcy i się wytraca. Do nas dociera go niewiele. Tak samo dzieje się, gdy idą wilgotne masy powietrza i chmury znad Morza Śródziemnego.

Co możemy zrobić, żeby było lepiej? Na poziomie jednostek, ale i miast, gmin, państwa?

Dużo zależy od naszych indywidualnych wyborów. W domu warto oszczędzać wodę, jak tylko się da. Zaczynając od najprostszych sposobów: prysznic zamiast kąpieli, zakręcanie wody przy myciu zębów czy namydlaniu ciała, niemycie naczyń pod bieżącą wodą, wykorzystywanie wody deszczowej do podlewania roślin, mycia tarasów itp.

Ostatnio szukałem w sieci rozwiązań, które wykorzystują wodę tzw. szarą. To woda z umywalki, której użyliśmy np. do mycia twarzy, golenia, ręcznego prania. Byłaby przetrzymywana w jakimś zbiorniku i zasilała spłuczkę w toalecie. Znalazłem jedno takie rozwiązanie, ale firma, które je oferowała, już w Polsce nie istnieje. Producent ze Stanów Zjednoczonych, do którego napisałem, jeszcze się nie odezwał.

W przypadku mieszkańców polskich blokowisk takie rozwiązanie byłoby chyba trudne do wprowadzenia...

Rzeczywiście, w istniejących blokach jest to problematyczne. Trzeba by przebudować całą infrastrukturę, co byłoby trudne i kosztowne. To jest bariera. Ale od architektów wiem, że w projektach nowego budownictwa mieszkaniowego planuje się wykorzystanie tego rozwiązania i wprowadzenie go na szerszą skalę. Jednocześnie słyszałem o przypadku jednego z deweloperów, oferującego mieszkania w wysokim standardzie, w których była wykorzystywana szara woda w toaletach. Ludziom się to nie podobało, że w mieszkaniach za taką cenę w toalecie jest szara woda. To problem świadomości, przyzwyczajeń i uprzedzeń. Potrzebna jest edukacja.

Ludzie myślą, że szara woda śmierdzi?

Systemy szarej wody mają filtry, które oczyszczają ją z drobnych zawiesin, np. włosków, które mogły się do niej dostać.

Rozwiązanie, które znalazłem, wykorzystywało też tabletki chlorowe, zapobiegające rozwojowi bakterii w takim zbiorniku i przykremu zapachowi. To da się zrobić, ale musi być odpowiednia mentalność ludzi. Woda, która nie jest krystalicznie czysta, nie musi być zła, może być przydatna.

Czyli dla mieszkańców „starych" bloków nie ma nadziei na oszczędzanie i lepsze wykorzystywanie wody?

Nawet jeżeli mieszkamy w bloku, możemy z sąsiadami albo we współpracy ze spółdzielnią próbować retencjonować wodę gdzieś w pobliżu. U mnie w bloku jeden z sąsiadów postawił beczkę przy rynnach odprowadzających wodę z dachu klatki schodowej. Wodą deszczową, którą tam zbiera, podlewa później ogródek pod oknami. Można to zrobić na większą skalę i np. we współpracy ze spółdzielnią postawić większy zbiornik z kranikiem, do którego będziemy zbierać wodę, a później czerpać ją konewką, wiaderkiem itp. Dobrym rozwiązaniem są też ogrody deszczowe, czyli zagłębienia w terenie z roślinnością, która znosi okresowe zalewanie. To połączenie przyjemnego z pożytecznym – taki ogród uatrakcyjnia okolicę, a przy okazji woda zamiast spływać do kanalizacji, powoli wsiąka w grunt.

Gdy w Krakowie uruchomiono program dofinansowań do małej retencji, napisałam e-mail do mojej spółdzielni mieszkaniowej, którą ostatnio bombarduję pomysłami, z prośbą, aby skorzystać z programu i stworzyć na terenie osiedla małą retencję. Bez odbioru...

Polecam wybrać się do nich osobiście. Trzeba pamiętać, że to my wybieramy naszych przedstawicieli. Oddając głosy w wyborach, od samorządowych po parlamentarne, decydujemy, jakie będą kierunki rozwoju. Dużą wagę przykładamy do aspektów związanych ze służbą zdrowia, edukacją, ale bez wody to wszystko nie będzie miało żadnego znaczenia. Bez wody nie ma życia. Rozmawiałem z wieloma starszymi osobami i wiem, że łapanie deszczówki było kiedyś czymś normalnym. Przy ogródkach działkowych wciąż czasami się to robi. W miastach odeszliśmy od natury. Poszliśmy na łatwiznę, bo łatwiej odkręcić wodę z kranu. Miasta rozwijały się szybko, szybciej niż nasza świadomość i postrzeganie problemów, z którymi teraz musimy się mierzyć.

Czy jest pan zwolennikiem wprowadzenia w okresie letnim całkowitego zakazu podlewania ogrodów, mycia samochodów itp. wodą z wodociągów?

Jest to jedno z narzędzi, którego można użyć. Niestety słyszałem, że czasami dzieje się odwrotnie: wodociągi zachęcają do podlewania, tzn. dają odbiorcom możliwość zainstalowania licznika wody przy ogrodzie/trawniku tak, aby w przypadku wody wykorzystanej do podlewania płacić tylko za jej pobór, a nie odprowadzanie [co jest ogromnie korzystne dla podlewającego, bo np. pod Warszawą na cenę 1 m^3 wody składa się 4 zł za samą wodę (pobór), a 8 zł za odprowadzenie – red].

To powinno się ukrócić i gminy mają narzędzia prawne, żeby tego zakazać. Zgodnie z regulaminem wodociągów ich woda dostarczana jest na cele socjalno-bytowe. Czyli podstawowe: higiena i spożywanie. To nie jest woda do podlewania ogrodu.

Pytanie, jak jest i będzie z egzekwowaniem takich zakazów. Obawiam się, że bardzo marnie.

Tak. Po pierwsze, niewiele gmin zdecyduje się na wprowadzenie takiego zakazu, bo wiedzą, że będzie problem z egzekwowaniem, więc czy wydadzą zakaz, czy apel, to większej różnicy nie robi. Egzekwowanie wymagałoby w zasadzie chodzenia od domu do domu i sprawdzania, kto czym podlewa. To byłoby trudne.

Widzi pan inne rozwiązanie?

Dobry jest przykład Wielkiej Brytanii. Tam istnieje wyliczenie określające, ile wody jedna osoba potrzebuje w ciągu dnia na potrzeby socjalno-bytowe, czyli do picia, mycia się, prania, gotowania. Jeżeli przekroczymy oszacowany próg, to wtedy stawka za wodę rośnie kilkukrotnie. Myślę, że w naszym kraju to byłoby dobre narzędzie, znacznie lepsze niż zakaz. Woda wodociągowa jest tania, więc wiele osób nie chce robić sobie kłopotu i np. inwestować w retencję wody deszczowej. Gdyby nie dofinansowania miejskie, to zwrot z takiej inwestycji wymagałby bardzo długiego czasu.

Czyli jedynym skutecznym sposobem, żeby zachęcić do dbania o wodę, są dofinansowania i dotacje, premiowanie osób, które starają się o wodę?

Przy obecnych stawkach za wodę – tak. To jedno z narzędzi, które może zwiększyć zainteresowanie i liczbę inwestycji w wodę. Jednak żeby one w skali kraju przyniosły efekty, powinno być ich dużo.

Czy namawianie do oszczędzania wody wodociągowej indywidualnych odbiorców ma sens, skoro to przemysł i rolnictwo zużywają jej najwięcej? To chyba ich powinno się zmuszać do ograniczeń?

W Polsce 70 proc. pobieranej wody idzie na przemysł, z czego najwięcej na chłodzenie elektrowni. Tymczasem np. w Hiszpanii rolnictwo pobiera aż 66 proc. wody. Czyli mniej więcej tyle, ile u nas przemysł.

To dlaczego w czasie suszy nie wprowadzamy zakazu lub poważnych ograniczeń w poborze wody dla przemysłu? Przecież przemysł pobiera głównie wodę z rzek i jezior, w efekcie cierpią również wody podziemne.

Według polskiego prawa nadrzędnym celem jest zaopatrzenie ludności w wodę pitną. W naszym kraju nigdy nie ogłoszono stanu klęski żywiołowej w związku z suszą, ale jeżeli coś takiego by się wydarzyło, to wojewodowie mają narzędzia, aby wstrzymać pozwolenia wodno-prawne, na podstawie których przemysł pobiera wodę.

Wodę z rzek czerpią też elektrownie...

Nasza energetyka jest oparta na węglu, a tego rodzaju elektrownie muszą być chłodzone i są – wodą z rzek. Tego poboru trudno jest zakazać, bo jak nie będzie prądu, to nam nie dostarczą również wody

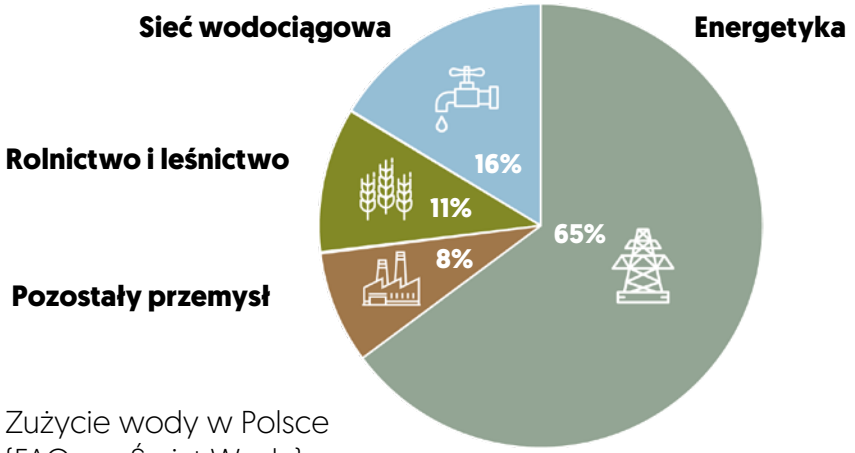

Zużycie wody w Polsce (FAO; za: Świat Wody)

Gdybyśmy przez lata nie ruszali przyrody i nic jej nie robili, **to miałaby mechanizmy obronne. My je w dużej mierze zniszczyliśmy**

– pompy wodne pracują dzięki energii elektrycznej z węgla.

W newralgicznych momentach moglibyśmy część tego prądu zakupić od sąsiadów. Ale jeśli w środkowej Europie będzie susza i nawet sąsiedzi będą mieli problem... Mimo że takie ryzyko jest, to znacznie mniejsze niż np. to, że zabraknie nam wody do picia.

Ryzyko, że zabraknie nam wody pitnej jest małe, średnie, duże?

Wszystko zależy od tego, jakie będą warunki pogodowe. Susze pojawiają się coraz częściej i są coraz dłuższe. Gdy pada, to coraz częściej tak, jak w tym roku – punktowo spada tyle wody, ile powinno spaść w ciągu wielu dni lub miesięcy. Jakiekolwiek formy retencji mogą zatrzymać część tej wody, ale przy tak nawalnych opadach to musi być bardzo dobrze rozwinięta, szeroka retencja w różnej formie.

Jeżeli kolejne lata będą podobne do tego i zeszłego roku, jest takie ryzyko, że wody nam zabraknie. Jednak dzięki temu, że większość wodociągów zaopatruje się w wody podziemne, ryzyko jest nieco zmniejszone, bo zasobów podziemnych nie wykorzystujemy aż tyle. I nie zachęcam do ich większego wykorzystywania. Właśnie dlatego, że potrzebują czasu, żeby się odnowić. Moim zdaniem woda podziemna powinna być wykorzystywana tylko do celów zaopatrzenia ludności. Wszystkie gałęzie gospodarki powinny szukać innych rozwiązań. Jeżeli kolejne lata będą takie suche, to jest ryzyko dla płytszych ujęć. Na razie jednak nigdzie nie zabrakło wody.

A Skierniewice?

To akurat był przypadek, że zwiększony pobór zbiegł się z awarią ujęć wody. Pozostałe ujęcia nie mogły nadążyć za zapotrzebowaniem.

Tego lata przy schronisku na Baraniej Górze wyschła też studnia. Takich miejsc może być więcej. Pamiętam z poprzednich lat, że zdarzały się miejscowości, gdzie ludziom studnie wysychały i dowożono wodę beczkowozami. W latach 2015 i 2018 mniejsze miejscowości miały już problemy.

Sytuacja skierniewicka może się powtórzyć, jeśli susza przez kolejne lata nadal będzie się rozwijała i ujęcia wód podziemnych lub rzeki zaczną wysychać. Spod ich dna, jak np. dno Wisły w Warszawie, pobierana jest woda. Jeżeli Wisła by wyschła tak, że mielibyśmy suchy piasek na całej szerokości rzeki, co jest raczej mało prawdopodobne, to dla części Warszawy wody może zabraknąć.

W 2016 r. Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej uruchomił program „Stop suszy!". Co się w nim znalazło i jak pan go ocenia?

W ramach planu przygotowano po pierwsze analizę historyczną – gdzie susze występowały, jak długo, jak były intensywne i które sektory gospodarki najmocniej to odczuły. Po drugie, co zrobić, żeby nie powtarzały się one w przyszłości.

Czy plan oparty na analizie historycznej ma sens, skoro zmiany klimatyczne postępują i mamy nową sytuację?

Jak najbardziej tak. Na to, czy wystąpi np. susza rolnicza, nakłada się wiele elementów, nie tylko brak opadów. Gdy zestawimy je wszystkie razem, widzimy, jak dany region kraju jest wrażliwy na deficyt opadów. Zmiany klimatu będą miały wpływ na występowanie suszy w przyszłości, ale program „Stop suszy!" ma horyzont sześcioletni. Nie da się dokładnie przewidzieć, co będzie w ciągu kolejnych sześciu lat. Wiemy, że zmiany klimatu powodują większe parowanie (tracimy więcej wody) oraz krótsze i intensywniejsze opady.

Czy plan przeciwdziałania skutkom suszy poza ogólnymi sformułowaniami – przywracanie mokradeł, renaturyzacja rzek itd. – zawiera konkretne operacyjne rozwiązania, które należy wdrożyć?

Nie ma konkretnych wskazań typu: „pod Poznaniem powinniśmy budować mokradła". Ten program jest wynikiem tego, co nakładają na nas przepisy unijne i krajowe. Po konsultacjach społecznych i zatwierdzeniu zostanie on ogłoszony – w 2020 albo w 2021 r. Przez kolejnych sześć lat powinniśmy realizować rozwiązania, które są tam zawarte. W grę wchodzą rozwiązania twarde, inwestycyjne, czyli np. coś gdzieś budujemy, mokradło albo zbiornik wodny. Oraz rozwiązania administracyjne – takie jak weryfikacja pozwoleń na pobór wody, i edukacyjne, bo bez edukacji nie da się tego zrobić.

Jakie warunki atmosferyczne są potrzebne, żeby zażegnać suszę?

W czerwcu czytałem komentarze ekspertów. Żeby obecna susza się cofnęła i zanikła, powinno przez trzy miesiące padać trochę większym kapuśniaczkiem. Byłby to opad, który miałby dużą szansę w większej ilości wsiąknąć w ziemię niż spłynąć po jej powierzchni do rzek, a nimi do zbiorników. A zachmurzeni przyniosłoby trochę niższe temperatury, więc parowanie byłoby mniejsze.

Co można zrobić, żeby spać spokojniej i nie martwić się o wodę?

Po pierwsze – samemu oszczędzać, ile się da. Po drugie, wywierać nacisk i rozmawiać z instytucjami, które mamy najbliżej siebie, a które mogą coś zmienić, żeby tę wodę retencjonować. Po trzecie, dzielić się wiedzą i edukować otoczenie. I dokonywać mądrych wyborów przy urnach.

Sebastian Szklarek
jest ekologiem i doktorem ochrony środowiska w zakresie ochrony wód. Prowadzi bloga Świat Wody

Jak konsumować media? Poradnik dla początkujących i średnio zaawansowanych

W świecie postprawdy fakty są bez znaczenia. Niezależnie od tego, co myślisz – napiszemy ci taki tekst, który chcesz przeczytać. Który ci się spodoba i potwierdzi twoją wizję świata. Bo takie jest zadanie mediów w wersji 2.0 – spełniać oczekiwania swojej wiernej publiczności (i swojego redaktora naczelnego).

Obok dwie wersje artykułu o policyjnej ochronie pomnika smoleńskiego w Warszawie. W rolę nowoczesnego dziennikarza dwukrotnie wciela się Łukasz Grzesiczak

Ilustracje Agnieszka Sozańska

Bunt w śląskiej policji?

Funkcjonariusze mają dość ministra Mariusza Kamińskiego i obowiązkowej służby w Warszawie

Łukasz Platfus

Nadgodziny, mniejsza liczba patroli na katowickich ulicach, kilkudniowa nieobecność w domach, która przekłada się na rozpad więzi rodzinnych. W katowickiej komendzie wrze. Wszystko za sprawą obowiązkowych wyjazdów do Warszawy, gdzie śląscy policjanci pilnują pomnika smoleńskiego.

„Mamy dość, jesteśmy na skraju buntu, tak dalej być nie może" – słyszymy od katowickich policjantów. „To jest hańba dla munduru" – mówi nam anonimowo jeden z oficerów. Żaden z nich, co zrozumiałe, nie zdecydował się powiedzieć nic pod nazwiskiem. Przyznają, że ministerstwo na każdą krytyczną uwagę reaguje represjami. „Te przypominają najgorsze praktyki dawnych czasów" – tłumaczą. Prawdopodobnie wielu doświadczonych funkcjonariuszy myśli o przejściu na wcześniejszą emeryturę.

Skąd takie nastroje? To efekt ostatnich miesięcy. Katowiccy policjanci zmuszani są do wyjazdów do stolicy. Według zdobytych przez nas informacji w ciągu ostatnich sześciu miesięcy 50 katowickich policjantów spędziło w sumie w stolicy 200 dni. Tam pełnią wielogodzinną i bezsensowną służbę na placu marszałka Józefa Piłsudskiego i pilnują Pomnika Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r.

Ten zrealizowany na przekór wielu mieszkańcom Warszawy pomnik według projektu artysty rzeźbiarza Jerzego Kaliny odsłonięto 10 kwietnia 2018 r. Za jego budową stał Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010.

[Tu znajdzie się wypowiedź architekta, któremu pomnik się nie podoba].

Nic więc dziwnego, że pomnik stał się obiektem kpin i żartów warszawiaków. Tuż po jego odsłonięciu dwóch nastolatków zostało zatrzymanych i pouczonych przez funkcjonariuszy tylko dlatego, że przejechali się na hulajnogach w jego pobliżu. Policja notorycznie niepokoi młodych deskorolkowców, którzy wykorzystywali teren przy pomniku do swoich akrobacji. Warto zaznaczyć, że w przypadku innych miejsc pamięci policja rządzona przez funkcjonariuszy PiS nie jest tak wyczulona. „A pod Witosem tamte dzieciaki ciągle kick-flipy" – śpiewa przecież Taco Hemingway.

Katowiccy policjanci zwracają uwagę, że atmosfera, która panuje w policji, sprawia, że nie mogą odmówić wyjazdu do Warszawy, by tam ochraniać pomnik smoleński. Podczas bezsensownej pracy w Warszawie nie mogą pełnić służby w Katowicach. W tym czasie śląskie ulice oddane są na pastwę złodziei i rzezimieszków. „Dodatkowo na naszych ciągłych wyjazdach cierpią rodzinne więzi. Dla nas, Ślązaków, rodzina jest bardzo ważna, a brak możliwości zjedzenia w niedzielę z rodziną domowych karminadli z modrą kapustą to opresja" – tłumaczy policjant.

Śląscy policjanci na pomoc stolicy

Funkcjonariusze chwalą ministra Mariusza Kamińskiego: „Mamy szansę na służbę w Warszawie”

Łukasz Pisiak

Galerie, spacery nad Wisłą i darmowa wizyta w Centrum Nauki Kopernik bez kolejki. Katowiccy policjanci mają okazję odwiedzić stolicę. Chętnych nie brakuje. Wielu z nich ostatni raz było tam na szkolnych wycieczkach. Mają także szansę podziwiać bryłę pomnika smoleńskiego.

Plan jest prosty: kiedy warszawska policja narzeka na brak funkcjonariuszy, wspierają ją ochotnicy z Katowic. Dla wielu z nich to okazja do podreperowania budżetu, dla innych szansa na poznanie stolicy. Inni mówią po prostu o odpoczynku od trudnej śląskiej służby. „Chętnych jest więcej niż miejsc. Wielu z nas zgłosiło się od razu, by tylko zdążyć przed innymi” – mówi nam anonimowo jeden z policjantów. Nie chce ujawnić personaliów, by nie wyjść na egoistę i nie nabawić się kłopotów u kolegów.

Jak w przesłanej wszystkim redakcjom informacji prasowej informuje Komenda Stołeczna Policji, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy 50 katowickich policjantów spędziło w sumie w stolicy 200 dni. Patrolują plac marszałka Józefa Piłsudskiego, przy którym znajdują się m.in. urokliwy ogród Saski, Grób Nieznanego Żołnierza, a od niedawna Pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r.

Ten – po długich oczekiwaniach wielu mieszkańców – odsłonięto dopiero 10 kwietnia 2018 r. Za budową pomnika stał Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010, zaprojektował go ceniony artysta plastyk, scenograf i rzeźbiarz Jerzy Kalina.

[Tu znajdzie się wypowiedź architekta, któremu pomnik się podoba].

Na razie przyjezdni policjanci – ze względu na słabą znajomość Warszawy – są kierowani do pracy w okolicach tego popularnego placu w centrum miasta. „Praca jest prosta. Nie pamiętam w zasadzie żadnego problemu poza drobnymi incydentami z użytkownikami hulajnóg czy deskorolek. Warszawiacy chętnie podchodzą do nas, czasem zagadują i mówią, że dzięki nam czują się bezpieczniej” – mówi jeden z naszych rozmówców. Policjanci narzekają jedynie na posłów opozycji, którzy nawołują do niestosownego zachowania. „Co, niszczą te schody?” – lekceważąco pytał np. poseł PO Andrzej Halicki.

Katowiccy policjanci podczas służby w Warszawie często tęsknią za Śląskiem. „Dla nas, Ślązaków, rodzina jest bardzo ważna, a brak możliwości zjedzenia w niedzielę z rodziną domowych karminadli z modrą kapustą to opresja” – komentuje ironicznie jeden z policjantów. Jednak dzięki temu nowatorskiemu programowi mogą lepiej poznać Warszawę, odetchnąć po służbie w jednym ze stołecznych parków, zintegrować się i lepiej poznać warszawskich kolegów. Dla wielu służba przy pomniku jest okazją do przezwyciężenia popularnej na Śląsku niechęci wobec Warszawy.

Ratowanie demokracji

Głos protestu, eksperci na liście krajowej, oddzielenie wyborów do sejmu i senatu, ograniczenie liczby kadencji posłów i możliwość ich wcześniejszego odwołania. To obok jednomandatowych okręgów wyborczych najpopularniejsze pomysły na uratowanie naszej demokracji. Które z nich sprawdziłyby się w Polsce?

Z profesorem Bartłomiejem Michalakiem rozmawia Łukasz Grzesiczak

Simone Golob/Getty Images

ŁUKASZ GRZESICZAK: Znowu wybory, znowu te same twarze ludzi, którzy politykę traktują jako intratną fuchę, a nie pracę na rzecz dobra wspólnego. Może lepiej byłoby wprowadzić ograniczenie liczby kadencji dla naszych parlamentarzystów? Będą posłami tylko osiem lat, a potem wrócą do swoich dawnych zajęć.

BARTŁOMIEJ MICHALAK: Takie rozwiązanie bywa stosowane. Przykładowo prezydent w Polsce może pełnić swoją funkcję tylko dwie kadencje z rzędu. Wiele mówi się o tym też w przypadku wyborów samorządowych, w których wskazujemy wójtów, burmistrzów i prezydentów.
To ma być sposób na przewietrzenie lokalnych urzędów w miejscowościach, gdzie włodarze sprawują swoje urzędy czasami jeszcze od czasów PRL.

W przypadku wyborów samorządowych ten pomysł pada bardzo często. Czy jest możliwe zrealizowanie go w wyborach parlamentarnych?

Możliwe jest wszystko. Osobiście nie widzę przeciwwskazań natury konstytucyjnej, chociaż pewnie pojawiłyby się głosy, że narusza to zasadę mandatu wolnego, a nawet biernego prawa wyborczego.

Kiedy wprowadzimy to rozwiązanie?

Medal ma zawsze dwie strony. Plusem zaproponowanej przez pana drogi jest odświeżenie zabetonowanej klasy politycznej. Z drugiej strony wymusza ona permanentną zmianę i zaciąg nowych ludzi, często bez doświadczenia. Będą musieli je dopiero zdobywać, a na to potrzeba czasu. Stracilibyśmy też polityków, których przecież popierają wyborcy i którzy zostając wybrani w demokratycznych procedurach, mają społeczny mandat.

Ludzie będą mieli okazję zagłosować na innych.

Głosujemy na polityków często w taki sposób, w jaki wybieramy marki: sięgamy po tych, do których mamy zaufanie i którzy naszym zdaniem się sprawdzają.

Senatorów i posłów wybieramy co prawda innym sposobem...

Przeprowadzone m.in. przeze mnie badania pokazują, że głos senacki jest zdeterminowany głosem sejmowym. Czyli głosując na partię A do sejmu, jednocześnie głosuję na jej kandydata do senatu.

Bo wybieramy ich w tym samym momencie. Są kraje, gdzie kadencja sejmu i kadencja senatu się ze sobą nie pokrywają. Np. w Czechach kadencja posłów trwa cztery lata, a kadencja parlamentu sześć, ale co dwa lata jest wymieniana jedna trzecia jego składu.

To rozwiązanie techniczne...

Ale wpływa na jego skład. Partia rządząca nie może przez całą kadencję sejmu bagatelizować roli senatu i traktować go wyłącznie jako maszynkę wyborczą, bo i tak ma w nim większość. A to obserwowaliśmy ostatnio w Polsce.

To prawda. Istnieje szansa, że po dwóch latach, przy wymianie jednej trzeciej senatorów wygra partia opozycyjna i będzie mogła blokować w senacie pomysły rządu.

Czyli to dobre rozwiązanie?

Zależy od punktu widzenia i od tego, jaki skutek chcemy osiągnąć. Jeżeli celem jest zwiększenie niskiej frekwencji w Polsce, to pamiętajmy, że rozdzielenie wyborów do sejmu i senatu zaowocuje jej spadkiem.

Doskonale widać to na poziomie wyborów uzupełniających do Senatu, gdzie frekwencja sięga 3–5 proc. Wtedy znów można byłoby podjąć wątek, że senatorami zostają osoby, które mają znikomą legitymizację wyborców.

Wybory uzupełniające to jednak nie wybory krajowe.

Nie sądzę, by przy tak przeprowadzonych wyborach do senatu frekwencja była wyższa niż przy wyborach do Parlamentu Europejskiego. Te cieszą się w Polsce małym zainteresowaniem, nie licząc tych ostatnich, ale dobrze wiemy, że Polacy masowo poszli do urn z innych powodów niż zainteresowanie sprawami europejskimi. Zrobiono z tej elekcji sparing przed wyborami parlamentarnymi.

Politycy musieliby się w końcu dogadać i przerwać wojnę polsko-polską.

Tak, liberalna dyrektywa podziału władzy zmusza do kompromisu. Proszę jednak zauważyć, że to nie byłaby zmiana radykalna, senat nie ma aż tak wielkich kompetencji. Stąd pytanie raz jeszcze: jaki jest sens istnienia senatu? W mojej ocenie w obecnym kształcie nie wpływa on znacząco na jakość podejmowanych decyzji i tworzonego w Polsce prawa.

Podczas wyborów musimy pamiętać o osobach, które zdradziły swoich wyborców. **Musimy też pamiętać o partiach, które wystawiły na swoich listach przypadkowych polityków**

Powstaje jeszcze problem: po co nam w ogóle senat? Jego rola w polskim systemie jest mało jednoznaczna. Wśród ekspertów i badaczy prawa wyborczego w Polsce pojawiają się pomysły odwrotne.

To znaczy?

Popularny jest pomysł kumulowania wyborów jednego dnia. Do senatu, sejmu, samorządów itd.

Zafundujemy sobie władzę jednej partii na wszystkich szczeblach...

Przy forsowanym przez pana rozwiązaniu senat stałby się ciągłym poligonem, miejscem, gdzie bada się nastroje przed właściwymi wyborami. Skutkiem byłaby nieustanna kampania wyborcza. Prawdopodobnie występowałyby opozycyjne przechylenia, ale z drugiej strony one utrudniałyby rządzenie. W ten sposób moglibyśmy sobie zapewniać permanentny kryzys polityczny.

Rządzący też potrzebują spokoju. Musimy sobie zdać sprawę, że mandat uzyskany w demokratycznych wyborach daje rządzącym prawo do zmiany rzeczywistości. Nawet jeżeli nam to się nie podoba.

Polska bez senatu! Stąpa pan profesor po cienkiej linie...

To prawda. Kiedy SLD chciał zlikwidować senat, przypominano o referendum z 1946 r., w którym likwidacja tej izby stała się elementem przejęcia władzy w Polsce przez komunistów.

Chociaż trzeba pamiętać, że w I Rzeczypospolitej senat nie był osobną izbą, tylko jednym z trzech elementów sejmu – obok króla i izby poselskiej. Osobną izbą senat stał się w okresie międzywojnia, a, jak wspomniałem, w okresie PRL został zlikwidowany. Pierwsze całkowicie wolne wybory w PRL przeprowadzone były właśnie do senatu w 1989 r. Wtedy ta izba stała się symbolem wolności.

Więc jak ten senat powinien wyglądać?

Brytyjczycy mają senat stanowy, ale to spadek po ich historii. Być może senat w Polsce należałoby uczynić izbą skupiającą przedstawicieli regionów? Zrezygnować wtedy z bezpośrednich wyborów senatorów, ale postawić na osoby nominowane przez samorządowców? Senat mógłby też przyjąć charakter bardziej elitarny, a w jego skład mogliby wchodzić byli prezydenci i premierzy.

Każdy wybrany przez nas przedstawiciel ma wolny mandat. Dziś głosują na niego wyborcy partii A, a kiedy polityk dostanie dobrą ofertę od partii B, przepisuje się do niej. Jego wyborcy mają wówczas związane ręce. Odwołać takiego posła, senatora czy radnego nie można...

W demokratycznym systemie mandat wolny jest podstawą ustrojową i polityczną. Inaczej poseł narażony byłby nie tylko na gniew wyborców, ale i na polityczno-lobbystyczne gry tych, którzy mają siłę, żeby przeprowadzić procedurę impeachmentu czy referendum odwoławczego.

Bardzo dobrą ilustracją tej tezy są polskie referenda w sprawie odwołania wójtów i burmistrzów. W pewnym momencie trzeba było podnieść próg autoryzacji takiego referendum, bo jaki to problem zebrać podpisy? Dochodziło do sytuacji, gdzie odwoływano daną osobę, a potem ona znowu wygrywała wybory. Nie tędy droga.

Więc jesteśmy skazani na radnych takich jak Wojciech Kałuża, który po ostatnich wyborach samorządowych wszedł do sejmiku województwa śląskiego z list Nowoczesnej, aby prędko przejść do PiS. Zmieniło to układ sił, a PiS przejęło władzę w województwie.

Nie do końca. Powinniśmy bardziej się interesować działaniami naszych przedstawicieli, wymagać od mediów, by nie przestawały monitorować ich poczynań.

Podczas wyborów musimy pamiętać o osobach, które zdradziły swoich wyborców. Musimy też pamiętać o partiach, które wystawiły na swoich listach przypadkowych polityków, i o tych, które przyjęły posłów. Nie stawiałbym na ograniczenia instytucjonalne, a na mądrzejsze korzystanie z karty wyborczej.

Ciągle słyszymy, że frekwencja jest za niska. 40 proc. Polaków idzie zagłosować, z tego połowa wybiera obecny rząd. Tak naprawdę decyduje o wszystkim 20 proc. głosujących. Pozostałych 80 proc. narzeka.

Nie fetyszyzowałbym frekwencji.

Czyli postulatu obowiązkowego głosowania z pana ust nie usłyszymy?

Nie.

Dlaczego?

Podstawowy powód ma charakter wolnościowy. To ja decyduję, czy biorę udział w wyborach. Wysoka frekwencja nie jest rozwiązaniem – proszę sobie wyobrazić osobę, która czuje się niekompetentna w przypadku wyborów. Dlaczego mamy zmuszać ją do tego, by zagłosowała na kogoś przypadkowego? Ma rzucić monetą? Iść do wróżki? Posłuchać politycznych hochsztaplerów?

We Włoszech czy Belgii za niegłosowanie były różne kary. A w krajach latynoamerykańskich taka osoba nie dostanie kredytu z państwowego banku lub nie będzie mogła pracować w administracji publicznej. To latynoamerykańskie rozwiązanie mnie jakoś tam przekonuje: jeżeli nie dajesz nic państwu, nie oczekuj od niego niczego w zamian. Może trzeba zmienić podejście, nie karać, tylko nagradzać. Może warto pomyśleć o uldze podatkowej dla osób głosujących.

Od tego też kompetencji im nie przybędzie. Po prostu ktoś pójdzie, zagłosuje na przypadkową osobę, żeby dostać ulgę w podatku.

Dlatego nie jestem zwolennikiem fetyszyzowania frekwencji. Z reguły najwięcej wyborców mamy, kiedy jest bardzo wysoki poziom sporu politycznego. Ale czy to jest dobre dla systemu?

Pewnie nie.

Weźmy Chile przed dyktaturą Pinocheta. Przypomnę, że bardzo wysoka frekwencja była też w Niemczech w latach 30. To doskonałe przykłady na to, że wysoka frekwencja połączona z bardzo silnym zaangażowaniem wyborców prowadzi z reguły do konfrontacji polityczno-społecznej.

A kratka „przeciwko wszystkim"? Idę zagłosować, spełniam obowiązek obywatelski, ale nie popieram żadnego kandydata.

Jestem za. Wprowadzenie takiej opcji poszerza wybór, a ja wyraźnie wówczas artykułuję, że nie mam na kogo zagłosować. Takie rozwiązanie działa na rzecz poprawy jakości oferty politycznej, to wyraźny sygnał dla elit politycznych, że coś jest z nimi nie tak.

Dlaczego więc takie rozwiązanie w Polsce nie funkcjonuje?

Przeciwnicy mówią, że ono delegitymizuje system.

Jest pan zwolennikiem głosowania przez internet?

W tym momencie nie widzę takiej możliwości. Nie ma na to ani zgody politycznej, ani przygotowanej infrastruktury. Pamięta pan zarzuty, że sfałszowano wybory samorządowe w Polsce w 2014 r.? Nikt nie przedstawił żadnych przekonujących dowodów; mało tego, pracował zespół niezależnych ekspertów, który badał wylosowane karty do głosowania. Nie zauważono żadnych systemowych nieprawidłowości. Na szczęście były fizyczne karty do głosowania, do których można było zajrzeć. Proszę sobie wyobrazić, że przy tak dużym poziomie politycznego sporu i nieufności politycznej nie istnieje fizycznie karta do głosowania, którą można sprawdzić,

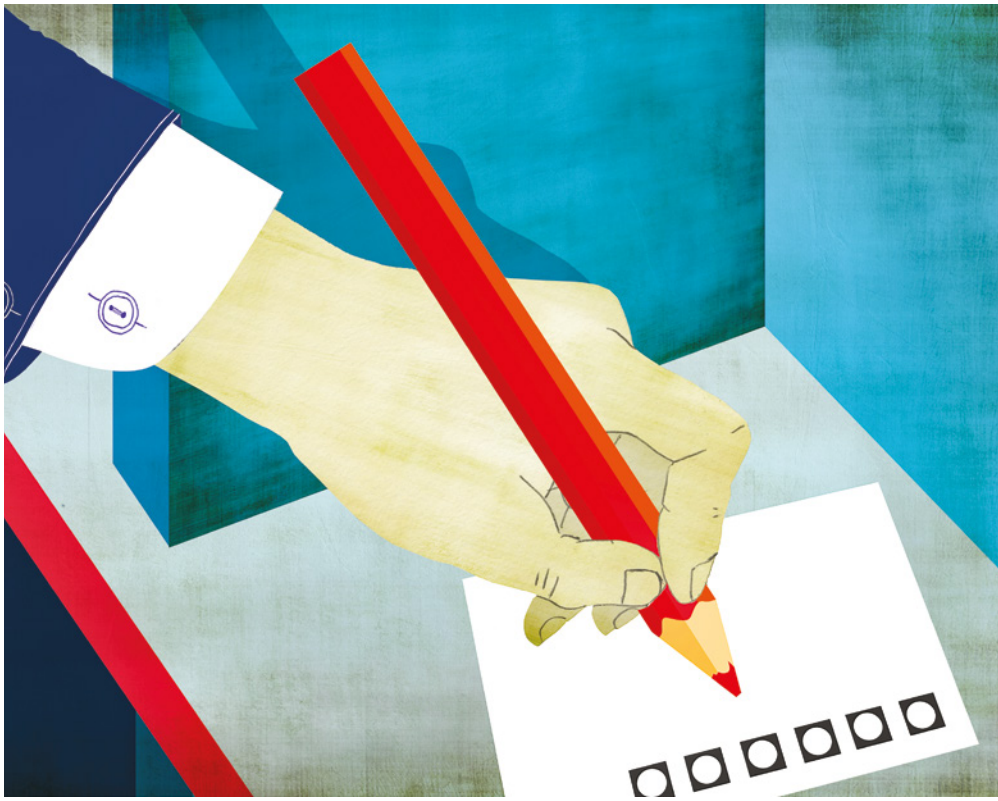

Simone Golob/Getty Images

a wszystkie dane są wirtualne. Nie mówię już o ewentualnym zainteresowaniu obcych państw takim procesem wyborczym.

Teraz Polacy mieszkający za granicą głosują na listę warszawską...

...Bo to jest najłatwiejsze dla organów wyborczych.

I teraz PiS wystawia w wyborach do senatu lekarza z Chicago, ponieważ liczy na te 100 tys. głosów oddawanych przez Polaków za granicą. To liczba, która może przeważyć o zwycięstwie kandydata.

Partia wychodzi naprzeciw wyborcom mieszkającym za granicą.

Warszawiakom senatora ma wybrać amerykańska Polonia?

Rozumiem argument, że często są oderwani od polskiej rzeczywistości i nie ponoszą odpowiedzialności za swoje decyzje. Nie wyobrażam sobie odebrania im prawa głosu, to polscy obywatele. Myślę, że lepiej byłoby po prostu nie zliczać ich głosów do listy warszawskiej, ale do list zgodnych z ich ostatnim miejscem zamieszkania w Polsce. W ten sposób mieliby prawo głosu, a te 100 tys. głosów rozpłynęłoby się po całym kraju.

Wyobraźmy sobie, że partia dysponuje specjalistami, którzy nie są w stanie uwieść wyborców w pełnej emocji kampanii. Dlatego proporcjonalnie do zdobytych głosów wprowadza do parlamentu osoby, które nie zostały poddane bezpośredniemu procesowi wyborczemu, a były wytypowane według własnego uznania.

Proponuje pan powrót do listy krajowej.

Tak, tylko nie chciałem użyć tej nazwy, bo w Polsce jest zdyskredytowana.

Lista krajowa to dodanie kolejnego ogólnokrajowego poziomu wyborczego. Dla mnie to żaden problem. Trzeba jednak pamiętać, że partie w ten sposób mogą upchnąć niekoniecznie specjalistów, ale po prostu mniej popularnych polityków. Dlatego to rozwiązanie było tak krytykowane. Wątpię, by udało się Polaków znów do niego przekonać. Z drugiej strony, czy to wartość, o którą warto toczyć boje? Kiedy partia chce komuś zapewnić mandat, po prostu wystawia go na pierwszym miejscu w biorącym okręgu.

Politycy sobie poradzą, myślę, że powinniśmy bardziej pomyśleć o rozwiązaniach wspierających wyborców. ◎

Bartłomiej Michalak
jest profesorem na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, politologiem. Specjalista z zakresu prawa wyborczego i referendalnego, teorii systemów wyborczych oraz partii politycznych i systemów partyjnych, ekspert Fundacji im. Stefana Batorego w Warszawie

Władza z przypadku

A może lepiej dać sobie w końcu spokój z głosowaniem i w kolejnych wyborach władze państwowe po prostu wylosować?

Dominika Kardaś

Trzeba to powiedzieć – twój głos się nie liczy. Statystycznie rzecz biorąc, to, czy pójdziesz na wybory, nie ma żadnego znaczenia. Nie ma też absolutnie żadnego znaczenia, na kogo zagłosujesz.

A mimo to co wybory kilkanaście milionów Polaków idzie głosować. Rzadko jednak przychodzi nam do głowy, że „święto demokracji" jest de facto dniem zrzeczenia się praw przez prawie 40-milionowy naród na rzecz grupy kilkuset parlamentarzystów. W pewnym więc sensie, głosując, przyczyniamy się otwarcie i bez najmniejszej żenady do odebrania ludowi władzy.

Absurdów jest tu bez liku. Kpiną z wyborcy jest choćby to, że tylko w dwóch przypadkach wyborca ma pewność, kto otrzyma jego głos: kiedy oddaje go na kandydata na senatora albo prezydenta – czyli na stanowiska o bardzo ograniczonych kompetencjach.

LOTTOKRACJA

Nie zawsze tak było i wcale nie musi tak być. Może to dziwić, ale Ateńczycy uznaliby prawdopodobnie panujący w naszym kraju ustrój nie za demokrację, lecz za elekcyjną oligarchię.

„Za cechę demokratyczną uchodzi, że się urzędy obsadza przez losowanie, za oligarchiczną zaś, gdy się to dzieje przez wybór" – pisał w *Polityce* w IV w. p.n.e. Arystoteles.

W Atenach stosowano bowiem nie demokrację przedstawicielską, a lottokrację (inaczej: demarchię) – rządzących wybierano drogą losowania. W ten sposób przydzielano w sumie ponad 7 tys. stanowisk w mieście liczącym kilkadziesiąt tysięcy obywateli. Nie były potrzebne umiejętności autopromocji, wysoko postawiony protektor ani wypchana kiesa. Każdy obywatel miał równe szanse na objęcie urzędu.

Aby uniknąć łapówkarstwa i kumoterstwa, demarchię (albo jej elementy) wprowadzały w czasach późniejszych także republiki miejskie, m.in. Wenecja i Raguza (dzisiejszy Dubrownik).

HUMORZAŚCI WYBORCY

Podobno Sokrates drwił z lottokracji, twierdząc, że to tak, jakby losować sternika łodzi spośród załogi. No bo jak to? Przypadek miałby decydować, kto będzie rządził naszym krajem? Prawda jest taka, że o tym, czyje nazwisko ostatecznie zakreślimy na liście, także decydują przypadkowe zdarzenia.

Według analizy ekonomistki Federiki Liberini z angielskiego Uniwersytetu w Bath osoby, które owdowiały w ciągu ostatnich dwóch lat przed wyborami, wykazują mniejsze poparcie dla aktualnie sprawującego władzę rządu. A bywa też, że na nasze decyzje wpływ mają dużo bardziej

Jonathan Croft/Getty Images

błahe okoliczności. Troje amerykańskich naukowców – Andrew Healy, Neil Malhotra i Cecilia Mo – przeprowadziło badania, które pokazały, że osoby sprawujące urząd mogą liczyć na lepszy wynik, jeśli w ciągu dziesięciu dni przed wyborami lokalna drużyna sportowa wygra mecz.

Jak z kolei pokazała analiza szwajcarskich naukowców, wpływ na decyzje wyborców może mieć nawet brzydka pogoda. W artykule R*ain, Emotions and Voting for the Status Quo* wykazywali, że jeżeli w dniu referendum pada deszcz, obywatele mniej chętnie głosują za wprowadzeniem zmian.

MINISTER Z LUDU

Jednym ze zwolenników wprowadzenia lottokracji we współczesnej polityce jest filozof z Uniwersytetu w Pensylwanii Alexander A. Guerrero. W artykule *Against Elections: The Lottocratic Alternative* kreśli własny pomysł na powrót do ateńskiej demokracji.

Wprowadzenie lottokracji wiązałoby się z ogromnymi zmianami. Guerrero proponuje całkowite rozwiązanie parlamentu i powołanie w to miejsce wielu organów ustawodawczych, z których każdy liczyłby 300 posłów (liczba sugerowana dla Stanów Zjednoczonych) wybranych losowo spośród dorosłych obywateli.

Każdy zajmowałby się jedną dziedziną: edukacją, transportem czy służbą zdrowia. Wiadomo zatem, że wylosowani posłowie w tych sferach – przynajmniej na początku kadencji – nie byliby ekspertami (z drugiej strony: czy obecni politycy nimi są?). Dlatego każde posiedzenie miałoby się rozpoczynać od wysłuchania opinii specjalistów w sprawie, która będzie później dyskutowana.

PIJANI WŁADZĄ

Jarosław Flis zauważa, że takie pomysły pojawiają się dość często jako odpowiedź na kryzys demokracji przedstawicielskiej. Politolog zauważa pewne płynące z lottokracji zagrożenia.

„Ciekawi mnie, jak szybko osoby wybrane na urzędy drogą losowania będą odrywać się od rzeczywistości, tak jak odrywają się często obecni politycy" – mówi. „O upojenie władzą nietrudno, a trzeba pamiętać, że członkowie partii przechodzą w jej strukturach pewną szkołę politycznej kooperacji, trening radzenia sobie z tym wyrzutem dopaminy do mózgu, jaki powoduje u człowieka władza. Osoby wyłonione przez głosowanie mogą być na to bardzo mało odporne".

Zdaniem Guerrery system oparty na losowaniu zapobiegałby jednak tworzeniu się politycznych koterii. Zlikwidowałby także problem choroby, na jaką z czasem zapada większość rządzących: postrzeganiu polityki w perspektywie kilkuletniej kadencji. Lottokracja umożliwia także większe zróżnicowanie społeczne i demograficzne rządzących, w których nadal na całym świecie dominują panowie po czterdziestce.

Filozof zaznacza, że doświadczenie na własnej skórze tego, jak działa państwo i jego instytucje, byłoby świetnym sposobem na podwyższenie świadomości politycznej społeczeństwa. Lottokracja wreszcie – *last but not least* – mogłaby być także szansą na zakończenie przedwyborczych cyrków, które partie urządzają za pieniądze z budżetu państwa.

DEMARCHIA W PRAKTYCE

Oczywiście jest to ustrój mało jeszcze wypróbowany i nie wiemy, jak sprawdzałby się współcześnie w społecznościach dużo większych niż ateńskie polis czy dawna Wenecja.

Panele obywatelskie stosowano jak dotychczas doraźnie w miastach takich jak Gdańsk czy Madryt, a w Irlandii przeprowadzono konsultacje społeczne z losowo wybranymi obywatelami w sprawie wprowadzenia małżeństw jednopłciowych i legalizacji aborcji. Już niedługo będziemy mogli się jednak przekonać, jak rozwiązania lottokratyczne działają w nieco większej skali: od września w Niemieckojęzycznej Wspólnocie Belgii (jednostce administracyjnej obejmującej kantony przy granicy z Niemcami) zaczęło funkcjonować stałe zgromadzenie obywatelskie złożone z 50 losowo wybranych osób powyżej 16. roku życia. Jego skład ma być reprezentatywny dla przekroju demograficznego regionu, a koszty udziału w obradach pokrywane są z budżetu Wspólnoty.

Zgromadzenie będzie pełniło funkcję doradczą przy radzie obywatelskiej regionu. Oznacza to, że szeregowi obywatele będą mogli proponować nowe rozwiązania prawne i przedstawiać projekty do realizacji z budżetu państwa, a także zabierać głos w sprawach dyskutowanych przez belgijski parlament. Ten zaś będzie miał obowiązek odnieść się do pomysłów i opinii przedstawionych przez mieszkańców.

I choć zgromadzenie samo w sobie nie ma żadnej mocy ustawodawczej, jest to pierwszy tak szeroko zakrojony eksperyment lottokratyczny we współczesnej polityce. Jeśli wypali, być może stanie się precedensem do wprowadzania takiego systemu w innych miastach, regionach, a nawet państwach. Bo skoro podejmujemy ryzyko oddania głosu politykom, być może z czasem dojrzejemy do tego, żeby oddać głos samym sobie? ◎

Dominika Kardaś
jest dziennikarką portalu Holistic News. Współprowadzi podcast „Audioplastykon". Z wykształcenia polonistka

Badania pokazały, że osoby sprawujące urząd mogą liczyć na lepszy wynik, jeśli w ciągu 10 dni przed wyborami lokalna drużyna sportowa wygra mecz

Papież, który został bożkiem

W Polsce nie mówi się w zasadzie, że pontyfikat Jana Pawła II był niemal autorytarny. Karol Wojtyła utożsamił Kościół i katolicyzm z samym sobą. Polacy nagle zbudzili się ze słodkiej drzemki i zauważyli, że oto nasz papież tolerował takie zjawiska jak pedofilia w Kościele

Z profesorem Stanisławem Obirkiem rozmawia Szymon Piegza

SZYMON PIEGZA: Czy kult papieża Polaka pomaga dziś polskiemu Kościołowi w uporaniu się z własnymi problemami?

STANISŁAW OBIREK: Zjawisko to nie jest jeszcze do końca opisane. Jeśli śledzi się wypowiedzi biskupów, kazania księży, publikacje wydawnictw katolickich, można odnieść wrażenie, że papież Polak jest absolutnym przewodnikiem duchowym oraz interpretatorem historii. On po prostu wszędzie jest obecny.

Kiedy jednak przeglądamy zagraniczne publikacje dotyczące religii, okazuje się, że obecność myśli naszego papieża jest wręcz śladowa. Byłem na kilku konferencjach w USA związanych z obchodami Soboru Watykańskiego II i tam był przypominany raczej dorobek Jana XXIII i papieża Franciszka, natomiast o Janie Pawle II i Benedykcie XVI zbytnio nie wspominano.

Z czego wynika ta różnica w postrzeganiu Jana Pawła II w Polsce i na świecie?

Być może przede wszystkim z tego, że Jan Paweł II w Polsce nie tyle jest odbierany jako myśliciel religijny, ile raczej jako uosobienie triumfu Kościoła Katolickiego nad znienawidzoną filozofią marksistowską. Dla większości polskich duchownych i publicystów katolickich jest on głównie alternatywą po pierwsze dla – jak to sam Wojtyła chętnie nazywał – „cywilizacji śmierci", a po drugie – dla relatywizmu kulturowego. Dla polskiego papieża to było jedno i to samo, bo „cywilizację życia" utożsamiał z chrześcijaństwem i jego konserwatywną wykładnią, którą sformułował w całym swoim pontyfikacie.

Ten czarno-biały obraz, namalowany przez naszego papieża, odpowiada wrażliwości wielu polskich katolików. To sukces kontekstowy, a nie fakt ustalony w ogniu dyskusji i krytyki. Typowy produkt bezrefleksyjnej, apologetycznej akceptacji wszystkiego, co wyszło spod pióra czy z ust polskiego papieża.

Wróćmy więc do pytania: jak ów kult wpływa na problemy, wobec których stoi dzisiaj Kościół w Polsce?

Widać niechęć, nieumiejętność czy wręcz niemożność przyjęcia ciemnej strony Kościoła. Każda ludzka instytucja jest narażona na nieprawidłowości, a instytucja niepoddana krytyce jest narażona szczególnie. Jak powiedział wielki myśliciel katolicki, lord Acton: „Każda władza korumpuje, ale władza absolutna korumpuje w sposób absolutny".

Jego diagnoza w kontekście polskiego Kościoła jest bardzo wyrazista: korupcja nie musi mieć charakteru wulgarnych łapówek, może być niechęcią wobec refleksji i akceptacji tego, że również ludzie Kościoła popełniają błędy. Warto pomyśleć o niej także w kontekście długiego pontyfikatu Jana Pawła II.

Ten pontyfikat trwał prawie 30 lat. Jakie błędy popełnił Karol Wojtyła, będąc papieżem?

W Polsce nie mówi się w zasadzie, że pontyfikat Jana Pawła II był niemal autorytarny. Od Soboru Watykańskiego II funkcja ta była oswojona z demokracją, spieraniem się różnych racji, ale kiedy w Stolicy Apostolskiej pojawił się Karol Wojtyła, wszystkie krytyczne głosy zostały wyciszone. Teologowie, którzy mieli inne zdanie, byli poddawani szykanom. W tym samym momencie bardzo mierni duchowni zaczęli zajmować eksponowane stanowiska jako biskupi, kardynałowie, szefowie kongregacji itd.

Można się dziś zastanawiać nad tym, czy Jan Paweł II wiedział o wielu nieprawidłowościach. Na pewno jednak promował tych, którzy wygłaszali czołobitne deklaracje – dobrymi przykładami są założyciel Legionu Chrystusa Marcial Maciel Degollado czy biskup Wiednia Hans Groër. Ta litania nazwisk jest długa. Wymiana kadr, do której doszło po 1978 r., sprawiła, że w Kościele nie rozmawiano o wielu problemach – w tym o tych, przed którymi stoi dzisiaj polski Kościół.

Nagle, po premierze *Kleru* Wojciecha Smarzowskiego czy *Tylko nie mów nikomu* braci Sekielskich, Polacy zbudzili się ze słodkiej drzemki i zauważyli, że oto nasz papież tolerował takie zjawiska jak pedofilia w Kościele. Niestety ta bezrefleksyjność to przede wszystkim polskie zjawisko.

Dlaczego?

Gdyż w USA czy w Europie Zachodniej ten pontyfikat od początku budził wielkie kontrowersje i polaryzował ludzi. Nie był i nie jest odbierany tak bezkrytycznie jak u nas.

Nadal część polskich wiernych, a nawet wysoko postawionych biskupów nie dopuszcza myśli, że nasz papież nie poradził sobie z niektórymi problemami.

Trzeba powiedzieć mocniej: nie tyle sobie nie poradził, ile po prostu ich nie podejmował, nie uważał w ogóle za ważne. Lista priorytetów, które sobie ustawił, była zupełnie inna. Wojtyła wyraźnie tkwił w paradygmacie teologicznie zaznaczonym w okresie konfrontacji między kontrreformacją a kościołami zreformowanymi. Poza tym jego kapłaństwo przypadło na czas walki Kościoła z komunizmem. On sam, gdy znalazł się już w Rzymie, nie zapomniał o tym doświadczeniu.

Niestety kiedy Karol Wojtyła uzyskał władzę absolutną jako papież, utożsamił Kościół i katolicyzm z samym sobą. Wzmocniło to tragiczne doświadczenie zamachu, z którego cudem wyszedł, co zinterpretował zresztą mistycznie: że Bóg czy Matka Święta zacho-

Beata Zawrzel/REPORTER

Szlaga/REPORTER

Gadżety z JPII: brelok – 3,30 zł, magnes na lodówkę – 8,70 zł, zeszyt w kratkę – 1,15 zł

wali go, by przeprowadził Kościół przez burzliwe odmęty współczesności.

To jest coś, z czym polski świecki i katolik nie chcą się pogodzić – nie chcą przyjąć do wiadomości, że największy w dziejach Polak, który pokonał hydrę komunizmu, ma rysy na swoim wizerunku.

Ostatnio ten temat powrócił, gdy obecny papież zainsynuował, że Karol Wojtyła wiedział o pewnych nadużyciach, ale nic z nimi nie zrobił. Później Franciszek tłumaczył, że Jan Paweł II był oszukiwany.

Często brzmi to tak, że nie wiedział, bo nie chciał wiedzieć. Albo wiedział, ale to ukrywał.

To bardzo skomplikowane procesy myślowe, których nigdy nie poznamy do końca. Wojtyła prawie 50 lat żył w przeświadczeniu, że nagłaśnianie skandali obyczajowych czy współpracy z reżimem było wykorzystywane przez SB, by kompromitować Kościół. Nasz papież chciał przede wszystkim chronić własną jedność i dlatego bardzo łatwo było mu krytyczne głosy o Degollado (który zbierał jednak na Kościół miliony) tłumaczyć wrogimi masońsko-marksistowskimi.

Tak, służby komunistyczne konfrontowały się z Kościołem, ale zakończyło się to w 1989 r., czyli 30 lat temu. Najwyższy czas, żeby z taką wykładnią zerwać. Tej mentalności najbardziej hołduje kard. Dziwisz, który uważa, że Jan Paweł II bronił ofiar księży pedofili. Ludzie pokroju Dziwisza są przekonani, że bronią czystości i prawdy Kościoła, a wszyscy, którzy choćby o tych problemach rozmawiają – jak pan czy ja – są od razu wrogami Kościoła.

A nie jesteśmy?

Trzeba podjąć pewien wysiłek hermeneutyczny, żeby dokładnie zrozumieć źródło kontrowersji czy polaryzacji, jakie istnieją w polskim społeczeństwie. W USA to oczywiste, że takie rozmowy są potrzebne. Niektórzy biskupi zostali już osądzeni, np. kard. Bernard Law – twarz Kościoła, który nie chciał przyjąć prawdy o pedofilii. Wiele amerykańskich diecezji i zakonów otarło się o bankructwo, płacąc odszkodowania ofiarom.

To nie żadna metafizyczna walka z chrześcijaństwem, ale bój o przywrócenie mu ewangelicznej misji, czyli stawania po stronie ofiar, a nie po stronie przestępców. Ten sposób oczyszczania jest bolesny i trudny, ale musi się dokonać.

Czy „pokolenie JPII" to jedynie wymysł mediów, czy faktyczny fenomen polskiego Kościoła?

To zupełnie sztuczna konstrukcja i pusty zbiór. Osobiście wolę się posługiwać kategoriami obecnymi w kulturze amery-

kańskiej, które różnice łączą z metryką, a nie doświadczeniami pokoleniowymi. Tak więc mamy do czynienia z pokoleniem X czy określanym jako milenialsi Y lub z obecnym iGen, czyli pokoleniem wyrosłym wraz ze smartfonem.

Czyli kochaliśmy papieża przede wszystkim za to, że był Polakiem, czy faktycznie większość społeczeństwa podzielała jego poglądy na temat feminizmu, antykoncepcji, homoseksualizmu?

Większość Polaków po prostu nie zna poglądów Jana Pawła II, więc trudno, by je podzielała. Takie zagadnienia jak feminizm, antykoncepcja i homoseksualizm nie są zresztą żadnymi poglądami, ale zespołem przesądów, które wyrastają z ignorancji. Tę ignorancję można przezwyciężyć, ale nie sprzyjają temu ani edukacja szkolna, ani tym bardziej wychowanie kościelne.

Może nie znamy poglądów, ale jednak w niemal każdym polskim domu są święte obrazki lub różańce z Janem Pawłem II.

To nie jest dobry sposób wyrażania swojej wiary. Zamiast zawieszać takie czy inne obrazy, lepiej, gdyby polscy katolicy zaczęli czytać Pismo Święte. Kiedyś zauważono, że Europa dzieli się na kraje protestanckie oraz kraje, w których nie czyta się Biblii. Polska niestety potwierdza tę zasadę.

Dlaczego w takim razie tyle u nas pomników papieża Polaka? Skąd ta potrzeba gigantomanii?

Od samego początku twierdziłem, że to zły sposób popularyzacji katolicyzmu, a tym bardziej chrześcijaństwa. Wprost przeciwnie: liczne pomniki są dodatkowym argumentem dla przedstawicieli innych wyznań chrześcijańskich, którzy twierdzą, że rzymski katolicyzm to przykład idolatrii. Moje obawy podziela wiele osób.

Papież Franciszek surowo zabronił stawiania mu pomników w rodzinnej Argentynie. Myślę, że wcale by go nie ucieszyło, gdyby Polacy zaczęli budować mu takie statuy czy wieszać obrazy. Natomiast na pewno ucieszyłaby go zmiana nastawienia Polaków do uchodźców czy klimatu. To, co dzieje się na polskich ulicach i placach, jest więc raczej wolą sfrustrowanego kleru i wielu biskupów, którzy nie potrafiąc głosić Ewangelii, koncentrują się na brzydkich pomnikach.

Pomniki pomnikami, jednak nigdy nie kwestionowałem wielkości naszego papieża i nigdy nie miałem wątpliwości co do zasadności jego beatyfikacji czy kanonizacji. Zawsze uważałem natomiast, że trzeba wyraźnie dookreślić, dlaczego on był wielki.

Dlaczego więc?

Prawdziwa wielkość Jana Pawła II jest w Polsce absolutnie pominięta. Ta polega zaś na jego słowiańskim dziedzictwie, które umożliwiło poszerzenie spektrum zagadnień poruszanych przez głowę Kościoła katolickiego. Tutaj należy wymienić dwa dokumenty o absolutnie fundamentalnym znaczeniu: encyklikę *Slavorum Apostoli*, w której Jan Paweł II przypomniał rolę Cyryla i Metodego w chrystianizacji całej słowiańszczyzny, i list apostolski *Orientale Lumen*, w którym dowartościował wkład wschodniego chrześcijaństwa, zwłaszcza prawosławia rosyjskiego. Nie tylko zresztą wkład polskiego papieża w dialog międzyreligijny jest nie do przecenienia.

Większość Polaków po prostu nie zna poglądów Jana Pawła II, więc trudno, by je podzielała

To znaczy?

Przede wszystkim nastąpiło dowartościowanie dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Widać było gołym okiem, że Jan Paweł II kochał judaizm i kochał Żydów. Gdziekolwiek się pojawił, mówił o ich cierpieniu, o Holokauście, osobiście przyjaźnił się z Żydami, mówił o nich jako o starszych braciach w wierze. Jako pierwszy papież wszedł do synagogi i wielokrotnie później powtarzał ten gest. Włożył modlitwę „jak pobożny Żyd" do Ściany Płaczu w Jerozolimie z przeprosinami za chrześcijański grzech antysemityzmu.

Poza tym również podczas swoich licznych pielgrzymek do krajów z mniejszością chrześcijańską (zwłaszcza w Azji) Jan Paweł II wielokrotnie dawał wyraz szacunku dla innych tradycji religijnych, zwłaszcza hinduizmu i buddyzmu. Jego słynne spotkania w letniej rezydencji papieży w Castel Gandolfo z intelektualistami reprezentującymi różne światopoglądy to konkretny przykład otwarcia na świat nauki.

Zaniedbania Wojtyły nie umniejszają jego wielkości. Brakuje mi w Polsce normalnej rozmowy o blaskach i cieniach tego pontyfikatu. Niestety u nas się albo kocha, albo nienawidzi.

Czy przestaliśmy już, jak pan kiedyś powiedział, wierzyć, że Jan Paweł II zastępuje Jezusa Chrystusa?

Wierzę, że to się zmieniło. Najlepszy przykład: w Licheniu zniknął pomnik księdza Makulskiego, który był pedofilem. Myślę, że takich gestów trzeźwości będzie więcej.

Widzę tę zmianę nawet na poziomie mojej rodziny. W 2005 r. moja decyzja o rezygnacji z zakonu i kapłaństwa była dla bliskich absolutnym szokiem, a dziś jestem dla nich tym, kim byłem. Mam swoją opinię, ale oni ją szanują. Tylko moja mama, która jest bardzo pobożną kobietą, pyta mnie czasem, czy to trzeba tak mocno mówić. Ja uważam, że trzeba przede wszystkim rozmawiać. Ludziom potrzebna jest dziś detoksykacja od tej papolatrii. Ludzie od ponad 40 lat byli narkotyzowani kultem jednostki.

Czy nie boi się pan, że rozliczenie polskiego Kościoła może obalić pewne autorytety?

Dotykamy istoty samego chrześcijaństwa. Nasza wiara to szukanie prawdy objawionej w Jezusie Chrystusie. Budowanie własnej wiary na autorytecie takiego czy innego biskupa jest bardzo ryzykowne. A co, jeśli nagle coś trudnego wyjdzie na jaw? Wiara runie?

Autorytet jest rzeczą względną i kontekstową. Boję się, że za 100 czy 200 lat polski katolicyzm przełomu tysiącleci będzie wspominany jako infantylny i oparty wyłącznie na autorytetach. Jako model wiary uciekającej od odpowiedzialności.

Stanisław Obirek
jest historykiem, antropologiem kultury. Były jezuita (wyświęcony w 1983 r.), wystąpił ze stanu duchownego w 2005 r. po wygłoszeniu serii krytycznych ocen polskiego katolicyzmu i nakazów milczenia. Profesor zwyczajny, pracuje w Instytucie Ameryk i Europy Uniwersytetu Warszawskiego

Duży zysk, jeszcze większy wyzysk

Hendrik Jonas/Getty Images

„Polskie państwo nie potrafi odpowiednio reagować na przypadki wyzysku, np. na niewolniczą pracę Ukraińców. Kiedy podobnie traktowano Polaków w Wielkiej Brytanii, tamto państwo zareagowało. Szybko i skutecznie" — mówi autor książki *Urobieni. Reportaże o pracy*

Z Markiem Szymaniakiem rozmawia Martyna Słowik

MARTYNA SŁOWIK: Jaka z historii pracowników, które opisuje pan w swoich reportażach, była dla pana najtrudniejsza, najbardziej szokująca?

MAREK SZYMANIAK: Pani Żeni, Ukrainki, która przyjechała do Warszawy sprzątać domy bogatych ludzi. Do tej pory, gdy o tym myślę i rozmawiam, przechodzą mnie ciarki.

Dlaczego?

Pani Żenia to osoba z wykształceniem. W swoim kraju była główną księgową, dobrze zarabiała. Jednak jej firma zaczęła podupadać. Sytuacja na Ukrainie była coraz gorsza, nie tylko pod kątem rynku pracy, a ona chciała zapewnić swoim dzieciom, które sama wychowywała, dobry poziom życia. Zależało jej na dodatkowych lekcjach, kursach językowych dla nich. Zdecydowała się więc na przyjazd do Polski i pracę fizyczną. Po części za namową koleżanki, która powiedziała pani Żeni, że za polską pensję nie dość, że sama się utrzymuje, to jeszcze może wysłać pieniądze swoim dzieciom na Ukrainie.

Niestety pani Żenia, delikatnie mówiąc, trafiła do domu rządzonego bardzo twardą ręką, w którym majętna pani, posiadająca ogromny dom na warszawskim Mokotowie, traktowała ją nieludzko. Zwracała się do niej jak do niewolnicy, stosowała przemoc psychiczną. Zabraniała używać odkurzacza i mopa, kazała na kolanach szorować każdy milimetr podłogi. Gdy zauważyła najdrobniejszy pyłek — krzyczała, wyzywała, przeklinała. Pani Żenia pracowała od rana do nocy. Żyła w klitce z malutkim oknem pod sufitem, którą jej wydzielono. Była tam szafa, ale nie mogła z niej korzystać. Wisiały w niej tylko rzeczy, które przed chwilą wyprasowała dla swojej pracodawczyni.

Niewolnictwo w XXI w.?

To był handel ludźmi. Straszne, że człowiek, który do nas przyjeżdża, bo chce utrzymać swoją rodzinę, zostaje w taki sposób potraktowany. Ciężko pracowało mi się nad tą historią.

Dlaczego?

Pani Żenia opisywała wszystko ze szczegółami. Zdarzało się, że łamał jej się głos, płakała. Musieliśmy czasami przerywać rozmowę. Nie było mi łatwo tego słuchać, szczególnie że opowieść była bardzo osobista. Z drugiej strony wiedziałem, że to trzeba opisać. Widziałem też wolę i dużą determinację w pani Żeni, aby dokończyć tę opowieść. W trudnych momentach zmienialiśmy temat, później wracaliśmy do tego, co bolesne.

Pani Żenia uciekła z domu oprawczyni. Rozmawiał pan z synem kobiety, u której pracowała i która ją maltretowała. Co panu powiedział?

Mówił, że niewiele z tych czasów pamięta. Ale przyznał, że Ukrainki były zatrudniane w domu jego matki i że ona lubiła porządek, miała też trudny charakter. Jednocześnie twierdził, że to niemożliwe, aby ktoś w ich domu był tak nieludzko traktowany.

Kilka lat po tych dramatycznych chwilach pani Żenia znowu szukała pracy. Zadzwoniła pod numer z jednego z ogłoszeń, odebrała jej oprawczyni z Mokotowa. W książce jest fragment o tym, jak pani Żenia jej wtedy wygarnęła. Domyślam się, że i przed panią Żenią, i po pracowały w tym domu inne Ukrainki i nie były traktowane lepiej niż ona.

Kilka tygodni temu głośna była sprawa Wasyla Czornego z Ukrainy, który pracował koło Nowego Tomyśla w zakładzie produkcji trumien. Po tym jak zasłabł w pracy, szefowa wywiozła go do lasu i porzuciła. Mężczyzna zmarł. Osierocił trójkę dzieci.

Takich spraw jest więcej. Przed rokiem polski pracodawca, u którego ukraińska pracownica doznała udaru, też wywiózł ją na przystanek zamiast od razu wezwać pogotowie. Wszystko po to, aby nie wyszło na jaw, że zatrudniał ją nielegalnie. W 2017 r. innej Ukrainie pracującej w maglu w Luboniu maszyna wciągnęła, a następnie zmiażdżyła i spaliła rękę. Udało się ją wyciągnąć dopiero po 40 minutach, ale lekarze musieli ją amputować. Proces w tej sprawie trwa, lecz pracodawca jest oskarżony tylko o to, że dopuścił ją do pracy bez koniecznych pozwoleń, orzeczeń lekarskich i szkoleń z bezpieczeństwa pracy.

Drastyczne historie się powtarzają. Pewnie nie do wszystkich z nich docierają dziennikarze.

W latach 90. wybraliśmy drapieżną formę kapitalizmu, która na pierwszych miejscach stawia zysk, wzrost wskaźników gospodarczych, a dopiero na kolejnych podmiotowość i godność człowieka, który je wypracowuje

W zakładzie pracy, z którego pracodawczyni wywiozła Ukraińca do lasu, byli inni pracownicy, którzy widzieli, że zasłabł i że po tym zniknął. Bali się mówić. Jeden z nich, również Ukrainiec, pomagał szefowej tuszować sprawę. Dlaczego w takich sytuacjach nikt nie reaguje?

To pokazuje, w jakim stopniu pracownicy są zastraszani, jak bardzo boją się o swoją przyszłość. Praca Ukraińców w Polsce to wielki temat. Smutne jest to, że nasze państwo nie potrafi odpowiednio reagować.

W swojej książce opisałem też Polaków emigrujących za pracą do Wielkiej Brytanii i w okolice. Karol, jeden z bohaterów, trafił do fabryki Sports Direct. To było miejsce, które brytyjskie media również opisywały jako współczesny gułag. W przeciwieństwie do Polski, brytyjskie państwo zareagowało na te doniesienia. Powstała specjalna komisja, która badała sprawę, wyciągnięto konsekwencje. U nas przedsiębiorca, który wywiózł Ukrainkę z udarem na przystanek, dotąd nie poniósł konsekwencji, bo sąd uznał jego winę, ale warunkowo umorzył sprawę, nie wymierzając kary ze względu na niską społeczną szkodliwość czynu. Na szczęście prokurator zaskarżył ten wyrok i proces będzie przeprowadzony ponownie.

Pokazuje to, jak kiepsko działają państwo i sądownictwo, które miało zostać naprawione, ale niestety niewiele się tu zmieniło na lepsze. Pracownik, który jest traktowany w tak okrutny sposób, którego prawa są łamane, nie pójdzie do sądu, widząc, że w innych przypadkach nieuczciwi pracodawcy unikają kary. Pracownicy są pozostawieni sami sobie. Są bezradni.

Zatrudnianie na czarno, praca ponad siły, w niebezpiecznych czy urągających godności warunkach. Co jeszcze jest problemem polskiego rynku pracy?

Po pierwsze, brak stabilności zatrudnienia, czyli umowy śmieciowe. Jeden z bohaterów mojej książki pracujący w instytucji kultury jako PR-owiec miesiącami czekał na pensję. Tkwił w cho-

rym systemie, uzależniony od wypłat raz na pół roku, bo taka jest specyfika dotacji i grantów, z których jest finansowane jego stanowisko. Po drugie, wysokość wynagrodzeń, czyli problem biednych pracujących. Osób, które pracują zazwyczaj więcej niż osiem godzin na dobę, a zarabiają bardzo mało, bo przez lata, całkowicie legalnie, można im było płacić 3 czy 4 zł za godzinę. Mimo tego, że pracują nie 160 godzin, ale 250 albo 300, ledwo im wystarcza od pierwszego do pierwszego, albo i nie.

Minimalna stawka godzinowa teoretycznie tę patologię ukróciła, ale często słyszałem od moich rozmówców, że są sposoby, aby prawo ominąć. Dzieje się tak zwłaszcza w przypadku usług, które są outsourcingowane. Na przykład osobie sprzątającej instytucję lub firmę prywatną daje się stawkę minimalną za godzinę, ale odejmuje za dzierżawę mopa, a w ochronie — za wynajem munduru. Polscy nieuczciwi przedsiębiorcy wykazują się dużą kreatywnością.

Równość szans? Łatwo nam o niej mówić, kiedy urodzimy się w Warszawie w zamożnym domu, założymy start-up i zarobimy milion

Może sytuacja byłaby lepsza, gdyby organ nadzoru i kontroli nad przestrzeganiem prawa pracy, czyli Państwowa Inspekcja Pracy, wykonywał swoje zadania?

Słabość Państwowej Inspekcji Pracy w Polsce to kolejny problem. Kary, które PIP może nakładać, są śmiesznie małe, więc firmom opłaca się łamać prawo i niektóre chętnie to robią, ewentualne grzywny wliczając w koszta. PIP może ukarać mandatem w wysokości jedynie 2 tys. zł. Kiedy jest to recydywa, kara wynosi 5 tys. zł. Średnia kara przyznana w 2016 r. to ok. 1200 zł. Inspektorzy pracy mogą złożyć wniosek o ukaranie przedsiębiorcy do sądu, wtedy grozi mu nawet 30 tys. zł grzywny, ale sądy rzadko sięgają po taki wymiar. Średnia to 2,4 tys. zł. W dodatku przez lata, gdy PIP chciał skontrolować konkretnego przedsiębiorcę, musiał zapowiadać swoją wizytę. To na szczęście się zmieniło.

Bezrobocie w Polsce wynosi obecnie ok. 5-6 proc. Ten wskaźnik jest często przywoływany i wykorzystywany przez rządzących w propagandzie sukcesu. Mówią: mamy jednocyfrową stopę bezrobocia, najniższą od lat, nigdy nie było tak dobrze. Pana reportaże pokazują coś innego. To jak jest naprawdę?

Wskaźnik stopy bezrobocia mówi nam, ile osób jest bez pracy, ale niczego więcej. Trudno na jego podstawie wyciągnąć szerokie i pogłębione wnioski. Rynek pracy w Polsce nie ma jednej twarzy i jednego poziomu. Czym innym jest rzeczywistość rynku pracy w dużych miastach, takich jak Warszawa, Poznań, Trójmiasto czy Kraków. Tam łatwiej o pracę, ofert jest więcej, można zmienić pracodawcę, osiąga się też lepsze zarobki. Ale rzeczywistość rynku poza wielkimi miastami jest inna, a pamiętajmy, że miliony Polek i Polaków żyją w mniejszych miasteczkach i wsiach. Tam nie ma dużego, a czasem żadnego wyboru pracodawców. Nawet teraz, kiedy bezrobocie w Polsce wynosi ok. 6 proc., są miejsca, gdzie przekracza 20 proc., jak np. w powiecie szydłowieckim czy braniewskim. Średnia 6 proc. nie mówi nam nic o małych miejscowościach.

Pochodzę z Krasnegostawu, małej miejscowości na Lubelszczyźnie. Śledzę tam profil z aktualnymi ogłoszeniami o pracę. Niedawno szukano osób do zbioru truskawek. Wprost napisano, że oferują 10 zł za godzinę, co jest poniżej godzinowej stawki minimalnej, a więc niezgodne z prawem. Mimo tego ludzie się zgłaszają, co oznacza co najmniej dwie rzeczy: że ta oferta nie jest najgorsza i nie odbiega od innych w tym regionie oraz że ludzie nie mają większego wyboru i zgłaszają się do takiej pracy, jaka jest. Zgadzamy się na takie umowy, bo z jednej strony nie mamy wyjścia. Z drugiej być może nadal pokutuje w nas wpojone w trakcie transformacji gospodarczej przekonanie, że jesteśmy kowalami własnego losu i jeżeli będziemy dużo pracować, damy z siebie wszystko, to dojdziemy na sam szczyt.

Rzeczywiście, po części wynika to ze skrajnie indywidualistycznego liberalnego modelu, który został nam zaszczepiony. Wiele osób urodziło się w paradygmacie *American dream* i bezkrytycznie go przyjęło. Nie wyobraża sobie, że może być inaczej, i nie dostrzega, że ich słabą pozycję w relacji z pracodawcą można na różne sposoby wzmocnić. To pokłosie tego, że w latach 90. wybraliśmy drapieżną formę kapitalizmu, która na pierwszych miejscach stawia zysk, wzrost wskaźników gospodarczych, np. PKB, a dopiero na kolejnych podmiotowość i godność człowieka, który je wypracowuje.

Jest szansa, żeby było inaczej?

W teorii to społeczeństwo decyduje, w jakim kierunku zmierza kraj, jaki ma być jego model gospodarczy, bo to wybrany demokratycznie rząd realizuje jego wolę, wprowadzając odpowiednie reformy. Jeżeli wybierzemy ludzi, którzy będą mieli w programach wyborczych bardziej wrażliwą społecznie gospodarkę, wzmocnienie Państwowej Inspekcji Pracy, ożywienie związków zawodowych, skrócenie czasu pracy albo chociaż rozpoczną debatę na ten temat, to wtedy jest szansa, że coś się zmieni.

W programie obecnego rządu nie ma chyba żadnego z wymienionych przez pana postulatów?

Rząd podjął pewne działania, które są uważane za społeczne i propracownicze. Kilka lat temu wprowadzono np. minimalną stawkę godzinową, której brak powodował wiele patologii. Jednak obiecywano o wiele więcej, np. zlikwidowanie śmieciówek, ale w tym kierunku niestety nic nie zrobiono. Widać, że świat pracy nie jest priorytetem obecnie rządzących. Można chwalić za minimalną stawkę godzinową, ale trzeba ganić za otwieranie furtek do legalnego wyzysku. Mam tu na myśli ustawę wprowadzającą nowy rodzaj umowy cywilnoprawnej — umowę o pomocy przy zbiorach, nazywanej ustawą o parobkach — na podstawie której rolnicy mogą zatrudniać bez minimalnej stawki godzinowej (czyli legalnie płacić np. 1 zł za godzinę) i bez unormowanego czasu pracy, czyli prawa do wypoczynku. W 2018 r. NSZZ „Solidarność" zaskarżyła to prawo do Komisji Europejskiej. Rząd z jednej strony wprowadza coś dobrego, a z drugiej uchyla furtkę do nieprawidłowości, legalnego wyzysku. Z perspektywy pracownika to bardzo niekorzystne.

Czy po wydaniu książki docierały do pana głosy, które można uznać za jaskółki zwiastujące wiosnę na polskim rynku pracy?

Dostałem mnóstwo wiadomości. Głównie od osób, które chciały, abym opisał ich niedolę, informowały, w których bran-

żach, zawodach czy firmach też panują złe warunki pracy. Bez kłopotu nazbierałbym historii na kontynuację *Urobionych*. Ale — co ważne — pisali też ludzie, którym na rynku pracy jest dobrze. Byli zdziwieni, że w Polsce w XXI w. takie rzeczy się dzieją.

Zdziwieni, bo im się udało, co zwykle staje się potwierdzeniem, że wystarczająco ciężko pracowali i wykorzystali swoje talenty. Innych, którym się nie udało, są skłonni uznać za leniwych czy mało zaradnych. W taką neoliberalną narrację łatwo uwierzyć, zwłaszcza gdy osiągnie się nawet umiarkowany sukces finansowy czy statusowy. Przyjeżdżamy z małego do dużego miasta, robimy karierę w korporacji, zarabiamy ponadprzeciętnie. Wtedy łatwo uwierzyć, że jesteśmy zdolni i świetni. Bardzo często jest to jednak łut szczęścia albo sprzyjające warunki na poziomie rodzinnego domu. Wykształceni rodzice, kapitał kulturowy wyniesiony z domu, środki finansowe na edukację, dodatkowe zajęcia.

Czyli równość szans to fikcja?

Łatwo nam o niej mówić, kiedy urodzimy się w Warszawie w zamożnym domu, założymy start-up i zarobimy milion. Świetnie — prawdopodobnie mieliśmy dobry pomysł i ciężko pracowaliśmy, ale też startowaliśmy z zupełnie innego poziomu niż osoba, która np. rodzi się w wiosce pod Jasłem i musi dojeżdżać do szkoły. Jej rodzice są robotnikami i nie mają pieniędzy ani czasu, żeby po swojej pracy wozić dziecko na dodatkowe zajęcia. W mniejszych ośrodkach też jest wielu zdolnych ludzi, tylko nie mają takich samych możliwości. Bo np. w ich domu nie czyta się książek, nie ma kultury chodzenia do kina, do teatru. Nie ma kulturowej nadwyżki.

Przysłowiowy pucybut ma mniejsze szanse na zostanie milionerem, niż nam się wydaje?

Badania OECD pokazują, że bardzo trudno jest wydostać się ze swojego środowiska i uzyskać społeczny awans. Jeżeli np. nasz ojciec jest robotnikiem, to mamy 40 proc. szans, żeby powtórzyć jego los, i tylko 25 proc. szans, aby zostać kierownikiem. Jeżeli nasz ojciec jest albo był kierownikiem, to szanse na zostanie robotnikiem spadają do 20 proc., a jest 50 proc. szans, że też będziemy pełnić kierownicze stanowisko.

Co było dla pana najważniejsze w trakcie opisywania problemów polskiego rynku pracy?

Na początku myślałem, że oddanie głosu ludziom, którzy na co dzień zmagają się z jego patologiami i nikt nie słucha ich głosu. Teraz wiem, że równie ważne jest dotarcie do tych, którym się udało. Do osób, którym w pracy jest dobrze. Bo to ta grupa jest bardziej wpływowa i dzięki niej wspólnie można przeprowadzić społeczną zmianę. Jeżeli ci, którym się powodzi, którzy mają stabilne warunki zatrudnienia, dobre pensje, benefity, zrozumieją, że rynek pracy nie kończy się na czubku ich nosa, tylko sięga dalej i gdzieś są osoby, którym jest gorzej nie z własnej winy, tylko np. dlatego, że ktoś postanowił w nieuczciwy sposób prowadzić swój biznes, to wtedy jest większa szansa na zbudowanie szerszej świadomości w społeczeństwie i przeprowadzenie zmian. Warto zatroszczyć się o słabszych, wtedy wszyscy będziemy mieli lepiej. Pozostaje mi mieć nadzieję, że te wszystkie reporterskie krople z moich reportaży w końcu ukruszą skałę świadomości o polskim rynku pracy i coś się zmieni.

Marek Szymaniak
jest dziennikarzem i reporterem. Jego debiutancka książka *Urobieni. Reportaże o pracy* była nominowana do Nagrody Newsweeka im. Teresy Torańskiej

Hendrik Jonas/Getty Images

Witold Modzelewski: „Dla Zachodu byliśmy niechcianym prezentem. Chętnie by nas zostawiono tam, gdzie byliśmy przed 1989”

Piotr Kamionka/REPORTER

SAMI TEGO CHCIELIŚMY

W Polsce po 1989 r. nie mamy myśli politycznej. Jedyna doktryna, która po nas pozostanie, brzmi: Teraz Kurwa My

Z profesorem Witoldem Modzelewskim, prezesem Instytutu Studiów Podatkowych, rozmawia Michał Niepytalski

MICHAŁ NIEPYTALSKI: Rozmawiamy w siedzibie Instytutu Studiów Podatkowych, na warszawskim Grochowie, przy ulicy o tradycyjnie fabrycznym charakterze. Instytut mieści się w pałacu, który fabrycznego charakteru bynajmniej nie ma.

WITOLD MODZELEWSKI: To kopia obiektu, który pod koniec XVIII w. powstał w Dreźnie. Mój przodek chciał pierwotnie postawić ów budynek w Warszawie, ale wówczas, w epoce rozbiorów, nie udało mu się to, a potem los rzucił go do Saksonii, skąd pochodził. Kiedy budowaliśmy więc siedzibę instytutu, postanowiliśmy nawiązać do pomysłu sprzed 200 lat.

Pytam, gdyż obiekt wyróżnia się na tle dzielnicy, a ten kontrast kojarzy mi się z rozwarstwieniem majątkowym Polaków 30 lat od upadku komunizmu.

Ma ono swoje korzenie u zarania epoki po 1989 r. Ludzie tracili wówczas oszczędności, spadł poziom życia, dochodów, konsumpcji, wiele lat wracaliśmy do pułapu sprzed przemian ustrojowych. Dopiero niedawno zaczęliśmy wychodzić z biedy, w znacznym stopniu udało się ograniczyć skrajne ubóstwo, przede wszystkim wśród rodzin wielodzietnych. Dane statystyczne pokazują, że nastąpiło to w ostatnich kilku latach. Rozwarstwienie jednak, grzech pierworodny epoki po 1989 r., pozostało. Nie wystąpiło ono na taką skalę na przykład w Czechach.

A czy zniewoleni przez gospodarkę centralnie planowaną Polacy, którzy nagle otrzymali wolność gospodarczą, potrafili sobie z nią w ogóle poradzić?

My dwaj jesteśmy z zupełnie różnych pokoleń, dzieli nas kilkadziesiąt lat. Pan siłą rzeczy przyjmuje pewną wizję epoki PRL, której zgodnie z poprawnością polityczną nie można malować w innych barwach niż czarne. A jednak Polska przed 1989 miała potężny sektor prywatny. Mówię o gospodarce pozarolniczej, o tym, co nazwano umownie rzemiosłem. Pokazuje to pewien szczegół: certyfikaty wydawane przez polskie rzemiosło były uznawane w skali międzynarodowej, a już dyplomy polskich wyższych uczelni trzeba było nostryfikować. Po 1989 r. istniejący dotychczas sektor prywatny stał się ofiarą Balcerowicza i uległ degradacji. Wcześniej funkcjonował na obrzeżach sektora państwowego, a więc podczas transformacji, jeśli upadał zleceniodawca, podobny los musiał spotkać zleceniobiorców.

Część społeczeństwa zyskała na przekształceniach własnościowych, co prowadziło do wspomnianego rozwarstwiania społeczeństwa.

Lata 1989–1991 były czasem tworzenia się nowej klasy, niektórzy nazywają ją uwłaszczoną nomenklaturą. Jej powstanie było wydarzeniem o charakterze bardziej politycznym niż ekonomicznym, a owa oligarchizacja miała miejsce we wszystkich państwach regionu. Majątek państwowy został przejęty przez jego dotychczasowych zarządców, czyli przez kadrę dyrektorską, częściowo przez polityków. Wiele osób zyskało bezprecedensową okazję do nabycia aktywów, których w innych okolicznościach nigdy by nie zdobyli. To był „syndrom wyprzedaży aktywów", historyczny eksperyment, który miał na celu wymianę elit. Udało się do nich dołączyć tym, którzy byli na to gotowi. Przypadkowe osoby bardzo szybko się wykruszyły.

Jako naród mamy tradycje biznesowe, więc dobrze odnaleźliśmy się w roli przedsiębiorców – nawet lepiej, niż można się było spodziewać. Pomogły nam nasze cechy narodowe: nie przywiązujemy dużej wagi do procedur, mamy natomiast ogromną intuicję sytuacyjną, inteligencję stanu trudnego. Zdaliśmy egzamin z przedsiębiorczości, bo nie do końca daliśmy się okraść przez tych, dla których przeprowadzono w Polsce „radykalną transformację".

Czy na przestrzeni ostatniego 30-lecia w zakresie polityki gospodarczej kolejne polskie rządy brały inicjatywę w swoje ręce, czy tylko płynęły z falą światowych cyklów koniunkturalnych?

Czy myśmy w ogóle mieli jakąś politykę gospodarczą? Oczywiście brak polityki też jest polityką, ale czy mieliśmy agendę pozytywną polegającą na budowaniu? W większości obszarów nie. Zwykle to była polityka negatywna: trzeba zlikwidować wielkie, „nieefektywne" struktury państwowe i tak dalej (oczywiście, kiedy ktoś je przejmował, bardzo szybko przestawały być „nieefektywne", czego najlepszym przykładem jest los polskiego przemysłu stalowego).

Z reguły był to scenariusz narzucony nam z zewnątrz. Dla Zachodu byliśmy niechcianym prezentem. Chętnie by nas zostawiono tam, gdzie byliśmy przed 1989.

Czyli to był haracz?

Wepchnęliśmy się do innego świata wraz z całą naszą wrodzoną naiwnością wobec Zachodu, którą mamy do dzisiaj: wydaje nam się, że mamy szczególną misję, że ów Zachód jest nam coś winien, że chce nam dawać prezenty.

Podporządkowaliśmy się planowi redukcji naszej zdolności konkurencyjnej, czyli likwidacji polskiej produkcji. W takiej roli świat chce nas widzieć. A to, że mimo wszystko zachowaliśmy jakąś część majątku, należy przypisywać naszym zdolnościom działania na przekór. W tym zawsze byliśmy nieźli.

Ta tendencja wciąż trwa, ciągle wyprzedajemy na przykład ziemię rolną, choć na szczęście owa polityka jest już coraz słabsza. Pierwszymi rządami, które zaczęły z nią zrywać, były gabinety utworzone po 2015 r.

A czy porażką kolejnych gabinetów nie jest to, że nie lubimy płacić podatków?

To całkiem błędne mniemanie. Jesteśmy świadomym społeczeństwem z etyką podatkową lepszą niż społeczeństwa większości państw „starej Unii". Efektywność fiskalną mamy lepszą od średniej unijnej – i to przy tak słabym państwie, które nie zawsze wykonywało nawet swoje podstawowe obowiązki. Efektywność ta nie zależy zresztą od urzędników, tylko od ludzi, bo to oni płacą podatki.

Obowiązuje demoralizujący obraz Polaka jako szwindlarza, oszusta. Wcale tacy nie jesteśmy, wystarczy spojrzeć, kto ile uiszcza podatków: najwięcej płaci sektor państwowy, potem sektor prywatny z kapitałem polskim, a najniższą efektywność fiskalną i kondycję etyczną ma sektor prywatny z kapitałem zagranicznym ze „starej Unii".

Nasze państwo temu sprzyja, tworząc przywileje podatkowe.

Państwo jest takie, jakim je tworzono przez ostatnie 30 lat: jest uległe tak samo, jak uległy jest naród, dające się łatwo ograć, represyjne wobec słabych i bezbronne wobec strategicznych partnerów. To nie żadna tajemnica, że kontrole podatkowe są oprotestowywane telefonami z ambasady.

Mniej więcej w latach 2008–2015 słabość była szczególnie widoczna w postaci luki VAT. Czy gdyby państwo sprawdziło się w tym zakresie, bylibyśmy dziś na innym etapie rozwoju?

Luka średnio w każdym z tych lat wynosiła między 30 a 40 mld zł. Na co byłyby te pieniądze wydane – nie

wiemy. Może na podwyżki w sferze budżetowej, może na dofinansowanie NFZ, można by już wtedy sfinansować program 500 plus. Brak tych dochodów przede wszystkim ograniczył nasz rozwój cywilizacyjny i dłużej utrzymał nas w biedzie.

Do jakiego ideału w zakresie ułożenia fiskalnych relacji obywatela i państwa chcemy dążyć?

Podstawowym warunkiem powodzenia jest po pierwsze, to, że państwo wie, co ma robić, a po drugie, że ma dostateczne kompetencje, aby to zrealizować – a z tym ostatnim bywało u nas czasami bardzo źle

Jeśli nie dba się o politykę fiskalną, jeśli nie ma się wizji, co robić z systemem podatkowym, to znajdą się natychmiast chętni, którzy się tym zajmą. Stąd sukcesy, dziś już mniej zauważalne, lobbingu degradującego ów system, a zwłaszcza prawo podatkowe.

Może to zabrzmi zaskakująco, ale z perspektywy 30-lecia kompetencje podatkowe obywateli należy oceniać wyżej niż państwa, które pod tym względem często sprzeniewierzało się swojej roli. Problemem jest też to, że my nie mamy myśli politycznej, a jedyną doktryną, która pozostanie po zapoczątkowanej upadkiem komunizmu i trwającej do dziś epoce, jest TKM: Teraz Kurwa My. Zmienia się tylko grupa beneficjentów.

A czy dobry system podatkowy z punktu widzenia abstrakcyjnego państwa jest tym samym, co dobry system podatkowy dla obywatela?

To fałszywa dychotomia. Obywatele nie są grupą homogeniczną.

Ale istnieją tendencje.

Główną narrację na temat podatków zdominowały grupy marginalne, na przykład te, które promowały postawy typu: „więcej pieniędzy zostanie w kieszeniach podatników, bo państwo je zawsze źle wyda"; albo: „jeśli ktoś wyłudzi VAT, to dobrze, bo w przeciwnym razie te pieniądze przez państwo zostałyby zmarnowane". Poziom ogłupienia był w Polsce bardzo zaawansowany.

Jako społeczeństwo nie daliśmy się jednak całkiem ogłupić, bo ogólnie mało komu wierzymy, każdy wie swoje. Większość na pewno ma wobec państwa stosunek afirmatywno-oportunistyczny: chcą państwa, które pomoże im wyjść z biedy, wspierającego upośledzonych ekonomicznie. A upośledzeni wciąż stanowią większość.

Witold Modzelewski
jest profesorem na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1992–1996 wiceminister finansów odpowiedzialny za przebudowę polskiego systemu prawa podatkowego. Prezes Instytutu Studiów Podatkowych, w 2014 r. powołany do Rady Programowej Prawa i Sprawiedliwości

Jest taki stereotyp Polaka szwindlarza i oszusta. Wcale tacy nie jesteśmy. **Podatki płacimy sumienniej niż większość narodów Unii Europejskiej**

Zagłębie złomiarzy

Od wielkich kontenerowców po promy i wycieczkowce. W demontażu statków specjalizują się stocznie w Indiach, Bangladeszu i Pakistanie. W zeszłym roku trafiło tam ponad 70 proc. wszystkich jednostek przeznaczonych do złomowania

Piotr Chałubiński

Thierry Falise/LightRocket/Getty Images

Największa stocznia złomowa na świecie znajduje w Alang, mieście położonym w stanie Gujarat w północno-zachodnich Indiach. Konkurują z nią podobne przedsiębiorstwa z sąsiedniego Pakistanu i Bangladeszu. Demontaż statków odbywa się na wielokilometrowych plażach. W stoczni w Alang pracuje około 35 tys. osób – głównie imigrantów lub niewykwalifikowanych hinduskich pracowników. Wielu z nich jest niepełnoletnich. Zamieszkują w slumsach na wybrzeżu.

Podczas przypływu statki podpływają możliwe najbliżej brzegu, a w czasie odpływu wyciągane są linami wprost na plażę, gdzie bez żadnych zabezpieczeń są rozbierane. Na pokład wchodzi armia robotników i za pomocą prostego sprzętu, zwykle bez użycia maszyn, rozpoczyna rozbiórkę. Stoczniowcy z Azji pracują często nawet bez okularów ochronnych i właściwego obuwia czy kasków. Nic dziwnego, że podczas demontażu regularnie dochodzi do wypadków.

Według Shipbreaking Platform – organizacji pozarządowej na rzecz czystego i bezpiecznego złomowania statków – w zeszłym roku co najmniej 34 azjatyckich stoczniowców straciło życie podczas pracy.

Złomowanie statków jest również szkodliwe dla środowiska. Fale wymywają z niezabezpieczonych wraków oleje i metale ciężkie wprost do oceanu.

W Azji statki złomuje niemal cały świat. Według *Shipbreaking Platform* z prawie 200 statków wysłanych na złom w drugim kwartale tego roku niemal 150 trafiło

Ulet Ifansasti/Getty Images

do rozbiórki na południowoazjatyckie plaże. Tuż przed demontażem ponad połowa jednostek zmieniła banderę na jeden z wyspiarskich, egzotycznych krajów, m.in. Komorów, Palau lub St. Kitts i Nevis. Najwięcej statków do Azji wysłali armatorzy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Grecji oraz Stanów Zjednoczonych.

Bruksela dopiero niedawno oficjalnie wypowiedziała wojnę tym praktykom, a unijne prawo ws. demontażu statków zaczęło obowiązywać od początku 2019 r. Zgodnie z nowymi regulacjami statki pływające pod banderą Wspólnoty muszą być złomowane w zatwierdzonych zakładach znajdujących się na unijnej liście.

Jednak ceny za złom w certyfikowanych przez Brukselę stoczniach są o wiele niższe – nieraz o ponad połowę – niż te, które armatorzy mogą uzyskać od kupców z Indii, Pakistanu czy Bangladeszu. Brudny przemysł w Azji będzie się więc jeszcze długo opłacał armatorom z krajów, które chcą być postrzegane jako dbające o środowisko.

Spencer Platt/Getty Images

Stocznia złomowa w Chittagong (Bangladesz). Pracownicy zarabiają tam około 2 dolary dziennie

Trzy palce małego Aloszy

Tamtego dnia przejeżdżały przez wieś wojskowe ciężarówki. Z jednej coś wypadło. Coś małego, ledwie zauważalnego. Ale Alosza zauważył. Zaraz podbiegł i podniósł. Wybuch nastąpił natychmiast

Magdalena Chodownik

Magdalena Chodownik

Samochody Czerwonego Krzyża podjeżdżają pod szkołę rankiem. W sali na parterze zbierają się mieszkańcy wsi – dorośli i dzieci. Przybysze rozkładają makiety i tablice pokazowe. Będą uczyć miejscowych, jak rozpoznać obiekty groźne dla życia lub zdrowia, jak właściwie reagować na niebezpieczeństwo i jak szukać pomocy. Jest czwarty rok wojny, ale taka wiedza nie jest jeszcze ani wyuczona, ani nawet dobrze znana.

Dzieci, nawet z najmłodszych klas, siedzą na małych krzesełkach, w kolorowych rajstopkach i bucikach, i przyglądają się pokazywanym obrazkom. Granat ręczny. Zawleczka. Zapalnik. Mina przeciwpiechotna.

„Kiedy to zobaczysz, nie ruszaj się".

Maluchy słuchają. Mina przeciwpancerna. Pocisk przeciwpancerny. Zapalnik naciskowy. Numer alarmowy 103.

„Uważaj". „Patrz pod nogi".

Naciągnięte linki. Druty. Niewybuchy. Pocisk 122 mm. Moździerz.

„Nie chodź poza utartymi ścieżkami". „Nie zbieraj pocisków".

Rakieta. Ładunek. Proch. Wybuch!

W rytm tych słów zabiera się im dzieciństwo, ale – czasami – ratuje życie. Albo rękę czy nogę.

Miny i niewybuchy to niejedyne zagrożenie. Wieś Trojeckie, w której odbywa się szkolenie, leży prawie na linii frontu. Ciągle zdarzają się tutaj bombardowania i wymiana ognia.

Dlatego szyby w szkolnych oknach oklejone są specjalną folią. Ma zabezpieczać nie tylko przed drżeniem, lecz także – na wypadek pocisków – przed rozsypaniem się w drobny mak. W razie ataku pękające i upadające szkło mogłoby zranić dzieci.

Wszędzie tam, gdzie we wschodniej Ukrainie były lub są prowadzone działania wojenne, szkolne ściany wyglądają podobnie. Tablice z rysunkami śmiertelnie groźnych przedmiotów. Wiszą tam zamiast prac, które dzieci namalowały w szkole. Zastępują powszechnie lubiane tematy: „portret mamy", „mój dom" albo „kim będę w przyszłości?".

Na kursie pierwszej pomocy, czyli na drugiej części szkolenia, zostają już tylko dorośli. Dzieci wracają do swoich zajęć – nauki pisania, czytania, śpiewania piosenek, których echo roznosi się, kiedy ich rodzice i dziadkowie ćwiczą wiązanie bandaży, przenoszenie rannych czy masaż serca.

W przerwie dorośli wychodzą na zewnątrz. Rozmawiają o swoich gospodarstwach, o sytuacji we wsi i o tamtych, po drugiej stronie. Ich dialogi przerywają świsty pojedynczych pocisków. Psss, psss, psss...

Przelecą blisko na wysokości głów. A oni skuleni, prawie na czworakach, wrócą za bezpieczne szyby szkoły.

WYLICZANKA

Natalia wylicza na palcach. „Jeden – traktor, który wjechał na niewybuch na polu. Dwa – tamta kobieta, którą odłamek z niewybuchu w oko trafił. Trzy – był taki mężczyzna, który wracał z przyjęcia i na coś nadepnął...".

Rozmawiamy w miejskiej bibliotece w domu kultury w Mironowskij, gdzie Natalia pracuje. Kiedy zaczęła się wojna, ten dom kultury i jego piwnice były dla niej schronem. Miała szczęście – straciła tylko okna w mieszkaniu. „Cztery – ten z Luhanki. Tyle że on nie przeżył. Takich przypadków było najwięcej...".

Kiedy Natalia zbliża się do dziesięciu, zawiesza smutny wzrok. Nie wystarczy jej rąk.

MAPA DZIAŁAŃ ROZMINOWUJĄCYCH

„Przed nami mapa działań rozminowujących Andrijiwka 1. Znajdujemy się teraz na trzeciej linii, tutaj" – wskazuje palcem Olga Kieslowska, kierownik grupy saperskiej HALO Trust. „Obszar naszych działań znajduje się na szczycie wzgórza o wysokości 165 m n.p.m. Obejmuje las i pole uprawne w prostokącie 800 na 150 m".

W 2014 r. stacjonowało tutaj wojsko. To punkt strategicznie ważny. Z pagórka żołnierze mogli kontrolować dwa duże sąsiednie miasta – Kramatorsk i Słowiańsk.

„Z tej strony był punkt obserwacyjny, a z drugiej las, w którym żołnierze mogli się ukryć" – tłumaczy dalej Olga. „Obok znajduje się obszar działań Andrijiwka 2, gdzie aktualnie odbywa się mechaniczne czyszczenie terenu. Tam znajdowała artyleria i okopy".

Jej wojskowy ton nie pasuje do spokoju lasu i otaczającej przyrody. W ten sielankowy obrazek już lepiej wpisują się klęczący na kolanach ludzie, których widać przez niewielkie prześwity między drzewami. Pracują w skupieniu i ciszy. Uważnie przegarniają każdy kłos trawy, delikatnie rozdzielają mech, sprawdzają każdy listek z góry i z dołu. Przebierają palcami, wyczuwając najmniejsze szczegóły leśnego runa. Jakby czytali je brajlem. W ten sposób sprawdzają każdy centymetr kwadratowy, potem kolejno następny i następny. Powoli, z wielką ostrożnością. Ich ruchy są precyzyjne i wyważone.

Wokół zgiętych ciał rozciągają się czerwone pasy – linie rozdzielające strefę oczyszczoną od tej, w której wszystko jest jeszcze możliwe. Nawet śmierć. I nikt tych czerwieni nie przekracza, póki nie ma pewności, że teren po jej drugiej stronie jest bezpieczny.

Przez gęste liście wpada chwilami nieco słońca, czasem ciszę zagłuszą odgłosy lasu – przebiegający suseł, przelatujący ptak, świszczący w konarach wiatr. Wszystko mieni się i błyszczy z pozoru przyjaźnie. Ale saperzy twarze mają przysłonięte długimi, przezroczystymi maskami, a ich ciała zabezpieczają kamizelki kuloodporne. Nigdy nie wiedzą, co mogą znaleźć. Wystarczy chwila nieuwagi albo zwykły pech. Łatwo nie zauważyć małego zapalnika czy niewybuchu pod którymś z konarów. Albo cieniutkich drucików w kolorze wojskowej zieleni czy brązu. Przez kilka lat mogły obrosnąć w pnącza lub zginąć w ściółce.

Pozostałości po przechodzącym froncie zostało wiele. Dlatego do lasu w Andrijiwce chodzić nie wolno. Ale ludzie o tym nie wiedzą. Przyjeżdżają na grzyby, na odpoczynek na łonie natury albo zbierać lecznicze trawy, które według miejscowych tu rosną. Amatorów byłych okopów też nie brakuje – chcą pooglądać dawne pozycje żołnierzy.

Na ścianach w szkole wiszą – zamiast prac dzieci – tablice z rysunkami i zdjęciami śmiertelnie groźnych przedmiotów. Granat ręczny. Zawleczka. Zapalnik. Mina przeciwpiechotna. Zapalnik naciskowy. Naciągnięte linki. Druty

Wszystkich tych nieuświadomionych saperzy czym prędzej odsyłają do domów.

„W listopadzie 2015 r. dwóch grzybiarzy weszło tu na granat odłamkowy. Obydwaj przeżyli, ale zostali ranni" – tłumaczy Olga. „My zaczęliśmy rozminowywania w Andrijiwce latem 2016 r. Do tej pory oczyściliśmy dopiero 90 ha. Przez ten cały czas mój zespół pracował tu po osiem godzin dziennie. W deszczu, w słońcu, w zimnie. W ciągu dnia jednemu pracownikowi udaje się sprawdzić od 15 do 40 mkw. terenu. To wymagająca praca" – kwituje.

Pośrodku czyszczonego lasu, niedaleko od pracujących saperów, stoi leżanka. Obok niej – apteczka. Na wszelki wypadek, żeby mogli szybko dobiec. W skład grupy rozminowującej wchodzi dwóch medyków. I Olga Kieslowska, która jest także kierowcą karetki.

Magdalena Chodownik

PRZY ZEPSUTYM MOŚCIE

Alosza dobrze pamięta ten ciepły, słoneczny dzień. Z braćmi i kolegami jak zawsze ganiali po małej wsi Wosdyscznce. To kilkanaście chałup na krzyż, kilka piaskowych dróżek i jedna asfaltowa, przelotowa. No bo i po co tu się zatrzymywać? Sklep niby jest, ale słabo zaopatrzony, bo w tej bardzo biednej wiosce i tak nikogo na zakupy nie stać. Nawet mało kto tędy przejeżdża, chyba że traktor.

Najczęściej widać krowy, które przechodzą przez jezdnię raz w stronę pola, raz – wracając do zagrody. Albo właśnie dzieciaki, które biegną bawić się przy stawie i – jak to nazywają – przy

Przytłaczająca większość ofiar min na świecie to cywile. Połowa z nich to dzieci

„zepsutym moście". Zniszczonym w czasie wojny.

Tamtego dnia akurat przejeżdżali żołnierze. Alosza nie pamięta, ile było wozów – dwa, może trzy. Stali całą grupą i przyglądali się samochodom, które asfaltową drogą zmierzały w stronę linii frontu. Wielkie koła wpadały w podziurawiony i zniszczony asfalt, głośno łomocząc, a płachty zielonego materiału przykrywającego naczepę podskakiwały i powiewały na wietrze. Spod jednej z nich coś wypadło. Coś małego, ledwie zauważalnego.

Ale Alosza zauważył. Chwilę później podbiegł i wziął wojskową zgubę w rękę. Wybuch nastąpił natychmiast. Huk i krzyki od razu ściągnęły sąsiadów – zbiegli się na miejsce wypadku. Ręka chłopca mocno krwawiła, a on sam, w szoku, nie wiedział, co się wydarzyło. Poharataną dłoń owinięto bandażem, by zatamować krew. Chłopaka przewieziono do szpitala. – Całe szczęście, że sąsiedzi tak szybko zareagowali – mówi matka Aloszy, której akurat nie było w domu.

Alosza najprawdopodobniej wziął do ręki zapalnik, choć do dziś nikt nie umie powiedzieć z pewnością, co to było. Stracił trzy palce.

POTRZEBA MINIMUM 10 LAT

„Trudno stwierdzić, ile zajmie nam oczyszczenie tych ziem" – przyznaje Marta Mizerina, szefowa Oddziału Koordynacji Działań Rozminowywania Ukraińskiej Armii. „Ramy czasowe, które podajemy dziś, to od 10 lat w górę. Raczej dekady niż lata. W ziemi jest pełno tych pozostałości...".

Pierre Crom/Getty Images

Do rozbrajania pól minowych na byłych terenach walk często szkoleni są także cywile

Znalezione ładunki wojskowi saperzy zwożą na pustkowie pod Słowiańskiem. Tam odbywa się ich kontrolowana detonacja – kilku żołnierzy poukłada je ostrożnie w jednym miejscu, podczepi nowy ładunek, który odpali pozostałe, i kiedy wszyscy bezpiecznie się oddalą, nastąpi wybuch.

Najpierw wielki huk, wraz z którym nadejdzie tuman kurzu i piasku. Mają kilka sekund, żeby się schować przed nadlatującymi odłamkami. „Jeden, dwa, trzy..." – odliczą głośno, a potem schowają się za niewielki nasyp. Odłamki – jeśli dolecą – przelecą nad ich głowami. „Takie detonacje odbywają się zazwyczaj dwa razy w miesiącu. Ale zdarza się, że znajdujemy ich tyle, że trzeba przyjeżdżać tu częściej" – tłumaczy Mizerina.

Wojskowi saperzy współpracują z organizacjami pozarządowymi – takimi jak HALO Trust – które również zajmują się rozminowywaniem wschodniej Ukrainy. Ale cywilni saperzy są wpuszczani jedynie tam, gdzie żyją cywile, a działania wojenne zostały już zakończone (tymczasem wojskowi saperzy działają wszędzie).

Cywilni saperzy nie mają też pozwoleń na transportowanie czy detonację znalezionych ładunków. Kiedy coś znajdą, muszą to zabezpieczyć, oznaczyć teren wkoło, a następnie zgłosić odpowiednim jednostkom armii.

Dziś trudno jeszcze oszacować, jak duży jest obszar zaminowany na wschodzie Ukrainy. Od 2015 r. samo HALO Trust sprawdziło i oczyściło 376 ha. A jeszcze dużo przed nimi. „Jeśli wszystko pójdzie dobrze, znaczy nie będzie eskalacji konfliktu, a my będziemy mogli spokojnie czyścić tereny, czy nie wynikną żadne problemy z koordynacją naszych działań ze stroną rządową, to i tak zostało nam pracy na długie lata" – przyznaje Marina Lantukh, rzecznik HALO Trust.

Nie wiadomo też, ile osób żyje na terenach zaminowanych. W związku z dużymi migracjami takie liczby trudno jest oszacować. Znana jest jedynie liczba ofiar porzuconych ładunków, bo te przypadki są rejestrowane i zliczane. Ostatnie dane mówią już o ponad 2 tys. rannych i zabitych.

Pośrodku czyszczonego lasu, niedaleko od pracujących saperów, stoi leżanka. Obok niej – apteczka. Na wszelki wypadek, żeby mogli szybko dobiec

SASZA, DANIA, PALINA, VLADIK I SWIETA

Tania na samą myśl o tamtym dniu nie może opanować łez. I do dziś nie umie sobie wytłumaczyć, jak to wszystko w ogóle mogło się wydarzyć. Ciekawość? Niewiedza? Lekkomyślność? Najprawdopodobniej wszystko naraz. Pytania pozostają bez odpowiedzi, bo te przynoszą wyrzuty umęczonego sumienia.

Granat przyniósł bratanek Tani. Znalazł go gdzieś na polu, za Berestawoje, miasteczkiem, w którym mieszkają. Dzieciaki musiały uznać go za imponujące znalezisko, a tym należało się pochwalić. Nikt z obecnych w domach dorosłych nie zareagował. Więcej – także przyszli popatrzeć. A kiedy zaczęli wspólnie oglądać nową zabawkę, granat eksplodował.

W ogrodzie było osiem osób. Sasza, Dania, Palina, Vladik i Swieta przeżyli, choć ich obrażenia były bardzo poważne. Pozostała trójka zginęła.

„Wciąż bardzo to wszystko przeżywamy" – tłumaczy Tania, która jest mamą Saszy i Dani. „Sasza wyjechał do Charkowa, a Dania chodzi tu dalej do szkoły. Właściwie teraz dopiero znów rzeczywiście chodzi. A tu miał wszystko wyrwane..." – mówi, podnosząc nogę do góry, wskazując na łydkę i mięśnie, które granat rozerwał jej synowi. „Żal wszystkich...".

Dania w dniu eksplozji miał sześć lat.

DZIECIĘCE MARZENIA

„Kiedy pierwszy raz odwiedziłam go w szpitalu, wzięłam ze sobą kartki i długopis" – wspomina mama Aloszy. „Powiedziałam mu „dawaj, Alosza!", a on jakoś tak od razu zaczął pracować. Miał w sobie dużo siły i zacięcia. Przestawił się z pisania prawą ręką na lewą i teraz już świetnie sobie radzi".

Alosza jest bardzo dojrzały jak na swój wiek – choć jak każdemu dziecku zdarzają mu się chwile beztroski – jest obowiązkowy i odpowiedzialny. Dziś, jako 15-letni chłopiec, zastanawia się nad swoją przyszłością. Siedzi na ganku domu koleżanki i wymienia zawody, o których marzył.

Tak jak wielu w Donbasie miał nadzieję, że uda mu się załapać na

nieźle płatną pracę górnika. Ale już mu w kopalni powiedziano, że bez palców może o niej zapomnieć.

Później rozważał pracę jako kierowca, może taksówkarz, ale i w to zaczyna dziś powątpiewać – czy da radę? Czy go przyjmą?

Lubi też rysować, ale tą pasją chwali się po cichu. Bo marzenie wydaje mu się najbardziej odległe. Okaleczona ręka jest dla niego barierą. Ale nie tylko to. Żyje w strasznej biedzie, pochodzi z rodziny z problemami, ze wsi bez perspektyw i możliwości rozwijania talentu choćby w stronę grafiki, więc stara się wybierać taką przyszłość, która szybko, bez wysokich kwalifikacji zapewni mu dochód. I wyjazd.

„Jak skończę szkołę, wyprowadzę się do siostry pod Kijów. Tam życie będzie już inne..." – mówi z nadzieją Alosza.

Dania właśnie skończył trzecią klasę podstawówki.

„Nie mamy z nim problemów. Uczy się na miarę swoich możliwości, dobrze integruje się z innymi dziećmi. Oczywiście zwracamy na niego większą uwagę i czasem, jak się rozpędzi na szkolnym korytarzu, to musimy go łapać. Boimy się o niego..." – mówi Lubow Natolewna, wychowawczyni Dani. „A o tym, co było, nie wspominamy".

W powrocie do zdrowia pomogła Dani Fundacja Ahmetowa. Opłaciła operacje, których przez pięć lat od wypadku było kilka, i załatwiła turnusy rehabilitacyjne. Dania wspomina je jako „wycieczki nad morze, do Odessy" – choć towarzyszyły im wyczerpujące ćwiczenia. Razem z nim jeździło jeszcze dziesięcioro innych dzieci, które także wymagały rehabilitacji. Wszystkie z terenów objętych wojną.

W przyszłości Dania chciałby być maszynistą, tak jak jego starszy brat Sasza. Wozić ludzi. „Najbardziej lubię jeździć pociągami. Najbardziej" – opowiada z pasją. „I lubię spać na piętrowym łóżku. Na górze. Ale mama się o mnie martwi, więc na noc zawsze muszę schodzić na dolne łóżko. Ale może już niedługo mi pozwoli?".

Na ścianach w jego szkole też wiszą makiety ze zdjęciami i rysunkami, które znają pewnie tysiące dzieci we wschodniej Ukrainie. Granat ręczny. Zawleczka. Mina przeciwpiechotna. Mina przeciwpancerna. Pocisk przeciwpancerny. Zapalnik naciskowy. Numer alarmowy 103. „Uważaj". „Zawsze patrz pod nogi". Naciągnięte linki. Druty. Niewybuchy. Pocisk 122 mm. Moździerz. „Nie zbieraj pocisków". Rakieta. Ładunek. Proch. Wybuch!

UWAGA MINY!

Najnowszy raport Landmine and Cluster Munition Monitor, opublikowany w 2018 r., nie napawa optymizmem. Czytamy: „2017 r. był trzecim z rzędu z wyjątkowo wysoką liczbą ofiar min lądowych i ładunków wybuchowych pozostałych po działaniach wojennych".

Ofiary zarejestrowano w 49 krajach, przede wszystkim w Afganistanie, Syrii, Iraku, Pakistanie, Nigerii, Birmie, Libii, Jemenie i na Ukrainie. Wiemy, że miny znajdują się w 60 krajach oraz na spornych terytoriach na całym świecie.

Raport informuje o 7239 ofiarach w badanym roku: 2793 zginęły, 4431 odniosły obrażenia, los 15 jest nieznany.

Ofiar było znacznie więcej niż pięć lat temu, ale mniej niż w 2016. Ów rok był pod tym względem rekordowy – wówczas zanotowano ich najwięcej od 1999 r., gdy Monitor zaczął prowadzić badania.

W ciągu ostatnich 5 lat (2013–2017) zostało rozminowanych około 830 km². Ogromne połacie lądu wciąż czekają na to szczęście.

artyn Aim/Corbis/Getty Images

Maher Attar/Sygma/Getty Images

Teodoro Obiang twardą ręką rządzi zachodnioafrykańskim państwem, które jest wielkości polskiego województwa. Pomimo ogromnych bogactw mieszkańcy Gwinei Równikowej żyją w biedzie

W stałym kontakcie z Bogiem

Jest najdłużej panującym dyktatorem świata. Jakim cudem już 40 lat utrzymuje się przy władzy?

Maciej Machcewicz, Tadeusz Michrowski

Mongomo, na granicy Gwinei Równikowej i Gabonu. To liczące ledwie kilka tysięcy mieszkańców miasteczko ma w swoich granicach 100-hektarowe pole golfowe, nowoczesny hotel z kilkuset pokojami i bazylikę Niepokalanego Poczęcia — największą budowlę sakralną w środkowej Afryce. To oczywiście nie przypadek; stamtąd pochodzi Teodoro Obiang, który ma najdłuższy staż ze wszystkich dyktatorów panujących obecnie na kuli ziemskiej. Na początku sierpnia, kiedy odwiedził Mongomo, towarzyszyła mu małżonka Constancia, syn Teodorin (oskarżany przez francuski i amerykański wymiar sprawiedliwości o pranie brudnych pieniędzy), czołowi przedstawiciele władz i dowódcy sił zbrojnych. Wspólnie obchodzili 40 lat prezydentury.

W homilii Jego Eminencja Juan Domingo Beká Esono z patosem wspominał „wolnościowy przewrót" z 1979 r. Biskupia życzliwość dla Obianga jest jak najbardziej na miejscu, ponieważ ma on błogosławieństwo i wsparcie na znacznie wyższym szczeblu. Ogłoszono to przed laty w publicznym radiu. „Prezydent może zabić każdego, nie ponosząc za to odpowiedzialności. Nie pójdzie do piekła, ponieważ to sam Bóg, z którym jest w nieprzerwanym kontakcie, daje mu siłę" — wyjaśniał prezydencki doradca w weekendowym programie w 2003 r.

Był to swego rodzaju paradoks, bowiem Teodoro Obiang stanął na czele „wolnościowego przewrotu", żeby obalić szalonego wuja, który uwierzył w swoją boską moc. Dewiza Gwinei Równikowej brzmiała wtedy „Nie ma Boga oprócz Macíasa Nguemy". Siostrzeniec, zdobywszy władzę w wyniku puczu, zmienił ją na „Jedność, pokój, sprawiedliwość".

RODZINNY FOLWARK

Gwinea Równikowa to biznes rodzinny. Początki panowania Obiangów sięgają lat 60. i dekolonizacji jedynej subsaharyjskiej posiadłości Hiszpanii. Składała się ona z mało istotnego geopolitycznie skrawka Afryki na południe od Kamerunu oraz z wyspy Bioko leżącej 130 km od brzegu. Przez setki lat ta właśnie wyspa była dla Europejczyków ważna. Dzięki dogodnemu położeniu w Zatoce Gwinejskiej służyła najpierw jako port przeładunkowy, następnie jako ośrodek kontroli handlu niewolnikami, a od początku XIX w. — do jego zwalczania, by wreszcie stać się miejscem upraw kakao.

Po II wojnie światowej z kolonii zmieniła status na hiszpańską prowincję. W końcu w drugiej połowie lat 60. ubiegłego wieku rząd w Madrycie zdecydował, że wobec rosnącej na miejscu opozycji Gwinei Równikowej nie ma sensu dłużej utrzymywać się przy koronie.

Historyczną okazję wykorzystał Francisco Macías Nguema. Niezbyt bystry (trzykrotnie oblewał egzamin) pracownik kolonialnej służby cywilnej, syn znachora, który w wieku dziewięciu lat widział śmierć ojca — zakatowanego przez hiszpańskiego urzędnika za prośbę o podwyżkę. Właśnie on znalazł się wśród czołowych postaci rządu przejściowego, a po odzyskaniu niepodległości wygrał jedyne w historii kraju wolne wybory. Niecały rok później kazał rozstrzelać 150 osób.

Przez następną dekadę pogrążał kraj w morderczym szaleństwie. Z powodu niekończących się prześladowań Robert af Klintenberg, szwedzki antropolog, który odwiedził Gwineę Równikową w 1978 r., nazwał ją „chałupniczym Dachau Afryki". W tym czasie kraj opuściła jedna czwarta ludności, na czele z wykwalifikowanymi pracownikami z Hiszpanii.

W dobie zimnej wojny Macías Nguema postanowił uczynić Gwineę Równikową krajem niezaangażowanym, co w praktyce oznaczało bliską współpracę z krajami bloku komunistycznego przy jednoczesnym utrzymywaniu stosunków z Zachodem. Kto wie, być może pomysł ten by się sprawdził, gdyby prezydent nie zamordował szefa banku centralnego i nie kazał przenieść zawartości narodowego skarbca do jednej ze swoich wiejskich willi, porzucając przy okazji planowanie rozwoju i księgowanie budżetu.

RODZINNE NIESNASKI

Miarka przebrała się dopiero latem 1979 r., gdy Macías rozkazał wymordować członków swojej rodziny. Jej częścią był podpułkownik Teodoro Obiang Nguema, dowódca Gwardii Narodowej, wiceminister obrony, a prywatnie bratanek prezydenta. On to stanął na czele zamachu stanu i jako przewodniczący junty wojskowej przejął władzę.

Wuja oskarżono przed wojskowym trybunałem o ludobójstwo i rozstrzelano. Trzy lata później w referendum Obiang został po raz pierwszy wybrany na prezydenta. Obecnie pełni szóstą siedmioletnią kadencję, a w żadnych wyborach nie uzyskał mniej niż 93 proc. głosów (co było o tyle ułatwione, że często bywa jedynym kandydatem).

Początki były trudne — po rządach Macíasa kraj był w opłakanym stanie. Drastycznie zmniejszył się eksport kakao i kawy. Dodatkowo po tym, jak Macías nakazał zniszczenie wszystkich jednostek pływających, aby uniemożliwić rodakom ucieczkę, załamało się też rybołówstwo. W stolicy państwa od roku nie było prądu, a woda w kranach płynęła przez godzinę dziennie. Urzędnicy od miesięcy nie otrzymywali wynagrodzeń, a główny urząd pocztowy zamknięto. Zatem nic dziwnego, że zmiana władzy z początku została z entuzjazmem przyjęta przez obywateli i społeczność międzynarodową.

UŚMIECH FORTUNY

Zapewne Obiang nie utrzymałby się tak długo przy władzy, gdyby nie uśmiech fortuny — w połowie lat 90. odkryto na wodach terytorialnych Gwinei Równikowej złoża ropy naftowej. W efekcie jedno z najbiedniejszych państw kontynentu dołączyło do grona najbogatszych. Przynajmniej w statystykach. W 2008 r., kiedy ropa naftowa była rekordowo droga, dochód narodowy na mieszkańca (liczony w sile nabywczej, a nie nominalnie w dolarach) wynosił w Gwinei Równikowej 40 tys.

Ivan Vdovin/Getty Images

Francisco Macías Nguema, wuj Obianga, wygrał jedyne w historii Gwinei Równikowej wolne wybory, a następnie wprowadził dyktaturę

dolarów i był wyższy niż np. we Francji. Obecnie, w wyniku spadku cen ropy i fatalnego zarządzania krajem, dochód na mieszkańca zmalał dwukrotnie, ale i tak jest to trzeci wynik w Afryce (po Seszelach i Mauritiusie).

Międzynarodowe koncerny, zabiegając o kontrakty na eksploatację złóż, nie ograniczają się do tradycyjnych łapówek w gotówce. W 2004 r. „The Washington Post" opisał, jak amerykańska firma Walter International Inc. płaciła za studia prezydenckiego syna na uniwersytecie w Kalifornii. Firmy takie jak ExxonMobil, Amerada Hess, Marathon Oil czy Chevron-Texaco fundowały stypendia krewnym urzędników z Gwinei Równikowej i prowadziły interesy z lokalną administracją i powiązanymi z nimi firmami.

Magazyn „Forbes" szacuje prywatny majątek prezydenta na 600 mln dolarów. Ale w korzystaniu z uroków życia przebija go najstarszy syn, obecnie pełniący funkcję wiceprezydenta. Teodorín Obiang porusza się prywatnym odrzutowcem, posiada flotę samochodów luksusowych i wartą ponad 30 mln dolarów rezydencję w kalifornijskim Malibu. W państwach europejskich toczy się przeciw niemu szereg procesów za sprzeniewierzanie tudzież pranie publicznych pieniędzy. W Holandii skonfiskowano mu wart 120 mln jacht, a w Szwajcarii kolekcję 11 najdroższych samochodów świata. Dalej poszedł sąd we Francji, gdzie młody Obiang został zaocznie skazany na trzy lata więzienia.

W rankingu *Transparency International Corruption's Perceptions Index* za 2018 r. Gwinea Równikowa zajęła 172. miejsce na 180 klasyfikowanych państw.

PRAWDA CZASU, PRAWDA EKRANU

A jak żyje się zwykłym obywatelom? Rząd często chwali się imponującymi projektami infrastrukturalnymi, które mają dowodzić harmonijnego rozwoju kraju. Sześciopasmowa autostrada wiodąca z międzynarodowego lotniska w Malabo do nadmorskiego kurortu w Sipopo usiana jest nowoczesnymi wieżowcami. Wystarczy zjechać jednak z głównej trasy, by ujrzeć prawdziwe oblicze kraju, w którym przepaść pomiędzy dochodem narodowym a wskaźnikami rozwoju społecznego jest chyba największa na świecie. Spośród 1,3 mln mieszkańców ponad połowa żyje poniżej granicy ubóstwa i nie ma dostępu do czystej wody. 20 proc. dzieci umiera przed ukończeniem piątego roku życia, a z tych, które dożyją wieku szkolnego, tylko co drugie uczęszcza do jakiejkolwiek szkoły (gorsze statystyki na świecie ma tylko Sudan Południowy, Liberia i Erytrea).

Tego wszystkiego Obiang nie przyjmuje do wiadomości. Słuchając jego wywiadów, można odnieść wrażenie, że żyje w rzeczywistości alternatywnej. „Dobrobyt, który widzimy teraz w Gwinei Równikowej, jest owocem dobrego zarządzania i dystrybucji zasobów gospodarczych kraju" — mówił w jednym z nich. I dalej: „Dzieci, które czują się »najlepszymi« dziećmi Gwinei Równikowej, porzucają złe nawyki. Znikają problemy z przestępczością, z narkotykami i z korupcją, która także jest zła. Wszystko, czego potrzebujemy, zawiera się w harmonii i solidarności".

A jednak, gdy mówi o dzieciach, jest to jedyny fragment 20-minutowej rozmowy, kiedy dłonie, zazwyczaj splecione w koszyczek, zaciskają się mocno jedna na drugiej, aż zaczynają lekko drżeć.

NAJEMNICY PRZECIW OBIANGOWI

Obiang to nie oczywisty szaleniec, jak choćby Idi Amin, ugandyjski dyktator, którego genialnie odtworzył Forest Whitaker w filmie *Ostatni król Szkocji*. Przeciwnie. Ten posługujący się nienagannym hiszpańskim, elegancki, spokojny mężczyzna wypowiada się w zachodnich mediach precyzyjnie i inteligentnie.

Ale jednocześnie robi swoje. Na początku XXI w. zadał ostateczny cios opozycji, delegalizując to, co zostało z wolnych mediów i aresztując, a następnie skazując na śmierć 68 nieprzychylnych mu działaczy. Obywatelom obwieścił, że w obliczu powszechnej korupcji musi, podobnie jak kiedyś wujek, powierzyć skarbiec najbardziej godnej zaufania personie — czyli sobie — po czym rozesłał prawie pół miliarda dolarów na prywatne konta.

Ostatni, którzy wciąż mieli odwagę go krytykować, uciekli do Hiszpanii, skąd ich głos nie dociera do odciętego od internetu i innych mediów kraju.

W tych okolicznościach wydawać się może, że zmiana może przyjść jedynie z zewnątrz. I rzeczywiście — międzynarodowy spisek przeciwko Obiangowi został zawiązany.

W 2004 r. na lotnisku w Zimbabwe zatrzymano 60 najemników — w większości weteranów Południowoafrykańskich Narodowych Sił Obronnych — zmierzających do Gwinei Równikowej, żeby obalić dyktatora. Śledztwo ujawniło, że o spisku wiedzieli ludzie z brytyjskiego wywiadu, a finansowali go głównie biznesmeni z Albionu, w tym Mark Thatcher, syn słynnej Żelaznej Damy, który zainwestował w przedsięwzięcie ćwierć miliona dolarów. Insynuowano także zaangażowanie innych państw — USA i Hiszpanii. Rzekomo okręty wojenne czekały w gotowości na granicy wód terytorialnych Gwinei. Rząd w Madrycie zdementował te doniesienia w sposób umiarkowanie udany: rzeczniczka MSZ zaprzeczyła, a z kolei minister spraw zagranicznych oświadczył w tym

Jerome Leroy/AFP/East News

2013 rok, Teodorin Nguema Obiang, syn prezydenta, podczas ceremonii „wręczania medali i pieniędzy" atletom podczas meczu – to część obchodów jego urodzin

samym czasie, że okręty były, ale „nie na misji wojskowej".

Domniemanym przywódcą zamachowców był Simon Mann, były żołnierz brytyjskich sił specjalnych. Schwytany w Zimbabwe, został przekazany rządowi Obianga w 2008 r. — w zamian za obietnicę taniej ropy.

Skazany na 34 lata więzienia, trafił do okrytego ponurą sławą więzienia Black Beach, którego zarządcą był kiedyś Obiang (zanim został prezydentem). Odsiadywało tam wyrok już 18 schwytanych wcześniej najemników, w tym Nick du Toit, wcześniej pułkownik sił zbrojnych RPA i handlarz bronią. Opowiada on, że podczas gdy najemnicy byli głodzeni, przypalani papierosami, bici, torturowani i pozbawieni opieki medycznej, Mann przekupił strażników, by przynosili mu posiłki z pobliskiego hotelu, a w celi zamontowali bieżnię.

W 2009 r. Obiang osobiście ułaskawił i wypuścił skazanych najemników, ale żyło już tylko czterech z nich, w tym Mann i du Toit.

DOBRZY ZAMACHOWCY?

Międzynarodowy spisek był z jednej strony przejawem polityki kolonialnej, z drugiej — jak twierdzą niektórzy — jedyną nadzieją na normalizację stosunków w Gwinei Równikowej. Czy tak było w istocie? O pojęciu demokratycznego „zamachu stanu" pisze dr Jędrzej Czerep, analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, w książce *Afryka między tradycją a współczesnością*. Podaje przykład Mauretanii czy Nigru, gdzie — paradoksalnie — zamachy stanu były być może jedynym sposobem na skierowanie kraju na ścieżkę demokratyczną.

„Tak, obalenie władzy narzędziami zamachu może być jedynym i pożądanym krokiem dla odblokowania systemu politycznego. Wymaga to spełnienia wielu warunków, jednak takie przypadki się zdarzają i społeczność międzynarodowa stoi przed dużym dylematem, co z tym fantem zrobić" — mówi dr Czerep. Jego zdaniem szanse, że powiązani z Markiem Thatcherem najemnicy rzeczywiście pragnęli wprowadzić demokrację, są niewielkie.

„To była jednak klasyczna historia w starym stylu — czyli wynikiem byłaby pewnie roszada na szczycie, a nie głęboka zmiana" — twierdzi dr Czerep.

Jak na razie na zmianę się niestety nie zanosi. Organizacja ACLED (Armed Conflict Location and Event Data Project) wylicza, że od 1997 r. w Gwinei Równikowej odnotowano zaledwie... dziesięć publicznych protestów.

Co więcej, polityczne mordy, prześladowanie opozycji, tortury i korupcja nie zakończyły się dla Obianga ostracyzmem na arenie międzynarodowej. Wręcz przeciwnie. W 2011 r. został wybrany na przewodniczącego Unii Afrykańskiej. Dołączył wtedy do grona innych satrapów, którzy piastowali to stanowisko: chociażby Muammara Kaddafiego czy Roberta Mugabego. W 2014 r. Obiang został podjęty kolacją w Białym Domu przez prezydenta Baracka Obamę, a w zeszłym roku bawił w Pekinie na zaproszenie prezydenta Xi Jinpinga.

Ropa pozwala finansować reżim, a zacieśniająca się współpraca z Chinami ma mu dać bezpieczeństwo polityczne. Nic dziwnego, że 77-letni Obiang czuje się pewnie.

Rok temu, w wywiadzie z okazji 50-lecia kraju, mówił: „Musimy kontynuować walkę i pracę w najlepszej wierze, aby Gwinea Równikowa była wzorem. Musimy odłożyć egoizm i spory wewnętrzne. Żyjemy w harmonii i możemy inspirować inne kraje regionu". ◎

Maciej Machcewicz
Tadeusz Michrowski

Farouk Batiche/Anadolu Agency/Getty Images

Demonstracje w Algierze po ustąpieniu prezydenta Abd al-Aziz Buteflika w 2019 r.

Czekając na afrykańską Wiosnę Ludów

Kraje zachodnie w polityce zagranicznej wobec Afryki muszą często przyjmować linię „stabilność ponad wszystko”

Z Jędrzejem Czerepem rozmawia Zbigniew Rokita

ZBIGNIEW ROKITA: Według ubiegłorocznego raportu Freedom House tylko 12 proc. mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej żyje w krajach demokratycznych. Dlaczego Afryka ma tak duże problemy z demokracją?

JĘDRZEJ CZEREP: Od rządzących tam na ogół słyszy się, że wynika to z dziedzictwa kolonializmu i związanym z nim niedorozwojem instytucji. W rzeczywistości problem tkwi w jakości rządów. Kilkadziesiąt lat po upadku systemu kolonialnego nie można już nim wszystkiego tłumaczyć.

Na władców afrykańskich możemy patrzeć jak na swoisty klub dżentelmenów reprezentujących podobną generację, mających podobne doświadczenia. Oni rozumieją się w lot. Na przykład we wschodniej Afryce, gdy kolejne państwa ograniczały dostęp do internetu, mieszkańcy żartowali, że ich prezydenci pewnie mają wspólną grupę na WhatsApp i wymieniają się radami.

I choć to kraje Afryki Subsaharyjskiej są najmniej wolnymi we wszelkich rankingach, to panuje tam też największy głód demokracji. Frekwencja w wyborach jest o wiele wyższa niż w Polsce czy wielu państwach europejskich. Problemy z demokracją wynikają tam też z przepaści pokoleniowej między elitami a masami, które oczekują na nowy typ przywództwa, jaki mógłby zmienić reguły życia społecznego i politycznego.

Mówi pan o przepaści pokoleniowej. Zastanawiam się, jak obserwowany dziś w Afryce boom demograficzny wpłynie na demokratyzację tamtejszych krajów. Dużo mówiło się o tym w trakcie Arabskiej Wiosny, gdy rozczarowanie „zbędnych ludzi” – piątego, szóstego dziecka w rodzinie, dla którego brakowało miejsca w społeczeństwie – było paliwem zmian.

Nie rozdzielałbym tak wyraźnie państw arabskich i subsaharyjskich. Arabska wiosna była elementem globalnego fenomenu, w tym samym czasie mieliśmy wystąpienia prodemokratyczne w Azerbejdżanie, Chinach, Iranie czy szeregu krajów Afryki Subsaharyjskiej.

I osiągano sukcesy: np. w Senegalu zablokowano plan prezydenta Abdoulaye Wade przekazania władzy swojemu synowi, w Burkina Faso dwukrotnie doszło do zmiany rządu, protesty wybuchały też w Dżibuti, Zimbabwe czy Kamerunie. Społeczeństwa afrykańskie czuły się częścią tego samego ruchu antyautorytarnego. On zresztą się nie zakończył, a jego późnymi dziećmi były zmiany władzy w Etiopii w 2018 r. i Sudanie w 2019 r.

Demografia odgrywała i odgrywa tu wielką rolę. Jeśli przyjąć, że granica młodości to 35 lat, wówczas okazuje się, że w szeregu krajów subsaharyjskich młodzi stanowią większość społeczeństwa. W tej grupie najwyższy jest też wskaźnik bezrobocia.

Center for Strategic and International Studies prognozuje, że w najbliższych latach protesty w Afryce będą się intensyfikować, co wiąże się z urbanizacją, większym dostępem do technologii i ze stagnacją gospodarczą.

Zgadzam się z tym. Po pierwsze, rzeczywiście rozwój komunikacji będzie sprzyjał naciskowi na rządy, ale byłbym ostrożny. Podczas Arabskiej Wiosny przeceniano znaczenie mediów społecznościowych jako napędzających ducha wolnościowego. Nie, one po prostu ułatwiają mobilizację, ale tak w sprawach dobrych, jak i złych. Proszę spojrzeć na RPA i to, jak media te pomagają niektórym prześladować imigrantów z innych państw afrykańskich, skrzykiwać się.

Przywódcy afrykańscy obawiają się internetu, nie rozumieją go. W Afryce Subsaharyjskiej często władze odcinają dostęp do sieci, gdy czują, że społeczeństwo może się zmobilizować przeciwko nim. To zresztą sytuacje bardzo szkodliwe dla tamtejszych gospodarek. Byłem w lipcu w Etiopii, kiedy trwała taka blokada. Nagle inwestowanie czy prowadzenie większej działalności stało się niemożliwe. Dyplomaci czy biznesmeni ustawiali się w kolejkach do gabinetów polityków, by prosić o przywrócenie internetu. W Czadzie internet blokowany był przez ponad rok. Wyłączono go niedawno podczas protestów w Sudanie czy po wyborach w Demokratycznej Republice Konga. Takich przypadków w regionie mamy kilkanaście w ciągu roku.

Co jeszcze będzie sprzyjało przemianom demokratycznym i być może – „subsaharyjskiej wiośnie”?

Fakt, że tamtejsze społeczeństwa obywatelskie się organizują, ludzie nadganiają tu zaległości po epoce kolonialnej. Punktem odniesienia dla niezadowolonych był proces czadyjskiego dyktatora Hissèna Habré, który w 2016 r. został skazany na dożywocie. Była to pierwsza afrykańska głowa państwa sądzona na kontynencie za zbrodnie popełnione przeciwko własnym obywatelom. Wcześniej sama funkcja przywódcy – nawet byłego – dawała immunitet, nie było mowy o pociągnięciu do odpowiedzialności. Nawet ci, których poszukiwał trybunał w Hadze – jak Omar al-Bashir z Sudanu – czuli się w Afryce dość swobodnie, nikt ich nie niepokoił.

Proces Habré dał impuls do tworzenia systemów, które mogą osądzić kolejnych dyktatorów i odebrał tym ostatnim poczucie bezkarności. To przełom psychologiczny.

Istnieje ciekawa inicjatywa sudańskiego miliardera Mo Ibrahima – indeksu jakości rządów. Państwa afrykańskie są w nim badane pod wieloma kryteriami: sprawowania władzy, wolności

Maciej Moskwa/NurPhoto/Getty Images

Susze, epidemie i konflikty zbrojne spowodowały, że Somalijczycy w poszukiwaniu żywności i pomocy medycznej masowo emigrują bądź z prowincji do stolicy państwa Mogadiszu, bądź za granicę

Do tradycyjnej listy krajów, które chcą mieć coś do powiedzenia w Afryce, dołączają kolejne, a rywalizacja na kontynencie wyraźnie się zaostrza

mediów, gospodarki itd. Nagroda Ibrahima dla najlepszego przywódcy jest nazywana afrykańskim Noblem.

Acz w ciągu ostatnich siedmiu lat nagrodę przyznano tylko dwukrotnie – często nie ma komu. Ta inicjatywa jest jednak o tyle ciekawa, że na ogół Afrykańczyków ocenia i poucza Zachód. Nie czują się oni przez to upodleni?

Z pewnością. To poczucie służy zresztą wielu miejscowym przywódcom za paliwo polityczne i usprawiedliwienie swoich działań. Przykładem jest sprawujący w ubiegłym roku prezydencję Unii Afrykańskiej prezydent Rwandy Paul Kagame. Z jednej strony jest wzorcem afrykańskiego przywódcy skutecznego, walczącego z korupcją, a z drugiej strony autorytarnego i antyzachodniego, wzorującego się raczej na Azji niż na Europie.

Pytałem pana o to, dlaczego w Afryce tak często łamie się prawa człowieka. Trudnością najpewniej jest też mozaika etniczna i wyznaniowa. Wojciech Jagielski powiedział kiedyś w rozmowie z „Kulturą Liberalną": „Współczesne partie europejskie i amerykańskie rywalizują o głosy wyborców, oferując im mniej lub bardziej konkretne rozwiązania systemowe – na globalnym Południu najczęściej walczy się o dominację danej grupy etnicznej czy religijnej". Systemy autorytarne często ograniczają te konflikty, jak w Rwandzie. W tym kontekście spytam prowokacyjnie – jakie niebezpieczeństwa mogłaby nieść za sobą demokratyzacja Afryki?

Uzupełniłbym tę listę trudności o ograniczone zasoby, o które walczy wąska elita.

Czy więcej wolności mogłoby więc zintensyfikować konflikty? Można dziś to obserwować w Etiopii. System polityczny tego kraju od początku ubiegłego roku szybko otwiera się, wcześniej był jednym z najbardziej zamkniętych reżimów globu. Premier Abiy Ahmed Ali, którego do władzy wyniosły masowe protesty, zdecydował się pójść ryzykowną drogą na skróty. Zaprosił do współtworzenia systemu i debaty wszystkie ugrupowania opozycyjne, nawet zbrojne. I tak się stało. Do kraju wróciły organizacje do niedawno uważane za terrorystyczne jak Front Wyzwolenia Oromo. Z więzień wyszły tysiące więźniów politycznych, ale też etnonacjonalistyczni ekstremiści.

W ciągu ostatniego roku debata poszła tam w niebezpiecznym kierunku. W całym kraju ton zaczęły nadawać jej właśnie ugrupowania etnonacjonalistyczne. Dziś przyszłość państwa stoi pod znakiem zapytania, gdyż przedstawiciele poszczególnych grup etnicznych stracili z pola widzenia Etiopię jako wartość samą w sobie, zanika znajomość języka amharskiego, czyli wspólnego lingua franca. Premier, chcąc zerwać z autorytaryzmem, wypuścił dżina z butelki. Pewnie niebawem dojdzie do ograniczenia wolności, by dawkować ją w bardziej kontrolowany sposób.

Rozumiem, że przed takim dylematem stają kraje zachodnie. Z jednej strony mówią, że chcą w Afryce demokracji, a z drugiej rozumieją, że może być ona niebezpieczna i doprowadzić do wzmocnienia dżihadystów czy intensyfikacji migracji na północ.

Chłodna analiza pokazuje jedno: Europa jest skazana na porzucenie ideałów i przyjęcie twardej linii „stabilność ponad wszystko". Tego wymagają też wyborcy.

Nawet za cenę popierania dyktatorów.

Tak. Zresztą zatrzymanie niekontrolowanych migracji jest dziś niemożliwe. Tak jak wcześniej symbolem awansu dla Afrykańczyków były przenosiny ze wsi do miasta, tak dziś jest nim emigracja. Nie da się już Somalijczykowi wytłumaczyć, że musi zostać w swoim kraju; on wie, że gdzie indziej istnieje lepsze życie.

Jedynym sposobem na ograniczenie migracji jest popieranie przez Zachód restauracji twardych autorytaryzmów.

A jaki wpływ na sytuację na kontynencie mogą mieć gwałtowne zmiany klimatyczne?

Już dziś na styku Sahelu i strefy tropikalnej trwa wiele konfliktów między ludnością osiadłą i wędrowną, których przyczyną jest ocieplanie się klimatu, choć w nie mniejszym stopniu również przyrost ludności i napięcia etniczne oraz religijne. Konflikty tego rodzaju co rusz wybuchają w Mali, Burkina Faso, Nigerii, Nigrze, Kamerunie, Republice Środkowoafrykańskiej czy na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Kurczą się areały uprawne, wypasu bydła czy zasoby wody.

Niektóre kraje starają się rozładowywać te napięcia, ograniczając właśnie skutki zmian klimatycznych. W Etiopii trwa obecnie akcja sadzenia 4 mld drzew – ma to być zielony mur, który zatrzyma proces pustynnienia.

Afryka być może będzie szła pod prąd światowym tendencjom, demokratyzując się, podobnie wbrew globalnym tendencjom znosi się tam ograniczenia celne. Powstaje tam największa na świecie strefa wolnego handlu, obejmująca ponad 50 krajów i 1,3 mld ludzi.

Projekt cieszy się na kontynencie ogromną popularnością tak wśród obywateli, jak i przywódców – jego realizacja zajęła rekordowo krótki czas. Wszystkie kraje afrykańskie przystąpiły do unii – poza Erytreą.

Państwa afrykańskie znacznie więcej handlują ze światem zewnętrznym niż między sobą – wartość wymiany handlowej krajów kontynentu między sobą w ich bilansie handlowym to kilkanaście procent. To też zrozumiałe: korupcja czy stan dróg utrudnia handel wewnątrzafrykański. Ale to się zmienia, procedury są upraszczane. Na wielu granicach wdrażany jest na przykład program wspólnej kontroli dwóch sąsiednich państw, teraz zmniejszą się opłaty celne.

Unia jest nowym rodzajem panafrykanizmu, przebija się w niej nie tylko ideologia gospodarcza, ale też kulturowa, która to utraciła swój impet w latach 60. Stoi za nią też wola wzięcia większej odpowiedzialności za rozwój Afryki przez samych Afrykanów.

Co przyniesie strefa wolnego handlu? Dokończy dekolonizację gospodarczą, zatrzyma ekspansję chińską?

Interesy państw trzecich nie są zagrożone. Do tradycyjnej listy krajów, które chcą mieć coś do powiedzenia w Afryce – czyli: metropolii kolonialnych, Stanów Zjednoczonych, Chin – dołączają kolejne, a rywalizacja na kontynencie wyraźnie się zaostrza.

Kogo należy dopisać do listy?

Turcję, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Rosję. Szybko i skutecznie włączyły się do wyścigu o afrykańskie rynek i zasoby.

Unia ich ekspansji nie zatrzyma, ale sprawi, że powstanie system naczyń połączonych podobnie jak w Unii Europejskiej i świat będzie musiał patrzyć na Afrykę mniej jako na przedmiot, a bardziej jako na podmiot międzynarodowych stosunków gospodarczych.

Afryka musi jednak przede wszystkim uniezależnić się od państw trzecich. Nigeria jest jednym z największych producentów ropy, ale nie potrafiła jej przetwarzać i sprowadza drogą benzynę (ma to zmienić budowana w Lagos megarafineria). Wybrzeże Kości Słoniowej eksportuje najwięcej kakao, ale to Szwajcarzy sprzedają zrobioną z niego najdroższą czekoladę. Świadomość, że coś trzeba z tym zrobić, jest coraz silniejsza.

Jędrzej Czerep
jest analitykiem ds. Afryki Subsaharyjskiej
w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych

Sophiane Bengeloun/AP/East News

Czadyjski dyktator Hissène Habré w 2015 r. został postawiony przed sądem za doprowadzenie do śmierci tysięcy swoich obywateli. Spowodowało to tak ostre protesty jego zwolenników, że do budynku sądu oskarżonego musiała wprowadzać ochrona

Muzamil Mattoo/NurPhoto/Getty Images

Najdłuższe konflikty są zapomniane

Tylko garstka krajów nie jest w ten czy inny sposób zaangażowana w żaden konflikt. Sama Polska posiadała, posiada i będzie posiadać wojska na misjach w wielu państwach. O zdecydowanej większości z tych konfliktów świat jednak milczy

Dariusz Rosiak

Najnowszy raport *Global Peace Index* pokazuje, że na przestrzeni ostatnich 10 lat świat stał się mniej bezpiecznym miejscem. Liczba ofiar śmiertelnych w konfliktach wzrosła od 2008 r. o 140 proc. (choć od szczytu w 2014 r. nieco spadła). Wojny toczą się nie tylko w Syrii i na Ukrainie.

NAJWIĘKSZA MISJA ŚWIATA

W środkowym Mali w czerwcu uzbrojona grupa zaatakowała Sobale Kou. Napastnicy wymordowali całą należącą do plemienia Dogonów wieś, zabijając prawie 100 osób. Trzy miesiące wcześniej do jeszcze większej masakry doszło w Ogossagou, innej malijskiej miejscowości. Jej ofiarą padło prawie 170 członków plemienia Fulanów. W 2018 r. w podobnych starciach międzyetnicznych w Mali zginęło ponad 200 osób. W tym roku bilans będzie prawdopodobnie jeszcze większy.

Rywalizacja między Fulanami a Dogonami to jednak nic nowego. Trwa od wieków i zwykle kończyła się konsensusem. Sytuacja zmieniła się diametralnie po 2011 r., kiedy w Libii upadł reżim Kaddafiego. Północ Mali została przejęta przez Tuaregów, separatystów dążących do stworzenia na pustyni własnego państwa, oraz różne odłamy dżihadystów związanych z Al-Kaidą, a potem z Państwem Islamskim. W ciągu ostatnich siedmiu lat na terenie północnego Mali i krajów sąsiednich (takich jak Niger czy Burkina Faso) nieprzerwanie trwa powstanie, napędzane przez powszechnie dostępną broń, kontrolowany przez islamistów szmugiel ludzi i towarów przez pustynię oraz handel narkotykami (droga przez Sahel jest dziś najpopularniejszym ich szlakiem przerzutowym z Ameryki Południowej do Europy).

Wzmożenie tradycyjnego konfliktu między Dogonami a Fulanami to efekt uboczny działań różnego rodzaju bojówkarzy oraz bezradności władz. ONZ posiada w Mali swoją największą na świecie misję wojskową: na terenie tego kraju przebywa 15 tys. żołnierzy. Dwieście osób z tego personelu straciło życie w walkach zbrojnych – najwięcej w historii misji Narodów Zjednoczonych.

Jack Taylor/Getty Images

Z powodu krwawego konfliktu między plemionami Hema i Lendu 65 tys. Kongijczyków uciekło do Ugandy

RAPTEM KILKASET

W malijskich konfliktach międzyetnicznych rokrocznie giną setki ludzi. Trudno jednak znaleźć o nich informacje w prasie, internecie czy telewizji. Nie chodzi tylko o media polskie, gdzie cała Afryka traktowana jest jako jądro ciemności, ewentualnie jako destynacja turystyczna (safari, dzikość i możliwość rozdawania cukierków uroczym Murzyniątkom). O walkach w Mali rzadko mówią również media z Francji czy Wielkiej Brytanii, gdzie zainteresowanie byłymi koloniami jest znaczące. Nie rozpisują się o nich też dziennikarze w Stanach Zjednoczonych, które ciągle stanowią światową potęgę i z pewnością mają swoje interesy w rejonie Sahelu. Dlaczego?

Może chodzi o to, że Mali jest jednym z najbiedniejszych krajów świata i nawet wziąwszy pod uwagę zagrożenie terroryzmem w ostatnich latach, chaos w Sahelu nie przekłada się bezpośrednio na los Europejczyków i Amerykanów – w każdym razie tak chcieliby myśleć. Poza tym kilkaset ofiar rocznie w tak odległym miejscu nie pobudza nadmiernie wyobraźni.

KOSZMAR W KASZMIRZE

To ponętna interpretacja, ale jak w takim razie tłumaczyć równie znikome zainteresowanie Zachodu konfliktem między Indiami i Pakistanem o Kaszmir? Co jakiś czas kolejne pokolenia konsumentów zachodnich mediów dowiadują się, że taki konflikt istnieje – ostatnio w związku z decyzją indyjskich władz o znacznym ograniczeniu autonomii prowincji.

Od powstania obu państw w 1948 r. toczą one regularną, okresowo przerywaną wojnę o Kaszmir, w której zginęło co najmniej 50 tys. ludzi (niektóre źródła mówią o ponad 100 tys. ofiar). Dla porównania: w trakcie trwającej od lat 60. do końca XX w. wojny domowej w Irlandii Północnej zginęło około 3500 ofiar, a prawdopodobnie „najpopularniejszy" medialnie konflikt naszych czasów – wojna Izraela z Palestyńczykami – pochłonął od roku 1948 według różnych danych od 15 do 20 tys. ofiar.

Indie i Pakistan to dwa mocarstwa nuklearne, mieszka w nich ponad półtora miliarda ludzi, wojna między nimi byłaby katastrofą na skalę globalną. Jeśli napięcia między Nowym Delhi i Islamabadem nie budzą naszego zainteresowania, to co ma je budzić?

AFRYKAŃSKA WOJNA ŚWIATOWA

To nie liczba ofiar decyduje o zainteresowaniu mediów. Gdyby tak było, do dziś żylibyśmy „afrykańską wojną światową", czyli wojną w Demokratycznej Republice Kongo. Od połowy lat 90. XX w. do 2003 r. pochłonęła ona co najmniej 3 mln ofiar, w większości zmarłych w buszu na skutek przemocy, głodu i chorób. W konflikcie brało udział osiem państw, a działania zbrojne są nadal toczone. Miliony ludzi na północnym-wschodzie DR Kongo nie mają dachu nad głową, dzieci wcielane są do armii kierowanych przez watażków albo zbrojnych agentów sąsiednich państw, a gwałt jest jedną z najczęściej stosowanych metod „ujarzmiania" lokalnej ludności.

Mimo to przeciętnie poinformowany człowiek w Europie czy USA nie ma pojęcia, o co toczy się tamtejsza wojna i że w ogóle ma miejsce. Owa niewiedza pozwala Zachodowi ignorować ją ze spokojnym sumieniem. Gdyby więcej ludzi zdawało sobie sprawę, że w wojnie tej chodzi m.in. o kontrolę nad minerałami takimi jak choćby tantal (bez którego nie działałyby nasze komputery i telefony komórkowe), być może zainteresowanie byłoby większe.

CZEKAJĄC NA CLOONEYA

Być może, ale niekoniecznie. Ktoś musiałby pokierować kampanią na rzecz ofiar wojny w DR Kongo. Celebryci, którzy regularnie stają na czele kampanii przeciwko dyktatorom, prześladowaniom i wyzyskowi, niekiedy są w stanie realnie zainteresować opinię publiczną danym konfliktem.

Dobrym przykładem był na początku XXI w. konflikt w Darfurze, który wywołał ogromne zaangażowanie amerykańskich polityków i celebrytów z Georgem Clooneyem i Mattem Damonem na czele. Protestowali przeciwko ludobójstwu, którego dopuścił się w tej sudańskiej prowincji dyktator kraju Omar al-Baszir.

W tym samym czasie na południu Sudanu trwały okrutne prześladowania czarnoskórych obywateli. Dla amerykańskich celebrytów wojna na południu, która ostatecznie zakończyła się powstaniem Sudanu Południowego, nigdy nie była tak atrakcyjna jak ta w Darfurze i nigdy nie wzbudziła większego zainteresowania zachodnich mediów.

Wielokrotnie mylono konflikt na południu z wojną w Darfurze, co tylko gmatwało sprawy i utrudniało kampanie prowadzone przez przeciwników al-Baszira.

POKUTA ZA IRAK

Ważne jest bowiem – i tu być może dochodzimy do sedna sprawy – by rzecz dała się łatwo wyjaśnić w mediach elektronicznych. W przypadku Darfuru wiadomo było, że Omar al-Baszir i jego siepacze dokonują ludobójstwa niewinnej ludności cywilnej i Ameryka może przyczynić się do powtrzymania oprawcy. Co równie ważne, ludobójstwo w Darfurze dawało Amerykanom szansę odpokutowania (przynajmniej medialnego) grzechu zaniedbania, który popełnili dekadę wcześniej w Rwandzie. Wówczas Stany Zjednoczone – podobnie zresztą jak inne państwa i ONZ – nie zrobiły nic, by powstrzymać rzezie Tutsi dokonywane przez Hutu. W ciągu trzech miesięcy 1994 r. zginął tam prawie milion ludzi.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego konflikt w Darfurze mógł stać się popularny, choć nie był ani najbardziej wówczas krwawy, ani szczególnie ważny dla światowej polityki. Po 2003 r. doskonale wpisywał się w wewnętrzną debatę polityczną w USA i w niektórych krajach europejskich. Popularny wówczas slogan Out of Iraq, Into Darfur! („Wychodzimy z Iraku, wchodzimy do Darfuru!") prezentował realną alternatywę wobec polityki prezydenta Busha. Idea interwencji humanitarnej w Darfurze symbolizowała alternatywną wersję amerykańskiej obecności na świecie; zakładała wycofanie się z „niesprawiedliwej" wojny w Iraku i rozpoczęcie „sprawiedliwej" przeciwko ludobójcy al-Baszirowi w Sudanie.

METAFORA ZAMIAST ANALIZY

Ani natężenie zła i cierpienia, ani liczba ofiar, ani nawet umiejscowienie konfliktu na mapie świata nie decyduje o tym, czy staje się on dla zachodnich mediów ciekawy. Jeśli wojna zainteresowania nie budzi, wówczas często przyprawia mu się gębę konfliktu dziwnego – a taki najlepiej tłumaczyć ułomnościami ludzkiej natury, która zawiera w sobie mroczny pierwiastek.

Tak zresztą przedstawiano – i niekiedy do dziś się przedstawia – konflikt w Rwandzie. Metafory typu „zło zstąpiło na ziemię" czy „diabeł wstąpił w człowieka" mają zastąpić trudne i czasochłonne dociekania o jego przyczynach czy skutkach.

Obecny prezydent Rwandy Paul Kagame najpierw w 1994 r. wyzwolił kraj spod władzy ludobójców, a potem bardzo szybko sam okazał się dyktatorem i politykiem, na którym spoczywa największa odpowiedzialność za zbrodnie popełnione w DR Kongo na przełomie wieków. Po 1995 r. wojska Kagamego dokonywały rzezi w Rwandzie i DR Kongo. To on odpowiada również za dramatyczny los tysięcy ludzi na wschodzie DR Kongo. Uznanie tego stanu rzeczy prowadziłoby jednak do zakwestionowania polityki USA i wielu krajów europejskich wobec państw regionu Wielkich Jezior, a przede wszystkim zdezorientowałoby i tak nieliczną grupę, która kojarzy mniej więcej, czym było ludobójstwo w Rwandzie.

Dążąc do stworzenia własnego państwa, Tuaregowie od kilku lat nieprzerwanie prowadzą krwawe walki na terenie Sahary

Roland Neveu/LightRocket/Getty Images

Pascal Guyot/AFP/East News

Islamiści opanowali w 2012 r. najważniejsze miasta Mali, jednego z najbiedniejszych państw w Afryce Środkowej. Na zdjęciu malijscy żołnierze transportują bojowników pojmanych po samobójczym ataku terrorystycznym na północ od miasta Gao w lutym 2013 r.

MEM Z WOJNY

Konflikty mające miejsce w dziwnych miejscach – znacznie oddalonych od Nowego Jorku, Londynu i Paryża – by zaistnieć w mediach zachodnich muszą spełnić kilka warunków. Potrzebna jest jasna, przykuwająca uwagę historia z czytelnie zaznaczonymi postaciami, muszą dać się przełożyć na sytuację wewnętrzną w krajach zachodnich i najlepiej, aby dało się je pokazać jako apokalipsę. Dopiero gdy dwa lub więcej konfliktów spełniają te warunki, zaczynają liczyć się liczby – choć nie zawsze w oczywisty sposób.

Na przykład największa obecnie katastrofa humanitarna na świecie nie jest wywołana wojną w Syrii, tylko w Jemenie. W Syrii na terenach kontrolowanych przez Asada panuje dziś względny spokój, życie wraca do (tragicznej) normy. W wojnie w Jemenie zginęło kilkukrotnie mniej ludzi niż w wojnie syryjskiej (100 tys.), jednak 24 mln (ponad 80 proc. ludności) potrzebuje pomocy żywnościowej, a kiedy piszę te słowa, 2 mln dzieci umierają z głodu, 7,5 mln ludzi potrzebuje zaś natychmiastowej pomocy medycznej. Nie otrzymają jej, ponieważ wiele regionów kraju jest odciętych od świata.

Nie otrzymają jej również dlatego, że wojna w Jemenie jest wynikiem skomplikowanej gry politycznej Iranu i Arabii Saudyjskiej. Rijadowi pomaga z kolei Zachód (np. poprzez sprzedaż broni i politycznie), deklarując równocześnie, że nie marzy o niczym innym jak zakończeniu gehenny Jemeńczyków. Trudno te zależności wytłumaczyć w krótkiej depeszy telewizyjnej, tweecie albo memie.

KRAKSY ZAMIAST KATASTROF

Czy ktoś wie, że w Kamerunie ma obecnie miejsce jeden z największych na świecie kryzysów uchodźczych? W wyniku starć oddziałów rządowych z grupami paramilitarnymi prawie 500 tys. ludzi straciło domy, niemal milion dzieci nie chodzi do szkoły – a wszystko to w kraju, w którym teoretycznie panuje pokój. Dwa i pół miliona ludzi żyjących w basenie jeziora Czad nie ma gdzie mieszkać. Nigerią świat przez moment zainteresował się za sprawą islamistycznej grupy Boko Haram (porwała kilkaset dziewczynek), ale kraj zszedł z pierwszych stron gazet, gdyż kampanię terroru dżihadystów udało się powstrzymać – tymczasem w miejsce jednej organizacji pojawiają się inne. W Sudanie Południowym jest niespokojnie od uzyskania przez ten kraj niepodległości w 2011 r. (a w zasadzie na południu Sudanu konflikt toczy się od kilkudziesięciu lat). W Somalii wojna trwa trzecią dekadę.

Czasem mediom zabiera sporo czasu, zanim w ogóle zorientują się, że mają do czynienia z konfliktami zbrojnymi. W Meksyku w starciach karteli narkotykowych w ostatniej dekadzie zginęło ponad 120 tys. ludzi. W Hondurasie w wyniku wojen gangów ginie dziennie kilkanaście osób. W Republice Południowej Afryki w 2017 r. zanotowano 20 tys. morderstw.

Te wszystkie konflikty i wojny okresowo trafiają na pierwsze miejsca serwisów informacyjnych, stają się tematami poczytnych książek, jednak potem stopniowo ich życie medialne gaśnie.

Czy należy mieć pretensje do mediów i dziennikarzy, że obficiej relacjonują wypadki samochodowe w Londynie czy Warszawie niż klęskę głodu w Jemenie? Można to zrozumieć. Warto jednak pamiętać, że większość współczesnych wojen przypomina zapomniane konflikty, takie jak w Demokratycznej Republice Kongo i Mali, a nie szeroko relacjonowane w mediach Darfur czy Syrię. ◎

Dariusz Rosiak
jest dziennikarzem radiowym i prasowym. W radiowej Trójce prowadzi program „Raport o stanie świata", współpracuje z redakcją publicystyki międzynarodowej Polskiego Radia. Autor książek m.in.: *Oblicza Wielkiej Brytanii*, *Żar. Oddech Afryki*, *Człowiek o twardym karku. Historia księdza Romualda Jakuba Wekslera-Waszkinela*, *Wielka odmowa. Agent, filozof, antykomunista*, *Ziarno i krew. Podróż śladami bliskowschodnich chrześcijan*

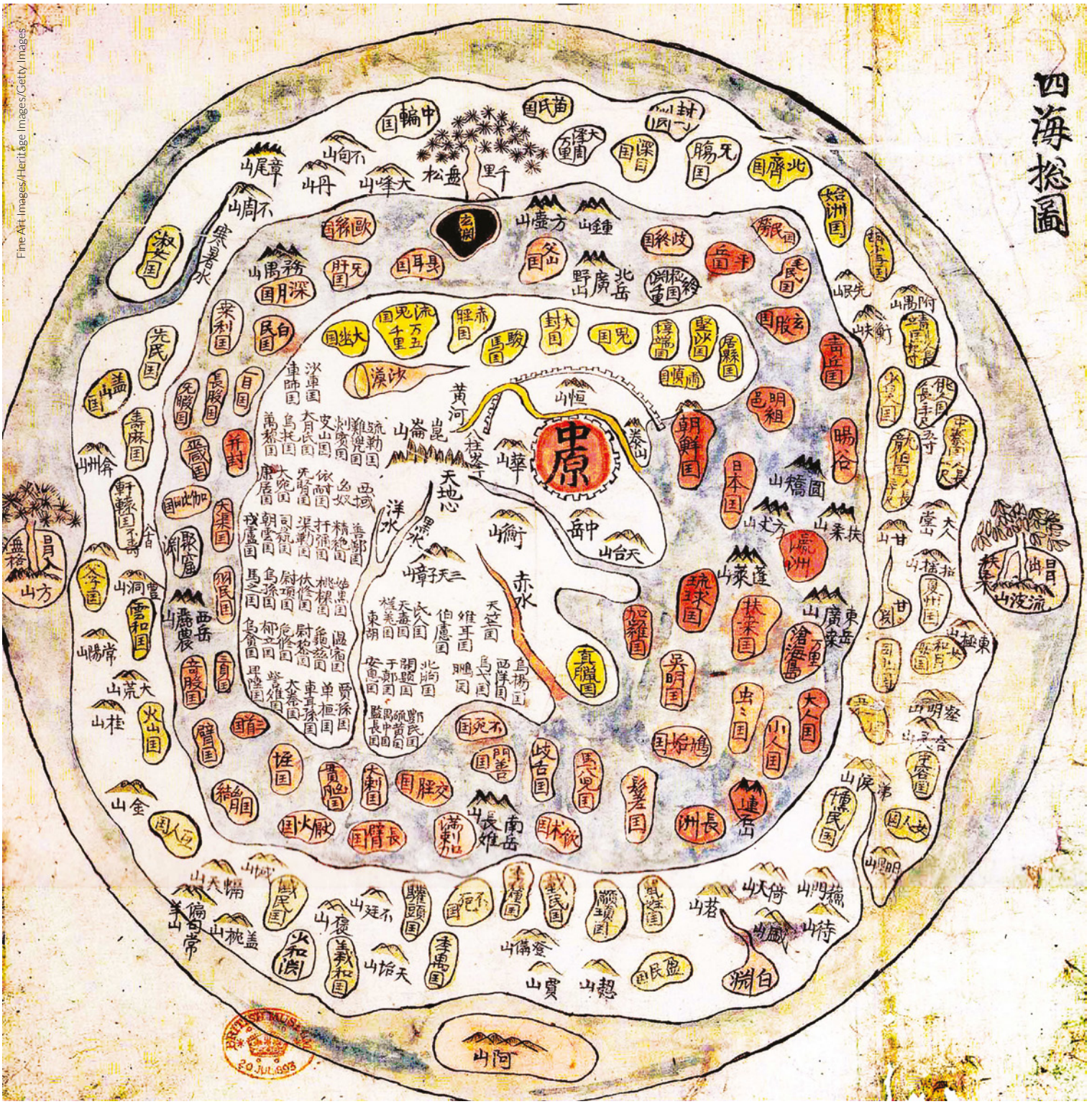

Mapa z połowy XVIII w. pokazuje Chiny w centrum świata.
Tak postrzegali i wciąż postrzegają się Chińczycy

Chiny są jak Rzym, który nigdy nie upadł

Dla Chin Europa jest tym, czym dla starożytnego Rzymu była Grecja – taki zwasalizowany przez Amerykę dodatek z resztkami niezależności. Chińczycy chcieliby zresztą, żeby UE była silniejsza. Nie chcą powtórki zimnej wojny i pojedynku Chiny kontra USA

Z Michałem Lubiną, sinologiem i publicystą, rozmawia Jarosław Kociszewski

JAROSŁAW KOCISZEWSKI: Czy Azja Południowo-Wschodnia jest skazana na bycie chińską strefą wpływów?

MICHAŁ LUBINA: Azja Południowo-Wschodnia przypomina trochę Europę Środkową: tak jak ta ostatnia jest w cieniu Niemiec, tak Azja Południowo-Wschodnia trwa w cieniu Chin. Pytanie, które zadałeś, jest bardziej uniwersalne: czy państwa mniejsze muszą być podporządkowane większym?

Jaka jest odpowiedź?

Nie muszą być podporządkowane. W naszej części świata, czyli we wschodniej części Unii Europejskiej, Niemcy mają największe wpływy w regionie, ale ta dominacja ma granice, a każdy z krajów regionu jest samodzielny politycznie czy społecznie. Bardzo podobnie jest w Azji Południowo-Wschodniej. Chiny gospodarczo dominują w każdym państwie regionu, ponadto w niektórych żyje ogromna diaspora chińska, która opanowała całe gałęzie gospodarek – tak jest w Malezji, Indonezji czy na Filipinach. Mimo wielkich wpływów gospodarczych Chiny jednak nie kontrolują tych państw w zupełności, podobnie jak Niemcy nie panują w Polsce czy na Węgrzech.

Odpowiedź, jakiej ktoś udzieli na pytanie o stosunek większych państw do średnich i mniejszych, wiele mówi o jego światopoglądzie. Jeśli mamy imperialistyczną, wielomocarstwową i geopolityczną perspektywę świata, zobaczymy kraje Azji Południowo-Wschodniej jako przybudówki większych państw, przedsionki Chin. Jeżeli natomiast spojrzymy w sposób bardziej zrównoważony, mądrzejszy, przekonamy się, że tamte państwa pomimo dominacji Pekinu prowadzą własną politykę. Najlepszym przykładem jest Birma, która wyraźnie się Chińczykom opiera i jest niezależna, mimo że Chiny odpowiadają za 70 proc. jej wymiany handlowej. Spójrzmy też na Singapur, który jest miastem chińskim, a politycznie jest proamerykański.

Chińczykom wyraźnie opiera się też Wietnam.

Wietnamczycy szczerze nie znoszą Chińczyków. Wietnam to kraj, który przetrwał 1000 lat chińskiej okupacji, nauczył się funkcjonować obok Chin i stanowczo broni się

Chińczycy wobec cywilizacji zachodniej odczuwają równocześnie kompleks wyższości i niższości. Zostali podbici ok. 200 lat temu i dopiero teraz odzyskują należne im miejsce w centrum świata

przed dominacją gospodarczą Pekinu. Jego społeczeństwo jest antychińskie, na co wietnamska partia komunistyczna musi uważać. Na początku tego wieku grała ona na antychińskich sentymentach, co okazało się tak skuteczne, że ta sama partia musi teraz blokować wywołane przez siebie nastroje. W przeciwnym wypadku ludzie pomordowaliby żyjących w Wietnamie Chińczyków i popaliliby im domy.

Wietnamczycy prowadzą mądrą politykę. Równoważą wpływy Chin, ale ich nie drażnią. Znają granice. Na przykład w polityce historycznej Hanoi nie przypomina o zwycięskiej wojnie z Chinami z 1979 r. Wietnam jest dla Chin tym, czym Finlandia dla Rosji: tak Wietnamczycy, jak i Finowie wiedzą, że są za blisko i nie mogą przesadzić, ale jednocześnie wyraźnie zaznaczają swoją niezależność.

Czyli jednak dominacja? Z wyjątkami, na miękko, ale jednak dominacja.

Europejczykom w rozmowie o Azji Południowo-Wschodniej przeszkadza operowanie pojęciami, takimi jak suwerenność czy integralność terytorialna. Dla nas są to kategorie naturalne, a tam pojawiły się dopiero wraz z kolonializmem.

Przed XIX w. wszyscy w regionie rozumieli, że najważniejszym państwem są Chiny. Były Chiny i reszta. Jeśli w Państwie Środka panowała silna dynastia, kontrolowała ona cały region. Jeśli zaś była akurat słabsza, to tylko mówiła, że kontroluje. Państwa Azji Południowo-Wschodniej wysyłały trybuty do Chin, a one w zamian nie ingerowały w ich politykę wewnętrzną (choć w najbliższym sąsiedztwie Chin, w miejscach, w których miały one szczególnie silne interesy, jak Korea czy Tybet, działało to nieco inaczej).

Dla Chin liczyło się, by państwa regionu uznawały je za centrum świata, a gdy uznawały, pozwalano tym państwom funkcjonować, jak chcą. To ważny motyw systemowego myślenia chińskiego sprzed epoki kolonializmu. Nosi on miano tianxia – to układ nazywany „podniebnym" oznaczający potężne Chiny i wszystkich innych orbitujących wokół.

Najłatwiej wyobrazić sobie tę sytuację tak: jak rysowałaby się sytuacja w Europie, jeśli Cesarstwo Rzymskie nigdy by nie upadło? W Rzymie zmieniałyby się dynastie, wokół powstawałyby kolejne państwa, a cesarstwo istniałoby dalej. Zastanówmy się, czy wówczas nadal byśmy mówili, że wszyscy jesteśmy sobie równi? Tak właśnie jest w Azji, gdzie Chiny ze swoją bardzo starą kulturą nigdy nie upadły i są tym, czym Rzym był dla Europy. Kolonializm zmienił to na Dalekim Wschodzie na dwa wieki, ale co najmniej od 30 lat stary model powraca w zmienionych szatach.

Czy to znaczy, że mówienie o chińskim kolonializmie jest kalką naszego myślenia o świecie?

Zależy gdzie. Chiński kolonializm jest wyraźnie widoczny w Afryce, ale Chińczycy sięgają po zupełnie inne środki niż te dawniej wykorzystywane przez europejskich kolonizatorów. To już nie jest XIX-wieczne zajmowanie terenów i tworzenie stref wpływów. Europejczycy ustanawiali własne administracje i rządy, co było kosztowne i w rezultacie doprowadziło do upadku imperiów. Chińczycy tego nie robią.

Kolonializm chiński istnieje, ale ma charakter ekonomiczny. Oni respektują suwerenność krajów, nie mieszają się do polityki wewnętrznej – pod warunkiem że zarabiają.

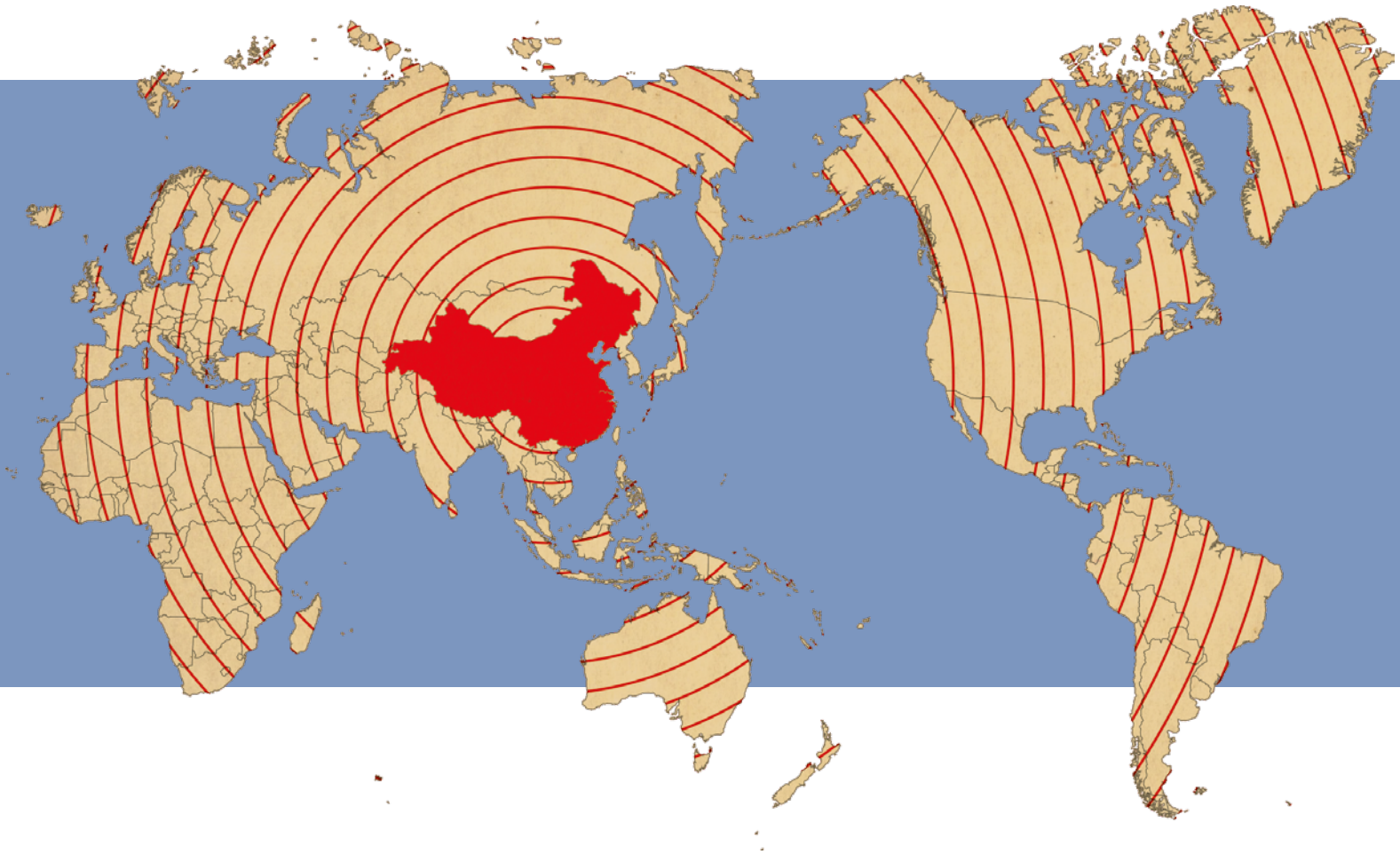

Budują swoje fabryki i kopalnie, a następnie wywożą zyski i surowce. Skutkiem jest popieranie dyktatorów, którzy zresztą też na tym dobrze wychodzą. Chińczycy naprawdę nie chcą obalać tamtejszych watażków, wolą wyzyskiwać ich w białych rękawiczkach. Klasyczne win-win, choć niekoniecznie dla ludności. Wszystko zależy od siły danego państwa i od tego, czy jest w stanie prowadzić partnerski dialog z Chińczykami. Oczywiście słabe państwa afrykańskie nie mogą tego robić.

Dokładnie tak samo wygląda to w przypadku Syberii. Chińczycy zablokowali swoją migrację w tamtym kierunku, żeby nie drażnić Rosjan, to prawda. Jednocześnie jednak zawarli legalne i nielegalne umowy, które zapewniają im wszystko, czego potrzebują, w tym ropę, gaz, ryby, a także – dzięki gigantycznej kontrabandzie – nieprawdopodobne zupełnie ilości drewna.

To znaczy, że patrząc na resztę świata, Chiny widzą strefy wpływów?

Kluczowym elementem chińskiego myślenia o świecie jest kategoria cywilizacji czy też potocznie rozumianego cywilizowania. Chińczycy uważają, że są jedyną kulturą na świecie, a cała reszta to barbarzyńcy. Co więcej, jest to podejście dużo bardziej skrajne niż nasze europejskie poczucie wyższości. Wynika z przekonania, że im ktoś jest bardziej schińszczony, tym bardziej jest człowiekiem. W tradycyjnym chińskim podejściu nie rodzimy się ludźmi, ale stajemy się nimi dzięki edukacji i kulturze.

Model ten Chiny przeniosły na stosunki międzynarodowe. W konsekwencji z ich perspektywy świat tradycyjnie dzielił się na kręgi. Pierwszy to Chiny; krąg drugi to państwa „schińszczone", ale mniej lub bardziej niezależne; trzeci krąg to kraje zewnętrzne, jak Tajlandia czy Birma, które z punktu widzenia Pekinu nie musiały być chińskie, ale powinny znać swoje miejsce w szeregu. Tak było do epoki kolonializmu.

Jak dziś wygląda ów podział na kręgi?

Ekipa Xi Jinpinga dzieli świat tak: najpierw są relacje z USA, które powinny być równe (oczywiście tymczasowo, bo z biegiem lat Chiny mają w „naturalny" sposób zastąpić USA w roli hegemona); potem relacje z innymi mocarstwami, następnie z sąsiadami, potem z krajami rozwijającymi się. Widać więc tu modyfikację wymuszoną okolicznościami. Chiny rozumieją, że to Amerykanom trzeba poświęcić najwięcej uwagi i tylko oni mogą powstrzymać chiński „powrót na należne miejsce". Chwilowo więc – przez najbliższy wiek – USA muszą być szczególnie traktowane.

Wracając do wątków kulturowych: sinocentryzm zakłada, że jeśli ktoś raz dostał się pod chińskie panowanie, powinien pozostać tam na zawsze. To zresztą logiczne, bo skoro kultura chińska ma być najlepsza, to

Thomas Kuhlenbeck/Getty Images

każdy powinien sam chcieć do niej należeć. Przekładając to na zachodnie przykłady, moglibyśmy uznać, że Karaiby nadal powinny należeć do Hiszpanii albo Wielkiej Brytanii, skoro kiedyś były hiszpańskie i brytyjskie.

Przez wieki Chińczycy byli przekonani, że są centrum świata, o czym mówi sama nazwa Chiny – po chińsku to Zhongguo, czyli Państwo Środka. Oni nie widzieli innego świata, do XIX w. nie spotkali się z równą sobie cywilizacją. To wykształciło u nich przekonanie, że cywilizacja chińska to po prostu cywilizacja, a cała reszta to mniejsza lub większa barbaria.

Dopiero w XIX w. przyszli Europejczycy, co wywołało trwający do dzisiaj problem: Chińczycy wobec cywilizacji zachodniej odczuwają równocześnie kompleks wyższości i niższości. Zostali podbici ok. 200 lat temu i dopiero teraz odzyskują należne im miejsce w centrum świata. Jednak teraz Zachód to dla nich przede wszystkim USA.

A gdzie jest Europa?

Z punktu widzenia Chin Europa jest tym, czym dla starożytnego Rzymu była Grecja – taki zwasalizowany dodatek z resztkami niezależności. Chińczycy chcieliby zresztą, żeby Unia Europejska była silniejsza. Nie chcą powtórki zimnej wojny i pojedynku Chiny kontra Stany Zjednoczone, bo uważają, że byłoby to dla nich bardzo niebezpieczne. Woleliby większe konfiguracje z większą liczbą graczy, również z Rosją. Dlatego też chcieliby upodmiotowić UE i żartuje się nawet, że Chińczycy będą walczyć o zachowanie waluty euro do ostatniego Europejczyka.

Jak w takim razie Europa (w tym Polska) może współpracować z Chińczykami, nie dając im się jednocześnie wyzyskać?

Istnieje tu wyraźna różnica między Europą Zachodnią i Środkowo-Wschodnią. Europa Zachodnia ma wysoko zaawansowane technologie, których Pekin potrzebuje, choć już mniej niż dawniej. Chiny podejmują obecnie próbę przeprowadzenia rewolucji technologicznej. Przyjeżdżając do Chin, czuję się, jakbym przybył z XIX w. Większość transakcji jest bezgotówkowych. W wielu miejscach w ogóle nie można płacić gotówką, tylko z aplikacją, najpopularniejszego już chyba komunikatora na świecie, czyli WeChata. Jak się go nie ma, człowiek czuje się jak bez ręki.

Natomiast Europa Środkowo-Wschodnia technologii nie ma. Niektóre kraje są dogodnie

Im ktoś jest bardziej schińszczony, tym bardziej jest człowiekiem. W tradycyjnym chińskim podejściu nie rodzimy się ludźmi, ale stajemy się nimi dzięki edukacji i kulturze

położone – np. Węgry czy Polska – jednak znaczenia tego faktu też bym nie przeceniał, bo chińska ekspansja nie ma charakteru geograficznego, lecz ekonomiczno-technologiczny. Polska ma Chinom mało do zaoferowania. Głównym produktem, który sprzedajemy Chinom, jest miedź. Jej sprzedaż stanowi około dwóch trzecich wartości naszego eksportu. Reszta to drobnica.

Od lat istnieje niegłupi pomysł na sprzedaż polskiej żywności, ale to wymagałoby zdjęcia przez Chiny barier administracyjnych. Powoli się to dzieje, ale znów na przeszkodzie może stanąć wielka polityka, bo w sporze z Huaweiem wyraźnie stanęliśmy po stronie USA. W rezultacie nasze stosunki gospodarcze z Chinami wyglądają tak, że my sprzedajemy im surowce, a oni nam technologie, bo pod wieloma względami są już od nas krajem bardziej rozwiniętym. To właśnie jest model neokolonialny, dokładnie tak samo jak w relacjach Chin z Rosją.

To kolejna już rewolucja w Chinach. Tym razem technologiczna...

W Europie, czy szerzej na Zachodzie, mamy dwuznaczny stosunek do technologii. Z jednej strony cieszymy się z postępu, z drugiej boimy się, oglądając *Black Mirror*, a w latach 80. wyprodukowaliśmy całą serię filmów o tym, jak komputery przejmują kontrolę nad światem. Do tego dochodzi zachodnia debata na temat mediów społecznościowych, które nie przysługują się demokracji i szeroko rozumianej wolności.

W Chinach narracja jest bardzo prosta – postęp technologiczny jest bezdyskusyjnie dobry, a serial *Black Mirror* nigdy by tam nie powstał.

Dlaczego postęp technologiczny dla Chińczyków jest jednoznacznie korzystny?

Pozwala „dogonić i przegonić" Zachód, jak kiedyś powiedział Nikita Chruszczow. Dla nich najważniejsze jest przywrócenie należnego Chinom centralnego miejsca na świecie. Dogonienie Zachodu to dla nich za mało. Nie zadowolą się tym, co jest celem Polski od rozpoczęcia przez nią reform w 1989 r.

Pod pewnymi względami Chińczycy już zresztą przegonili Zachód, choć w większości sfer wciąż pozostają w tyle. Dlatego nadal potrzebują technologii, które kopiują, przekształcają i dostosowują do swoich potrzeb. USA i Europa Zachodnia je mają i dlatego są dla Pekinu ważne. Europa Zachodnia zastanawia się, jak zarobić na tych relacjach, a jednocześnie nie dać się okraść, tak jak Siemens dał okraść się Chińczykom, uczestnicząc w stworzeniu tam sieci szybkich kolei. Kraje Azji Południowo-Wschodniej mają 2 tys. lat doświadczenia w prowadzeniu polityki z Chinami: handlują z nimi na potęgę, ale wciąż wolą amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa i dlatego mogą nam zaoferować sporo cennych rad.

Michał Lubina
jest wykładowcą Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ, autorem kilku książek, w tym *Niedźwiedź w cieniu smoka. Rosja-Chiny 1991–2014* oraz *Pani Birmy Aung San Suu Kyi. Biografia polityczna*

Etiopia schińszczona

Kilka lat temu na dalekim południu Etiopii przedszkolaki na mój widok z płaczem czmychnęły w busz. Wychowawca później tłumaczył im, że biały jest takim samym człowiekiem jak czarny, a kolor skóry nie ma znaczenia. To po prostu farandżi – cudzoziemiec. Mnie z kolei wyjaśnił, że byłem pierwszym białym, którego te brzdące widziały na oczy.

Po dwóch czy trzech latach mali Etiopczycy znowu wprowadzili mnie w osłupienie. Przejeżdżając przez kolejne wioski, zauważyłem, że dziecięce „farandżi, farandżi" zastąpiły okrzyki „czajna, czajna". Kierowca wyjaśnił, że dla małych Afrykańczyków każdy „nieczarny" obcokrajowiec jest taki sam – nie ma znaczenia, czy pochodzi z Europy, czy z Azji. Najczęściej natomiast spotykanymi cudzoziemcami są dziś mieszkańcy Państwa Środka.

Chińska dominacja jest widoczna dosłownie na każdym kroku. Przybysz wysiadający na rozbudowanym przez chiński koncern lotnisku w Addis Abebie idzie na parking, którego część wydzielono dla samochodów wysłanników Pekinu. Z miasta wyjechać może nowoczesną koleją lub autostradą. Jedno i drugie jest dziełem Chińczyków, podobnie jak nowoczesna sieć komórkowa. Pozwala ona nie tylko rozmawiać, ale także korzystać z Internetu – w zakresie dopuszczanym przez władze, które – o dziwo – wykorzystują chińskie technologie do kontrolowania sieci.

To wszystko byłoby znośne, a czasem wręcz wygodne, gdyby nie „imperializm noclegowy" – bo jak inaczej nazwać wynajmowanie całych, jedynych znośnych hoteli, na potrzeby przybyszów z Azji? Na szczęście broni się jeszcze gastronomia, bo Chińczycy otwierają własne restauracje i nie zajmują lokalnych.

Jarosław Kociszewski

Zabijać trzeba umieć

Tekst i zdjęcia Julia Zabrodzka

Mali chłopcy jeszcze nie myślą o zabijaniu. Najczęściej podoba im się postać torreadora, strój, aura, która go otacza. Zarazili się tym od ojców i dziadków

Manuel ma siedem lat i chce zostać torero. Stoi z miniaturową muletą i szpadą, czekając na atak byka. Byk jest niewiele starszy. Też chce zostać torero. Za kilka minut chłopcy zamienią się rolami.

Takich par na zabytkowej arenie w Écisze jest dzisiaj 10. Byki w wyprostowanych rękach trzymają atrapy rogów, przymocowane srebrną taśmą do drewnianej belki. Pochylają się i atakują niemrawo, jakby w zwolnionym tempie.

Torreadorzy wywijają różowo-żółtymi kapami i czerwonymi muletami. Przybierają pozy, jakie widzieli w telewizji i na zdjęciach: biodra wypchnięte do przodu, szczęka przyklejona do klatki piersiowej, usta otwarte. Czasem odrzucają głowę w tył, w komicznym geście triumfu.

„Byk nie gada. Skupcie się trochę!" – strofuje ich nauczyciel José María Fijo.

„Większość z nich nie zostanie torreadorami" – tłumaczy mi po chwili. „Ci przyszli na plotki, tamten dłubie w nosie, ten gapi się w niebo. To nieduże miasto, nie ma zbyt wielu atrakcji dla nastolatków. Lepiej, żeby przychodzili tutaj i dowiedzieli się czegoś o korridzie, niż szwendali się po ulicach".

TAK NAS WYCHOWALI

W całej Andaluzji zarejestrowanych jest prawie 20 szkół korridy. Najstarsza działa od 1830 r., co oznacza, że jest niemal równie stara jak sama idea. Bo chociaż pierwsze zapisy o walce z bykami pochodzą z XI w., to przyjmuje się, że obecną formę korrida przybrała na przełomie XVIII i XIX stulecia.

Zajęcia w Écisze odbywają się trzy razy w tygodniu: w poniedziałki, środy i czwartki.

„Czy chcę zostać torreadorem? Jasne, że tak" – obrusza się Iván. Ale w jego ruchach nie widać determinacji. Często przysiada pod balustradą, zagaduje kolegów. Jeśli chodzi o postawę, daleko mu do młodszego o dwa lata Manuela, który jest skupiony, zaangażowany, niezmordowany.

„Teoretycznie przyjmujemy dzieci od dziewiątego roku życia" – wyjaśnia maestro José María. „Młodszym trudno wytrzymać dwie godziny treningu. Ale czasem robimy wyjątki. Manuel jest bardzo zdolny, nie rozprasza się tak łatwo jak inni, starsi chłopcy".

„Pytasz, co taki dzieciak może wiedzieć o zabijaniu?" – maestro zastanawia się przez chwilę. „W ich wieku jeszcze się o tym nie myśli. Najczęściej podoba im się postać torreadora, strój, aura, która go otacza. Wiem, że wam, cudzoziemcom, korrida wydaje się dziwna i okrutna. Myśmy się tak wychowali, patrzymy inaczej. Chłopcy oglądają korridę w telewizji ze swoimi rodzicami i dziadkami. Zarażają się pasją. Ale kariera torreadora jest w dzisiejszych czasach trudna. Niełatwo się przebić, zarobki coraz niższe. Sam nie chciałbym, żeby mój syn został torero".

ZROZUMIEĆ BYKA

Mimo licznych kontrowersji korrida obecna jest w większości hiszpańskich mediów. Transmituje ją telewizja, komentują gazety. Rubrykę „Lidia", czyli „Walka", ma nawet lewicujący „El País". Podczas ważniejszych świąt, jak sewilska Feria de Abril, relacje z korridy ukazują się w tym najpoważniejszym hiszpańskim dzienniku codziennie – pomiędzy kulturą a sportem. Są w nich informacje o pochodzeniu zwierząt i ich zachowaniu na arenie. Przeważają słowa takie jak „godna postawa", „odwaga", „szlachetność" czy „powaga". Byk przedstawiany jest jako równy przeciwnik, któremu należy się szacunek.
Swego rodzaju personifikacja byka ma miejsce także na zajęciach w szkole korridy. Chłopcy mają myśleć, jak atakujące zwierzę, wczuć się w jego ruchy. Bo dobry torreador musi „zrozumieć" byka. „Bardzo dobrze!" – Pepe Luís, dawny matador, a dziś nauczyciel, chwali ucznia, który niemal idealnie wykonał szarżę na różowo-żółtą płachtę. „Ale zewnętrzny róg trochę niżej! Nie dotykaj płachty samym czubkiem. Byk nie dźga, tylko uderza!"

Czasem rolę byków odgrywają nie koledzy, ale jednokołowe wózki z przymocowanymi z przodu rogami. Służą do treningu ciosów. Chłopcy wbijają szpikulce w kartony zamocowane na wózku. Podczas prawdziwej korridy takie szpikulce mają banderrilleros (pomocnicy matadora). Ich zadaniem jest osłabienie zwierzęcia przed decydującym starciem. Trzeba do tego odwagi i zwinności. Mało kto marzy jednak o karierze pomoc-

PUERTA DE CUADRILL
REAL VENTA DE ANTEQUERA

nika. Banderillero to aktor drugoplanowy. Dlatego chłopcy wolą ćwiczyć ze słomianą kukłą byka niż z wózkiem. Ostrą szpadą zadają śmiertelny cios – niczym matador, główny bohater spektaklu.

CHŁOPCY KONTRA CIELAKI

Antonio, lat 50, miał zostać torreadorem, ale za szybko zaczął latać za dziewczynami. Jednak afición, czyli miłość do korridy, pozostała. Jedziemy do hodowli byków Astolfi, gdzie jego 11-letni syn Alejandro będzie walczył z cielakiem, którego podarował mu dziadek. Wzdłuż drogi rosną agawy, a za nimi ciągną się rozległe pastwiska.

Kiedy docieramy na miejsce, Alejandro jest już prawie gotów. Ubrany w markowe dżinsy i błękitną koszulę. Nad czołem sterczy mu fala z mocno nażelowanych włosów. Fryzura nie pasuje do twarzy dziecka o ufnych, niebieskich oczach. Z przejęciem ogląda cielaki. Wybrał już swojego, martwi się, że inne zwierzę atakuje go rogami.
To nie będzie jego pierwsza walka, ale i tak trochę się denerwuje. Na widowni cała rodzina – rodzice, dziadkowie, wujostwo – i koledzy ze szkoły. Kilkumiesięczna krowa, z którą walczy, ma mnóstwo energii. Raźno przypuszcza ataki, nie trzeba jej nawet specjalnie drażnić. Po kilku minutach chłopiec coraz częściej gubi kapę przydeptywaną przez zwierzę. Widzowie buczą. „No co ty, nie piłeś cola cao na śniadanie?" – dogaduje wujek Anselmo. „Chłopie, ogarnij się! Co ty robisz?"

Alejandro trzyma fason jeszcze z dziesięć minut. Potem wymiotuje na arenę. Jego dziadek, kiedyś hodowca byków, nerwowo powtarza, że wnuk nie jadł śniadania. Ale zaraz przytula go i uspakaja.

Tymczasem energiczne cielę naciera na kolejnych chłopców. To jedyne walki w jego krowim życiu. Choć wyjdzie z nich bez szwanku, nie wróci już na arenę. Bo stało się zbyt groźne – dokładnie jak w kultowym (dla fanów korridy) filmie Chłopiec i byk. Jego bohater przyłapuje syna na zabawie z młodym byczkiem. Zagniewany krzyczy: „Nie wolno ci bawić się z nim płachtą! Młody cielak uczy się zbyt szybko. Gdyby kiedyś potem wyszedł na arenę, będzie wiedział, gdzie jest kapa, a gdzie ciało matadora. Będzie mordercą. To niezgodnie z prawem".

Film pochodzi z lat 60., ale nawet w dzisiejszych czasach hodowcy muszą chronić młode byki przed aficionados, wielbicielami korridy, którzy nielegalnie zakradają się do hodowli i ćwiczą za darmo.

Jeśli cielę jest odważne i waleczne, trafi z powrotem na pastwiska, a za kilka lat zostanie wykorzystane jako reproduktor. Ale jeśli nie wykaże się charakterem, skończy w rzeźni. Taka śmierć jest znacznie smutniejsza – powtarzają fani korridy.

Na arenie byk zawsze ma szansę. Dla szczególnie odważnych zwierząt przewidziano rodzaj ułaskawienia – indulto – o które może wystąpić torreador, publiczność bądź hodowca. Jednakże ułaskawienie nie zdarza się często. „Prawdziwa walka byków nie jest sportem, tylko tragedią, i byk musi zginąć" – pisał Ernest Hemingway, bodaj najsłynniejszy fan korridy, w książce Śmierć po południu.

WALKA DOBRA ZE ZŁEM

„Zabijać trzeba umieć" – wyjaśnia mi maestro José María. – Ja, kiedy byłem młody, ćwiczyłem w rzeźni. Uczyłem się, jak wbić szpadę, żeby jak najszybciej uśmiercić zwierzę. Już wtedy takie ćwiczenia były nielegalne, ale ciągle się to robiło. Dziś już tak nie można.
Dla jego starszych uczniów okazją do ćwiczeń jest becerrada w Osunie. To rodzaj bezpłatnej fiesty, podczas której chłopcy walczą z rocznym bykami. Mają po 16 lat, ale wyglądają na młodszych: drobni, bladzi, z młodzieńczym trądzikiem. Wszyscy są novilleros, początkującymi torreadorami, którzy stawali już naprzeciw novillos, czyli dwu-, trzyletnich zwierząt.

Na trybunach całe miasteczko: nastolatki, dorośli, sporo osób starszych. Panuje atmosfera rodzinnego pikniku. W pierwszym rzędzie przeważają dzieci. Eleganckie, w wyprasowanych koszulach i sweterkach zarzuconych nonszalancko na plecy. Machają nogami w mokasynach z frędzlami.

Jako pierwszy na arenę wychodzi Pablo ze szkoły w Sewilli. Naprzeciw niego staje przerażony cielak, który wcale nie zamierza atakować. To zły znak. „Żeby korrida była udana, potrzeba dobrych torerów i dobrych byków" – pisał Hemingway.

Publiczność żegna Pablа chłodnymi brawami. Ale następny novillero, niezgrabny nastolatek, porywa widzów. Oklaskują go na stojąco, machają białymi chustkami. W nagrodę za dobrą walkę chłopak dostaje odcięte ucho byka. Po nim wychodzi drobny blondyn o twarzy cherubina. To nie jest jego dzień. Walczy nieporadnie, nie może poradzić sobie z zabiciem zwierzęcia. „On nie potrafi. No po prostu nie umie!" – prycha pogardliwie starszy pan w pierwszym rzędzie, chowając twarz w dłoniach. Byki, które biorą udział w „dorosłych" korridach, mają zazwyczaj cztery lata i ważą dobrze ponad pół tony. Na szczęście roczne zwierzęta na arenie w Osunie są znacznie mniejsze i lżejsze. To ratuje Josè Javiera, kolejnego novillero – byk bodzie go rogami i tratuje.

Publiczność wstrzymuje oddech. Wątły chłopiec podnosi się z piasku, otrzepuje i ponownie staje do walki. Silny cios znowu powala go na ziemię. Patrzę z przerażeniem. Kolejne upadki i ataki rozjuszonego zwierzęcia zdają się nie robić na młodym novillero żadnego wrażenia. To jest ten dziwny moment, kiedy wydaje się, że na arenie trwa pojedynek dwóch równorzędnych przeciwników – niemalże starcie dobra ze złem, jak chcą to widzieć zagorzali aficionados.

Ostatecznie 16-letni José Javier tryumfuje. Trybuny szaleją, dzieci w pierwszym rzędzie krzyczą i wymachują. Ktoś rzuca bukiet kwiatów. Zwycięzca unosi w górę obie ręce, potrząsa parą odciętych uszu. Kilku mężczyzn opasuje martwe cielsko byczka łańcuchami i ściąga je z areny.

Julia Zabrodzka
jest fotografką, finalistką Grand Press Photo, korridę fotografuje od kilku lat

Awakening/Getty Images

L'Eroica

Piotr Chałubiński

Ich jednoślady mają 30-40 lat, czasem są dużo starsze. W tym wyścigu, którego trasa biegnie przez piękną Toskanię, można ścigać się nawet na rowerach pocztowych czy dostawczych

Awakening/Getty Images

Awakening/Getty Images

Stylowe damy i dżentelmeni na starych, czasem wręcz zabytkowych rowerach przemierzają kręte drogi toskańskiego regionu Chianti. Nie chodzi tu o wynik, tylko o dobrą zabawę i bohaterstwo, do którego nawiązuje nazwa wyścigu – L'Eroica.

W imprezie może wziąć udział każdy, kto spełni kilka podstawowych warunków. Jednym z nich jest rower wyprodukowany przed 1987 r., który znacząco różni się od nowoczesnych konstrukcji – począwszy od pedałów z tzw. noskami, przez manetki od przełożeń umieszczone na ramie, skończywszy na przewodach hamulcowych prowadzonych na zewnątrz ramy.

Do retro roweru najlepiej pasują oczywiście dodatki retro. Zamiast strojów, których producenci chwalą się wykorzystaniem technologii kosmicznych – stylowe trykoty bez krzykliwych reklam, wełniane wzorzyste podkolanówki czy skórzane kaski.

Awakening/Getty Images

Uczestnicy mogą też wybrać dystans – od 38 do ponad 200 km – jaki zamierzają pokonać po asfalcie i *strade bianche*, czyli charakterystycznych dla regionu białych drogach szutrowych. Trasę wyznaczają punkty kontrolne, na których do książeczki wyścigu wbijane są kolejne pieczątki.

L'Eroica to również smak lokalnego wina i potraw oraz atmosfera niewymuszonej zabawy podczas towarzyszących imprezie kiermaszów sprzętu, pokazów filmów i ulicznych targów staroci.

Wyścig, uważany za jedną z najbardziej malowniczych imprez rowerowych na świecie, od 1997 r. organizowany jest w pierwszą niedzielę października. L'Eroica, na którą przyjeżdżają pasjonaci kolarstwa z wielu części świata, zainspirowała podobne imprezy w Niemczech, Wielkiej Brytanii, USA, a nawet w RPA i Japonii.

Piotr Chałubiński

Dyskretny urok zabudowanego balkonu

Choć kraje Europy Wschodniej coraz bardziej różnią się od siebie, łączą je zabudowane balkony. Są symulakrami poradzieckiej duszy, która łaknie wolności i gardzi urzędowymi zakazami

Paweł Pieniążek

Ołeksandr Burłaka

Budynki, które padły ofiarą balkonowej zabudowy, wyglądają czasami jak dzieło nieporadnego gracza w Tetrisa. Przekształcają się w niezgrabne bryły, w których trudno dostrzec pierwotny zamysł architekta.

Nakładem OsnoVa Publishing ukazała się książka fotograficzna *Balcony Chic* (*Szyk balkonów*) architekta Ołeksandra Burłaki. Artysta próbuje w niej uchwycić balkonowy fenomen z perspektywy Ukrainy; pokazać, jak zmieniał się Związek Radziecki i wyrosłe na jego gruzach państwa.

AUTOBUS NA BALKONIE

Gdy Burłaka zabierał się do pisania książki, myślał, że komuś udało się dojść do tego, kiedy pojawił się pierwszy zabudowany balkon. „Pacjent zero" nie został jednak odnaleziony. Szacuje się, że zaszklone balkony narodziły się w latach 60. Jak wyjaśnia, jeszcze w latach 30. w Związku Radzieckim bardzo kontrolowano fasady.

„Czasami architekci odpowiadali za nie swoją wolnością, a tym bardziej lokatorzy" – mówi Burłaka.

W latach 1955–1965 na terenie ZSRR miejskie zasoby mieszkaniowe wzrosły o 80 proc., jednak większość lokali była przeludniona. Na rodzinę przypadał jeden pokój. Balkon dawał nieznaczną, ale dodatkową przestrzeń. Służył głównie za rupieciarnię, letnią sypialnię czy warsztat. Był też kolejną warstwą izolacji w mieszkaniach wykonanych z niskiej jakości materiałów.

Pierwsze zabudowy balkonów powstawały przede wszystkim z drewna i szkła. Z czasem dostępna stała się guma do uszczelniania, co pozwoliło wstawiać większe okna. Do domów trafiały one często wprost z fabryk samochodów czy autobusów. W latach 80. można było załapać się już na okna aluminiowe.

Technologie budowlane się zmieniały, ale niezmienne było to, że na ogół brakowało materiałów. Dlatego w radzieckich balkonach odbija się nie tyle zasobność portfela właściciela, co epoka, w której powstały. Dopiero wraz z upadkiem ZSRR i nastaniem kapitalizmu zaczęły się w nich uwidaczniać podziały klasowe.

KONSTRUKCJE Z ROZMACHEM

Po 1991 r. nastała era plastikowych balkonów. Były jednym z elementów tzw. Euroremontu, czyli w warstwie praktycznej wykańczania mieszkań za pomocą plastiku, a w warstwie symbolicznej – aspiracji do szybkiej okcydentalizacji.

Dostępny stał się też – a może przede wszystkim – beton monolityczny. Dzięki niemu balkony ograniczała już tylko fizyka, fantazja, zasobność portfela i czasem oburzeni sąsiedzi.

Zabudowy w znacznym stopniu były konstruowane bez potrzebnych zezwoleń – łatwiej i taniej wychodziło zapłacenie jednorazowego mandatu. Właśnie z tego powodu Burłaka w balkonach doszukuje się jednej z przyczyn zakorzenienia się szarej strefy w większości krajów poradzieckich (na Ukrainie odpowiada ona za ok. 45 proc. gospodarki). Autor *Szyku balkonów* porównuje je do pojawiających się spontaniczne bazarów czy ludzi sprzedających majątki na chodnikach.

„To wszystko było szarą strefą, której ZSRR nie potrafił kontrolować" – wyjaśnia Burłaka. „Następnie wlała się ona w ukraińską gospodarkę".

Pokłosiem zabudowywania balkonów jest też dobudowywanie pomieszczeń czy pięter – deweloperzy robią to bez zezwoleń także dziś. Na przykład w Kijowie w dzielnicy Padół deweloper wybudował budynek z 12 piętrami, choć miał zgodę na osiem. Mieszkania sprzedano, ale sprawa trafiła do sądu. Od 2014 r. trwa proces. Budynek określono mianem „potwora", bo jest wyższy niż pozostała zabudowa i odcina się od reszty krajobrazu.

To znowu strategia jak z balkonami: lepiej postawić urzędników przed faktem i poczekać, aż sprawa się wyjaśni.

Oleksandr Burlaka

PŁYNĄCE WIEŻOWCE

Często wystarczyło wstawić okna, ewentualnie zrobić podmurówkę. Jeśli sąsiedzi potrafili się porozumieć, to niekiedy trudno się domyślić, że balkony nie były zabudowane od samego początku. Jednak zazwyczaj się to nie udawało, nie było chęci lub w ogóle nie myślano, co powiedzą współlokatorzy.

Przez to budynki zmieniają kształt. Każdy z balkonów jest inny, reprezentuje inny „okres", czasem inną klasę domownika. W pewnym sensie każdy jest wyjątkowy. Jak ten w centralnej części Kijowa, który właściciel – major na emeryturze – zaaranżował tak, by przypominał okręt. Postawił cztery słupy, a na nich konstrukcję w kształcie łodzi. Jest niebieski kadłub z galionem przedstawiającym anioła i dziób skierowany w stronę Moskwy. Wygląda to tak, jakby balkon-statek wypływał z czteropiętrowego budynku. Do tego przyozdobił go flagami Ukrainy, a także marynarki Związku Radzieckiego. Z balkonu widać nawet Dniepr.

Niektóre balkony to całe pokoje, niemal piętra składające się na lwią część mieszkania. Burłaka w swojej książce umieścił zdjęcie jednego z mieszkań, gdzie plastikowe balkony rozdziela plastikowy korytarz. To winda, dzięki której mieszkaniec może unikać sąsiadów na klatce schodowej. Zamontował ją na elewacji budynku. Burłaka uważa, że najgorzej z balkonami jest w Kijowie. Jak to w stolicy: pieniędzy jest najwięcej, ludzi stać na ogromne łapówki i ogromne balkony (czasami nazywane carskimi).

PRZESTRZEŃ INTYMNA

Dziś balkony na Ukrainie zabudowuje się często z przyzwyczajenia, niekiedy nawet powstające bloki od początku projektuje się już z zabudowaniami. Szczególnie że balkon stał się przestrzenią niemal intymną.

„Winda i korytarz są wspólne. Wchodzisz do mieszkania. To wciąż dosyć publiczna strefa, bo tam może zawitać elektryk czy policja. Najbardziej osobisty jest balkon, jednocześnie jest końcem tego labiryntu" – wyjaśnia Burłaka. „Dalej już nie pójdziesz. Jest jak serce mieszkania, dlatego człowiek go broni. Broni przed gołębiami, które tam srają, deszczem czy sąsiadem, który pali piętro wyżej i strzepuje popiół. Dlatego nawet ci, którzy nie mogą narzekać na brak przestrzeni życiowej, zabudowują i rozbudowują balkony".

Jeśli zabudowa nie niszczy fasady zabytkowych budynków (a to się zdarza), Burłaka nie czuje oburzenia. Balkony modernizuje się na całym świecie. Architekt przytacza przykłady maszrabijji w krajach arabskich czy zaszklonych balkonów w Hiszpanii.

Większość ukraińskich balkonów nie zwraca już uwagi miejscowych. Stały się nieodłączną częścią miejskiego krajobrazu. Jak mówi Burłaka, są pokojem wielofunkcyjnym, który na dobre zagościł na ulicach, a także powoli godzi się z nim prawo. Coraz rzadziej można spotkać ludzi pamiętających, jak wyglądały miasta z niezabudowanymi balkonami.

„Za sto lat oszklony balkon będzie czymś tak zwykłym jak łazienka czy toaleta" – mówi Burłaka.

Paweł Pieniążek
jest dziennikarzem stale współpracującym z „Tygodnikiem Powszechnym". Relacjonował wydarzenia m.in. z Afganistanu, Iraku, Rosji, Syrii i Ukrainy. Autor książek *Po kalifacie*, *Wojna, która nas zmieniła*, *Pozdrowienia z Noworosji*

Nazywam się Juliene...

*Kup szczepionki dla dzieci w **Wenezueli***

Wejdź na stronę:
www.pmm.org.pl/akcja-specjalna

I KUP SZCZEPIONKI

Sytuacja w Wenezueli jest **dramatyczna**. **W szpitalach nie ma leków**, **a dzieci nie są szczepione od 2 lat**. Śmiertelność okołoporodowa matek **wzrosła o 65%** od 2017 roku. Powróciły choroby dawno zapomniane w Europie: **żółtaczka**, **odra** czy **polio**.

Polska Misja Medyczna

BUDUJEMY POMOC